REDAGUJE PROFESOR JAN ŻARYN

wSIECI

Nr 2 (69)
LUTY 2019
CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

wSIECI HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE, HISTORII I KULTURZE

KARIERA KOMUNISTY

STANISŁAW ŁYSZKOWSKI (1923–1978) – OPRAWCA POLSKICH PATRIOTÓW

INDEKS 297127 ISSN: 2300-6803
9 772300 680909 02

e-prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

3 miesiące

49,99 zł

6 miesięcy

89,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości 103zł

gratis!

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 78b78ef26b

„STANĄĆ NA GRUNCIE DEMOKRATYCZNYM"

Istnieje bardzo dużo mitów na temat życia politycznego Polski Odrodzonej. Do największych, także częściowo powielanych przez naszych historyków, należy domniemanie, iż zwolennikami demokracji była w 1918 r. lewica socjalistyczna i ludowa, a jej przeciwną – prawica, czyli Narodowa Demokracja. Jak wiadomo jednak, choć to rząd Jędrzeja Moraczewskiego podjął ostateczną decyzję o wyborach do Sejmu Ustawodawczego (akt został przygotowany jednak przez Radę Regencyjną), to w praktyce czynił wiele, by nie ustąpić przed wyborami, mimo swej niereprezentatywności i narażenia na szwank podstawowych interesów państwa polskiego. Krótko mówiąc, gdyby nie kompromis Piłsudskiego z Dmowskim, czyli powstanie rządu Ignacego J. Paderewskiego, nie bylibyśmy zwycięzcami w I wojnie światowej ani współtwórcami pokoju wersalskiego, z całą ponurą konsekwencją braku sojuszników na Zachodzie. Problemy z tolerancją socjalistów dobrze oddaje fragment dziennika Marii Dąbrowskiej, wówczas lewicowej pisarki, która notowała pod listopadową datą 1918 r.: „...mimo całej dobrej woli, z jaką roztrząsam ich politykę, endecy nie przestają mi być wstrętni. To prawda, endecja jest taka jak większość społeczeństwa i dlatego ma siłę, ale ta siła polega na pobudzaniu i wykorzystywaniu pod maską idei niskich instynktów mas".

Większość „wstrętnego" – dla lewicy – społeczeństwa zdawała sobie jednak sprawę lepiej, gdzie jest dobro Polski, o czym świadczył wynik wyborów do Sejmu Ustawodawczego – szczególnie korzystny dla narodowych demokratów na terenie Królestwa Polskiego; gorzej im poszło w Galicji, gdzie prym wiodło PSL „Piast". Partie prawicowo-centrowe, czyli narodowo-chadecko-ludowe, otrzymały w sumie ok. 65 proc. mandatów. Socjaliści Moraczewskiego, nie mówiąc o pozostałych listach lewicowych, przegrali zasłużenie: PPS otrzymała jedynie 9,4 proc. głosów, za to lewicowe PSL „Wyzwolenie" aż 17 proc. Sami socjaliści zdawali sobie sprawę z rzeczywistych nastrojów opinii publicznej, co jednak nie skutkowało wolą poddania się – spodziewanemu – demokratycznemu werdyktowi. Świadczyła o tym także kampania wyborcza, podczas której lewica przymuszała do akcji strajkowych nie tylko swoich zwolenników. Z kolei narodowi demokraci, z których programem utożsamiała się znacząca część Polaków, mieli własne problemy. „Należy „stanąć zdecydowanie na gruncie bardzo demokratycznym" – pisał o zadaniach partii jeden z przywódców ND prof. Bohdan Wasiutyński w liście do Romana Dmowskiego z 2 lutego 1919 r.: „Trudno przewidzieć, jak będzie funkcjonował Sejm konstytucyjny. Sądzimy, że uda się utworzyć solidarną większość. Ale w Sejmie znalazło się pod wpływem »ludowych« nastrojów bardzo mało inteligencji, a jeszcze mniej ludzi zdolnych do pracy prawodawczej. Tymczasem mamy już zorganizowaną niezmiernie liczną i lichą biurokrację z przejawami demoralizacji, którą po Moskalach szczepili Niemcy, i nierozwiązalne niemal trudności finansowe. [...] Socjaliści robią, co mogą, żeby udaremnić normalne życie gospodarcze i wywołać przy pomocy mas bez pracy ruch rewolucyjny". Jedno z kluczowych pytań brzmiało zatem, zdaniem większości sejmowej, czy szukamy w sobie jako Polacy poczucia solidarności, czy też wygrają partykularyzmy, tym groźniejsze – w przypadku mas bezrobotnych – że poddające się bolszewickiej ideologii.

Demokracja miała zatem wówczas nieco inną wartość, niż byśmy sądzili obecnie. To prawica narodowa była bardziej demokratyczna, bo z jednej strony przejmowała hasła socjalne PPS, ale z drugiej strony uczyła warstwy ludowe odpowiedzialności za całą Polskę. Stąd tak dużo ich przedstawicieli znalazło się w Sejmie. Problemem pozostała kwestia, czy udźwigną zadania, których – jako posłowie – się podjęli. Demokratyzm wszystkich partii polegał na wyrażeniu powszechnej zgody na republikański kształt Polski Odrodzonej. W tym też duchu toczono kampanię wyborczą, licząc na masowy udział w wyborach. I rzeczywiście, 26 stycznia 1919 r. w regionach zamieszkanych przez Polaków poszło do urn do 95 proc. wyborców, a średnia frekwencja wynosiła ponad 70 proc. Pierwszą decyzją Sejmu Ustawodawczego było zaś uznanie dotychczasowej władzy Naczelnika Państwa oraz rządu Ignacego Jana Paderewskiego.

JAN ŻARYN

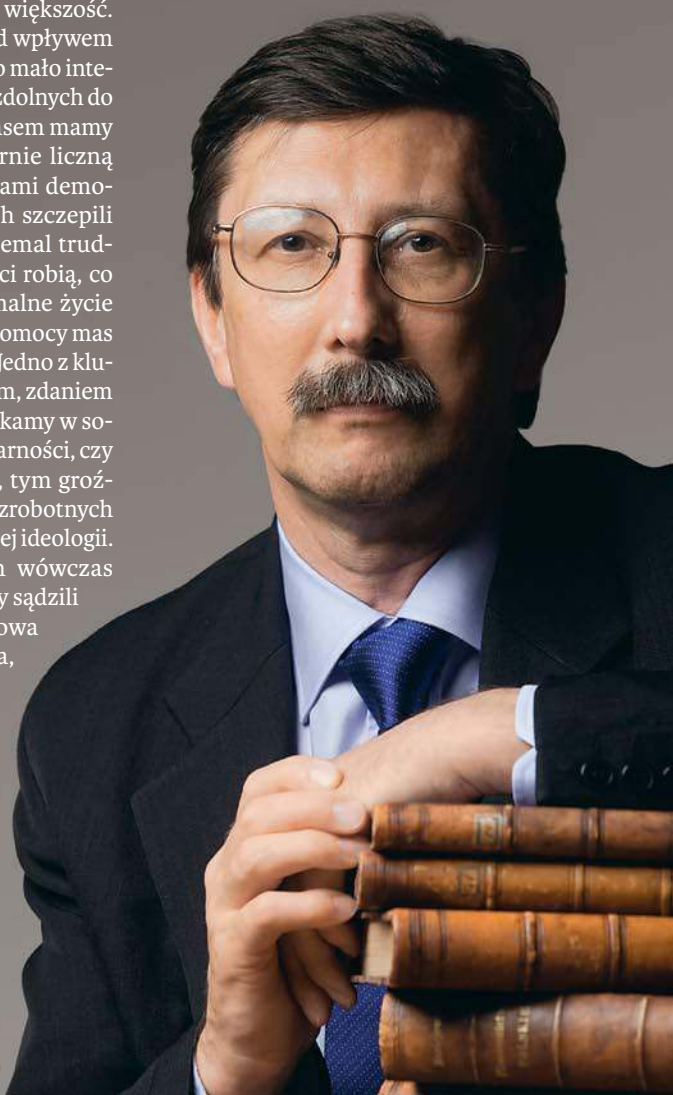

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

Autopromocja

eprasa.pl 78b78ef26b

wSIECI HISTORII
SPIS TREŚCI
NR 2 (69) LUTY 2019

18 PIERWSZY SEJM NIEPODLEGŁEJ BYŁ RZECZYWISTĄ REPREZENTACJĄ NARODU. ZOSTAŁ WYBRANY DZIĘKI POWSZECHNEJ IDENTYFIKACJI POLAKÓW Z ODRADZAJĄCYM SIĘ PAŃSTWEM – OCENIA PAWEŁ SKIBIŃSKI

52 BŁYSKOTLIWA KARIERA STANISŁAWA ŁYSZKOWSKIEGO W MBP I MSW TO ZBIÓR TYPOWYCH PARADOKSÓW, CHARAKTERYSTYCZNYCH DLA „BUDOWNICZYCH POLSKI LUDOWEJ" – PISZE KRZYSZTOF TRACKI

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

100 ODSŁON NA STULECIE

9 SEJM EKSPRESOWY. KONSTYTUCJA MARCOWA
PROF. PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

W STULECIE NIEPODLEGŁOŚCI

10 TWÓRCA WOJSK WIELKOPOLSKICH
PIOTR ŚWIĄTECKI

12 „CO WEŹMIECIE, TO BĘDZIE WASZE"
WOJCIECH JEDLINA-JACOBSON

TEMAT MIESIĄCA

15 OSTATNIA PROSTA DO SEJMU USTAWODAWCZEGO
TOMASZ PANFIL

18 POLSKA KONSTYTUANTA – SZKIC DO PORTRETU
PAWEŁ SKIBIŃSKI

21 SEJM WOBEC BOLSZEWICKIEGO ZAGROŻENIA W 1920 r.
JANUSZ SZCZEPAŃSKI

24 WYBORY NA MAZOWSZU PÓŁNOCNYM W 1919 r.
ARKADIUSZ MELLER

26 POSŁOWIE W SUTANNACH
LESZEK ZYGNER

WEHIKUŁ CZASU

28 LUTY
MICHAŁ KOMUDA

KALENDARZ AGAD

32 POWSTANIE STYCZNIOWE
JACEK KROCHMAL

FELIETONY

38 PIERWSZY KSIĄŻĘ REPUBLIKI
GRZEGORZ GÓRNY

48 1938
PAWEŁ SKIBIŃSKI

65 KONIEC (PEWNEGO) ŚWIATA
MAREK JUREK

75 CZYNNIK ŚMIERCI ŻONY
PIOTR SKWIECIŃSKI

75 TRZY WZRUSZENIA POLAKA
RYSZARD CZARNECKI

82 POWSTANIE DLA WNUCZĄT
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

84 BEZPRAWIE, CZYLI NORMALNOŚĆ PRL
WACŁAW LESZCZYŃSKI

85 MOZÓŁ TWORZENIA
PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

95 TOMOS
PAWEŁ KOWAL

95 NIEMCY
ANTONI DUDEK

eprasa.pl 78b78ef26b

98 JEŻDŻĄCE BUDYNKI
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

POLSCY WYNALAZCY

36 CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN
BOLESŁAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

39 WOLAN I ROTUNDUS
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

42 CYPRYJSKI EPIZOD NA AUSTRIACKIM PŁÓTNIE...
ERWIN KOZŁOWSKI

45 ORGANIZACJA ODDZIAŁU PIECHOTY W XVII-WIECZNEJ POLSCE
BARTOSZ STARĘGOWSKI

ZDARZYŁO SIĘ

49 OPERACJA POLSKA 1937–1938
MONIKA MAZANEK-WILCZYŃSKA

52 STANISŁAWA ŁYSZKOWSKIEGO KARIERA KOMUNISTY
KRZYSZTOF TRACKI

56 JESIEŃ 1980: POLAKÓW PORTRET WŁASNY
PATRYK PLESKOT

58 FENOMEN BISKUPA „SOLIDARNOŚCI"
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, AIPN KATOWICE (3X), EAST NEWS

72 ROZPADAJĄCA SIĘ SWASTYKA, WALĄCY SIĘ DZIERŻYŃSKI TO IKONY UPADKU TYRANII. GORZEJ, JEŚLI DO ZAMIANY NAZW ULIC DOCHODZI Z OPÓŹNIENIEM, W WARUNKACH WZGLĘDNEGO SPOKOJU SPOŁECZNEGO, WTEDY DO GRY WCHODZI POLITYKA HISTORYCZNA – WSKAZUJE JAN NAŁĘCZ

ZIEMIAŃSTWO

62 PAŁAC W BERLINIE, MAJĄTKI W WIELKOPOLSCE
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

PRASPORT

66 BOLSZEWIKA BIJ!
GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

69 PASZKWILANT HRABYK
KRZYSZTOF TARKA

POLITYKA HISTORYCZNA

72 ULICE PORUSZAJĄ WSZYSTKICH...
JAN NAŁĘCZ

WŁADCZYNIE

74 ŚWIĘTA KINGA, KSIĘŻNA KRAKOWSKA, PANI SĄDECKA
MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

76 OKRĘŻNE DROGI ŻEROMSKIEGO
WOJCIECH OSIŃSKI

80 W KRĘGU KLIO
RAFAŁ ŁATKA

83 WOJNA NA EKRANIE
KAROL MAZUR

PUPILE HISTORII

86 WSZYSTKIE PSY KRÓLOWEJ ELŻBIETY
MAGDALENA SZCZEPANIAK

CZYM STRZELAĆ

87 „SMAROWNICA", CZYLI PISTOLET MASZYNOWY M3
KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 FENOMEN PANNY STEFANII
JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

90 ANTYCZNY RODOWÓD FAST FOODÓW
KRZYSZTOF ŻARYN

TAJEMNICE AAN

92 W STULECIE ISTNIENIA ARCHIWUM AKT NOWYCH
LESZEK S. ZAKRZEWSKI

NAC PREZENTUJE

93 PRZYMUSOWE STERYLIZACJE W AUSCHWITZ
ŁUKASZ KOROLEWSKI

ZE ZBIORÓW MPW

94 ZNAK SPADOCHRONOWY
RAFAŁ BRODACKI

HISTORIA OKŁADKI

96 W KATOWNI UB
MICHAŁ KORSUN

OPOWIEŚCI IPN

99 WYBUCH W ROTUNDZIE PKO
PAWEŁ ZIELONY

wSIECI HISTORII

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl
Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karpowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:
Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochocki, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karpowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn, Agnieszka Żurek oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:
Jarosław Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardela, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymborski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:
Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:
Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczynski@fratria.pl,
Maciej Majtczak, Lidia Słowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedycja:
Ewa Falkiewicz, ewa.falkiewicz@fratria.pl,
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:
Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70
www.wsieci.pl
prenumerata@fratria.pl
Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej oraz na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
– czynne w godzinach 7^{00}–18^{00}.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:
Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl
Biuro Reklamy:
reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol – paulina.kakol@fratria.pl
Wojciech Kopacz – wojciech.kopacz@fratria.pl
Agnieszka Woźniak – agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski – marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:
kolportaz@fratria.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Copyright © Fratria Sp. z o.o. Wszystkie prawa zastrzeżone (włącznie z tłumaczeniem na języki obce). Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy. Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

OKŁADKA: PROJEKT: MICHAŁ KORSUN, FOT.: CEZARY POMYKAŁO, SHUTTERSTOCK (x6) CHARAKTERYZACJA: JOANNA WASILEWSKA, KOSTIUMY: AGENCJA ARTYSTYCZNA „RETRO-PASJE", AKTORZY: MARIA KUŚMIERSKA, HUBERT MATYSIAK, WOJCIECH ŻUCHOWSKI

PODZIĘKOWANIA ZA POMOC PRZY REALIZACJI SESJI DLA DYREKTORA JACKA PAWŁOWICZA ORAZ JARKA WRÓBLEWSKIEGO Z MUZEUM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH ORAZ DLA PAWŁA SZCZEPANIUKA Z AGENCJI AKTORÓW I STATYSTÓW „MERITO"

eprasa.pl 78b78ef26b

Wokół 100. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

27 grudnia 2018 r. przypadła 100. rocznica wybuchu powstania wielkopolskiego. Okolicznościowe obchody rozpoczęły się w Poznaniu już dzień wcześniej, od tradycyjnej rekonstrukcji przyjazdu do miasta Ignacego Jana Paderewskiego (w tę rolę wcielił się aktor Andrzej Lajborek) i przywitania go przez tłumy poznaniaków na Dworcu Letnim. Inicjatorem tej rekonstrukcji, która odbyła się już po raz trzydziesty, jest Poznański Chór Nauczycieli im. I.J. Paderewskiego. Dzień później w stolicy Wielkopolski odbyły się centralne uroczystości rocznicowe. W godzinach porannych w bazylice Matki Bożej Nieustającej Pomocy i św. Marii Magdaleny została odprawiona uroczysta msza św., którą celebrował metropolita poznański abp Stanisław Gądecki. Po jej zakończeniu uczestnicy nabożeństwa, na czele z prezydentem RP Andrzejem Dudą, udali się na grób gen. Stanisława Taczaka, pierwszego dowódcy powstania wielkopolskiego, gdzie złożono wieńce. Premier Mateusz Morawiecki wziął natomiast udział w odsłonięciu Tablicy Wdzięczności przed siedzibą Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu. Po południu miały miejsce główne uroczystości przy pomniku Powstańców Wielkopolskich. W ich trakcie prezydent RP odznaczył pośmiertnie Orderami Orła Białego dowódców powstańczych gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego oraz gen. Taczaka. „Trzeba mocno powiedzieć: nie byłoby II Rzeczypospolitej w jej ostatecznym kształcie, gdyby nie determinacja, odwaga, bohaterstwo, ale i dziesięciolecia pracy Wielkopolan, państwa przodków, pradziadków, prababć, babć, dziadków, ojców, matek. Tych wszystkich, dzięki którym Wielkopolska została przywrócona Rzeczypospolitej" – mówił w trakcie swojego przemówienia Andrzej Duda. „Składam hołd wszystkim powstańcom i spadkobiercom tej idei. Ten ogólnonarodowy wymiar jest niezwykle ważny, bo bez tego powstania nie byłoby zwycięstwa roku 1920. To ziarno niepodległości i walki o nowoczesną Rzeczpospolitą wtedy rzucone w ziemię, dało znakomity plon drugiej Rzeczpospolitej" – powiedział w trakcie ceremonii szef rządu.

28 grudnia uroczystości w hołdzie bohaterom Wielkopolski odbyły się również w Warszawie. W ich ramach odprawiona została msza św. w Archikatedrze św. Jana Chrzciciela, po której nastąpił Apel Pamięci na pl. Piłsudskiego i złożenie wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza. Warszawskie obchody zakończyło zapalenie zniczy i złożenie kwiatów na grobach uczestników walk o niepodległość Polski z lat 1918–1921 na Powązkach Wojskowych.

Wokół 100. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego odbyło się wiele różnego typu przedsięwzięć. Fundacja Kochania Poznania przygotowała projekt „Matki chrzestne powstania wielkopolskiego", który ma na celu przypomnienie Polakom i Polkom, że za zwycięskim powstaniem stoją także kobiety, takie jak działaczki Towarzystwa Przyjaciół Wzajemnego Pouczania się oraz Opieki nad Dziećmi „Warta", które w 100-lecie przysięgi kościuszkowskiej rozdały dzieciom z ubogich rodzin ponad tysiąc egzemplarzy polskich książek, organizowały tajne komplety, w których uczestniczyło 1000 uczniów i uczennic rocznie, pisały podręczniki dla uczniów oraz książki metodyczne dla nauczycieli. W ramach akcji powstała limitowana edycja znaczków i kartek pocztowych przedstawiających cztery osoby: Anielę Tułodziecką, Helenę Rzepecką, Janinę Omańkowską i Zofię Sokolnicką. Kartki wraz z datownikiem okolicznościowym z hasłem „Matki chrzestne powstania wielkopolskiego" dostępne są

eprasa.pl 78b78ef26b

w dni robocze w godz. 9–16 w okienku filatelistycznym w Urzędzie Pocztowym Poznań przy ul. Głogowskiej 17. Zainteresowani okolicznościowymi znaczkami są proszeni o kontakt e-mailowy z Fundacją: fundacja@kochamy.poznan.pl.

W powstańcze obchody wpisał się także Instytut Pamięci Narodowej, który przygotował edukacyjny portal internetowy poświęcony bohaterstwu Wielkopolan – www.powstaniewielkopolskie.ipn.gov.pl. Witryna ma otwartą formułę z możliwością uzupełniania informacji poprzez zbieranie tekstów i materiałów z terenu całego województwa oraz zapraszania do współpracy regionalistów, historyków i instytucji propagujących pamięć o powstaniu. Zaproszenie do współpracy przyjęło wielu uznanych historyków oraz najważniejsze instytucje będące depozytariuszami pamięci o powstaniu wielkopolskim. Dzięki wspólnej pracy i zaangażowaniu wszystkich osób i instytucji portal zbiera najważniejsze informacje o tym wydarzeniu, w formie m.in. dokumentów narracyjnych, archiwalnych (źródeł pisanych oraz ikonografii), audycji i programów przygotowywanych przez radio i telewizję. Na portalu będzie można zapoznać się również z literaturą przedmiotu. Portal ma być także ważnym narzędziem w procesie edukacji, dlatego przygotowano scenariusze lekcji dla uczniów szkół podstawowych i ponadpodstawowych. Akcja nawiązuje do najlepszych wzorców pracy organicznej, która łączyła w XIX w. naszych przodków. Uroczysta inauguracja projektu miała miejsce 28 grudnia w Belwederze.

FOT. POCZTA POLSKA

Wokół rocznicy śmierci gen. „Gryfa"

5 stycznia, z okazji drugiej rocznicy śmierci gen. Janusza Brochwicz-Lewińskiego, dowódcy legendarnej obrony Pałacyku Michla w trakcie powstania warszawskiego, w katedrze polowej Wojska Polskiego w Warszawie odprawiono w jego intencji uroczystą mszę św., a następnie w sali Ordynariatu Polowego została otwarta wystawa poświęcona tej postaci. Przygotowała ją Fundacja im. gen. Janusza Brochwicz-Lewińskiego. Ekspozycja będzie następnie prezentowana w placówkach edukacyjnych, które bohater bardzo chętnie odwiedzał w ostatnich latach życia.

FOT. KRZYSZTOF STĘPKOWSKI

W hołdzie Janowi Rodowiczowi „Anodzie"

18 grudnia odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Janowi Rodowiczowi „Anodzie". Wmurowano ją na kamienicy przy ul. Lwowskiej 7 w Warszawie, w której „Anoda" został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa w wigilię świąt Bożego Narodzenia 1948 r. Zginął kilkanaście dni później, 7 stycznia 1949 r. w trakcie przesłuchania w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Inicjatorami upamiętnienia żołnierza AK, harcerza Szarych Szeregów i powstańca warszawskiego były Instytut Pamięci Narodowej oraz Politechnika Warszawska, w której „Anoda" studiował.

80. rocznica śmierci Romana Dmowskiego

FOT. ANDRZEJ WIKTOR

2 stycznia przypadła 80. rocznica śmierci jednego z polskich Ojców Niepodległości Romana Dmowskiego. Z tej okazji w wielu miejscach Polski odbyły się okolicznościowe uroczystości. Delegacje środowisk narodowych oraz przedstawiciele władz państwowych i samorządowych złożyli kwiaty pod upamiętniającą przywódcę Narodowej Demokracji tablicą w miejscu jego śmierci – dworku Lutosławskich w Drozdowie. Obchody poprzedziła msza św. odprawiona przez łomżyńskiego biskupa seniora Stanisława Stefanka w katedrze w pobliskiej Łomży. Przy grobie Romana Dmowskiego na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie wystawiono wojskową wartę honorową. Wieniec na grobie złożył m.in. prezydent RP Andrzej Duda. Wiązanki składano także pod pomnikiem lidera endecji na warszawskim pl. Na Rozdrożu. Uroczystą mszę św. w intencji współtwórcy polskiej Niepodległości odprawiono w Katedrze Warszawsko-Praskiej. 3 stycznia w Warszawie (na zaproszenie Centrum Edukacyjnego Powiśle) sylwetkę autora „Myśli nowoczesnego Polaka" przypominał dr Krzysztof Kawęcki, natomiast 8 stycznia w Zgierzu (na zaproszenie Klubu im. Romana Dmowskiego) – prof. Jan Żaryn. Okolicznościowe uroczystości w hołdzie Dmowskiemu zorganizowane zostały także m.in. w Białymstoku, Łodzi, Gdyni, Poznaniu i Słupsku.

eprasa.pl 78b78ef26b

POD PATRONATEM „wSIECI HISTORII"

Rajd Szlakiem „Żołnierzy Wyklętych"

Mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka"

FOT. IPN

Projekt Fundacji im. Janusza Kurtyki Rajd Szlakiem „Żołnierzy Wyklętych" zakłada zorganizowanie pięciu samodzielnych rajdów, które przebiegać będą śladami: ks. Władysława Gurgacza, st. sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja", mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", gen. Antoniego Hedy „Szarego" i por. Mariana Bernaciaka „Orlika". Koncepcja akcji zakłada wyruszenie grup uczestników w jedną z sobót, wczesnym porankiem, z ustalonego indywidualnie dla każdego z wydarzeń miejsca zbiórki. Na trasach w poszczególnych punktach będą zaplanowane postoje, podczas których historycy przybliżą historie oddziałów partyzanckich na danym terenie. W niektórych miejscowościach planowane są spotkania z kombatantami, świadkami wydarzeń, członkami rodzin Żołnierzy Wyklętych. W tę samą sobotę wieczorem uczestnicy udadzą się do miejsc noclegów. Drugiego dnia nastąpi kolejny etap zwiedzania okolicznych miejscowości związanych z działalnością powstańców antykomunistycznych, a następnie powrót do miejsca startu rajdu. Każda grupa będzie miała swojego historyka – przewodnika historycznego odpowiadającego za wartość merytoryczną wyjazdu. Przewidywana liczba uczestników docelowo ma wynosić 175 osób. Szczegółowe programy rajdów, w tym wybór daty weekendu, zostaną ustalone do 15 lutego. Więcej informacji o projekcie można znaleźć na stronie internetowej: www.fundacjakurtyki.pl

VIII edycja konkursu o „Żołnierzach Wyklętych"

„Zapora"

FOT. IPN

Ruszyła VIII edycja Ogólnopolskiego Konkursu „Żołnierze Wyklęci – Bohaterowie Niezłomni". Jej uczestnicy będą mieli za zadanie przygotować pracę pisemną, multimedialną lub plastyczną na temat związany z bohaterami powstania antykomunistycznego. Przedsięwzięcie jest dedykowane uczniom szkół podstawowych i średnich. Termin nadsyłania prac mija 1 marca. W skład jury wchodzą przedstawiciele IPN, nauczyciele, przedstawiciele organizacji kombatanckich, przedstawiciele organizatorów, pracownicy szkół wyższych. Dla zwycięzców przewidziane są atrakcyjne nagrody. Organizatorami konkursu są: Fundacja im. Kazimierza Wielkiego, Związek Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, Stowarzyszenie im. Kazimierza Wielkiego, XXIX Liceum Ogólnokształcące im. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory" w Lublinie. Regulamin i harmonogram konkursu znajdują się na stronie internetowej: www.konkurswykleci.pl.

Obchody Roku Stanisława Moniuszki

Rok 2019 został ogłoszony przez UNESCO oraz Sejm i Senat RP Rokiem Stanisława Moniuszki. W związku z tym Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wraz z instytucjami podległymi przygotowało kilkadziesiąt inicjatyw przypominających kompozytora oraz jego twórczość. Przeprowadzony został Program Moniuszko 2019 – Promesa, w ramach którego samorządowe instytucje kultury, organizacje pozarządowe, kościoły i związki wyznaniowe, uczelnie artystyczne, publiczne i niepubliczne szkoły artystyczne oraz podmioty prowadzące działalność gospodarczą, mogą się ubiegać o dotacje na organizację przedsięwzięć artystycznych, naukowych, edukacyjnych, dokumentacyjnych oraz popularyzatorskich, realizowanych zarówno w kraju, jak i za granicą, związanych z postacią i twórczością Stanisława Moniuszki w kontekście muzyki, historii i kultury XIX w. Ponadto w ramach programu MKiDN „Muzyczny ślad" wydzielono specjalną pulę dla inicjatyw związanych z Rokiem Moniuszki. Państwowe Wydawnictwo Muzyczne przygotowuje wydanie materiałów wykonawczych, źródłowokrytycznych oraz korespondencji Stanisława Moniuszki. Bogatą ofertę wydawniczą i fonograficzną planuje także Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. Twórczości Stanisława Moniuszki będzie poświęcona tegoroczna edycja Festiwalu „Chopin i Jego Europa". Ponadto powołana została nowa inicjatywa kulturalna – Międzynarodowy Konkurs Muzyki Polskiej im. Stanisława Moniuszki w Rzeszowie, którego celem jest popularyzacja polskiej muzyki na świecie oraz utrwalanie w świadomości odbiorców znaczenia zarówno twórczości Stanisława Moniuszki, jak i wielu wybitnych polskich kompozytorów z XIX i XX w. Pierwsza edycja konkursu odbędzie się 20–27 września. Osobną formą upamiętnienia artysty było nadanie jego imienia Dworcowi Centralnemu w Warszawie. Uroczystość odsłonięcia okolicznościowej tablicy odbyła się 5 stycznia z udziałem wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego oraz ministra infrastruktury Andrzeja Adamczyka.

„wSieci Historii" w Radiu Warszawa...

18 stycznia (piątek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii" zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.

...w Radiu dla Ciebie...

19 stycznia 2019 r. (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.

...i w radiowej Trójce

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii" w programie Marka Stremeckiego, „Historie jak z książki", w radiowej Trójce. W każdy wtorek godz. 22.05.

eprasa.pl 78b78ef26b

Sejm ekspresowy

Dowodem determinacji Polaków w dobie odbudowy Rzeczypospolitej po Wielkiej Wojnie, a zarazem słusznym powodem do dumy potomnych z postawy przodków było ukonstytuowanie w trybie iście ekspresowym parlamentu. Pomimo konieczności zmierzenia się z niezliczonymi wyzwaniami wystarczyło niewiele ponad dwa miesiące(!) od przejęcia władzy na ziemiach polskich przez Piłsudskiego, by w Warszawie rozpoczął 10 lutego 1919 r. obrady Sejm Ustawodawczy

Naczelnik Państwa, powołując w listopadzie 1918 r. pierwszy rząd odrodzonej Rzeczypospolitej na czele z liderem polskich socjalistów, Jędrzejem Moraczewskim, opracowanie ordynacji wyborczej postawił przed nim jako zadanie priorytetowe. Świadom, że przyszły parlament ograniczy jego dyktatorską władzę, dążył jednak z determinacją do wyborów parlamentarnych. Pragnął w ten sposób upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, powołać do życia w pełni reprezentatywną dla politycznych postaw Polaków, wiążącą ich z państwem, dającą poczucie jego współtworzenia i współodpowiedzialności za nie, a zarazem skutecznie marginalizującą szkodliwe radykalizmy, władzę ustawodawczą. Po drugie, uczynić z demokratycznie wyłonionego parlamentu – wybory przeprowadzone 26 stycznia 1919 r. były powszechne, bezpośrednie, równe, tajne i proporcjonalne, a frekwencja wyniosła blisko 80 proc. (!) – argument w walce z głosami z zagranicy, które odmawiały uznania władz państwa polskiego i ich prawa do reprezentowania Rzeczypospolitej na konferencji pokojowej w Paryżu, podnosząc rzekomy brak społecznej legitymacji dla rządów Naczelnika Państwa.

Myliłby się jednak srodze ten, który głównego atutu nowego sejmu upatrywałby w odgrywaniu przezeń takiej właśnie li tylko symbolicznej roli. Parlament ten podczas swojej pracy w latach 1919–1922 wywiązał się z powodzeniem z gigantycznych zadań, jakie narzuciły mu historyczne okoliczności: najpierw uchwalił małą konstytucję, później tzw. konstytucję marcową, specjalny statut dla autonomicznego województwa śląskiego, wreszcie ponad pół tysiąca fundamentalnych dla odradzającego się państwa ustaw, dotyczących aparatu państwowego, wymiaru sprawiedliwości i kwestii skarbowych.

PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

Konstytucja marcowa

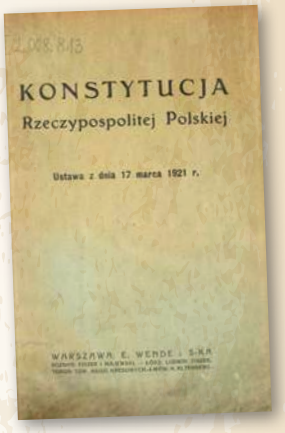

Pierwszy po ponad 120 latach zaborów sejm niepodległej Rzeczypospolitej, wybrany 26 stycznia 1919 r., miał do zrealizowania trzy główne zadania: legitymizować odrodzoną Polskę jako demokratyczne państwo na arenie międzynarodowej, zbudować więź między zamieszkującą na obszarze RP wielonarodowościową społecznością a państwem polskim oraz uchwalić ustawę zasadniczą. Miała ona, nawiązując do chlubnej tradycji Konstytucji 3 maja z 1791 r., wprowadzić Niepodległą do rodziny nowoczesnych państw, a jej mieszkańcom stworzyć sytuację politycznej, prawnej i społecznej stabilizacji.

Pełna emocji i zaangażowania ze strony uczestników debata nad ustawą zasadniczą trwała dwa lata. Pracowały nad nią sejm i powołana przezeń komisja konstytucyjna, a także utworzona przez rząd premiera Paderewskiego jako ciało doradcze, złożona z konstytucjonalistów i prawników, tzw. Ankieta Konstytucyjna. Swoje projekty ustawy zasadniczej, które stanowiły wizje odradzającego się państwa, zgłosiły kluby parlamentarne poszczególnych partii (konserwatyści, narodowcy, ludowcy, socjaliści), rząd, wspomniana wcześniej Ankieta, a nawet pojedynczy posłowie. Stały się one punktami wyjścia do wielkiej debaty i poszukiwania kompromisu. Spierano się zatem, czy państwo ma być jednolite, czy stanowić federację poszczególnych ziem; jaka powinna być konstrukcja parlamentu (jedno- czy dwuizbowa?) oraz jego uprawnienia; jakie kompetencje przypisać prezydentowi RP. Dyskutowano o prawach mniejszości narodowych, relacjach pomiędzy państwem a Kościołami (zwłaszcza dominującym – katolickim). Omawiano kwestię stosunku państwa do własności (jak pogodzić jej ochronę prawną z koniecznością przeprowadzenia reformy rolnej?) i do pracy (czy powinna pozostawać pod opieką państwa, co umożliwiłoby rozwój ustawodawstwa socjalnego, czy też mieć jedynie rynkowy status zwykłego towaru?).

Ustawa zasadnicza została uchwalona 17 marca 1921 r. Konstytuowała demokratyczny i samorządowy ustrój państwa. Władza ustawodawcza została przypisana dwuizbowemu parlamentowi, a wykonawcza – wyłanianemu przezeń rządowi. Konstytucja zabezpieczała prawa obywatelskie i mniejszości narodowych. Odrzucała model państwa wyznaniowego. Chroniła własność (umożliwiając zarazem reformę rolną) oraz pracę (wspierając ustawodawstwo socjalne). Stanowiła ona wielkie osiągnięcie polskiej i europejskiej myśli demokratycznej.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 78b78ef26b

JEDEN ZE WSPÓŁTWÓRCÓW NASZEJ NIEPODLEGŁOŚCI: POLSKI SZLACHCIC, CARSKI OFICER, DOWÓDCA POLSKIEGO KORPUSU W OGARNIĘTEJ REWOLUCJĄ ROSJI, PRZYWÓDCA POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO, KONSERWATYSTA, NARODOWIEC, ŻARLIWY PATRIOTA – JÓZEF DOWBOR-MUŚNICKI ZOSTAWIŁ NAM W „MOICH WSPOMNIENIACH" NIEZWYKŁE ŚWIADECTWO SWOICH CZASÓW

Generał Józef Dowbor-Muśnicki (1. z lewej, salutuje) podczas uroczystości zaprzysiężenia wojsk powstańczych i wręczenia sztandaru 1. Dywizji Strzelców Wielkopolskich (26 stycznia 1919 r.)

FOT. NAC

TWÓRCA WOJSK WIELKOPOLSKICH

PIOTR ŚWIĄTECKI

Józef Dowbor-Muśnicki z dumą podkreślał szlacheckie pochodzenie. Wyniósł z domu patriotyzm, wiarę w odrodzenie Rzeczypospolitej i przywiązanie do tradycji konserwatywnej. Gdy miał 14 lat, rodzina wysłała go do petersburskiego korpusu kadetów. Na 30 lat zanurzył się w środowisku rosyjskim – potem już nigdy nie mówił poprawnie po polsku, a po rosyjsku zawsze z akcentem. Skończył korpus kadetów i oficerską szkołę piechoty z dobrym wynikiem. Mógł więc wybrać miejsce późniejszej oficerskiej służby, ale tylko spośród 20 proc. jednostek, nieobjętych klauzulą „nie dla katolików", poza Europą.

Kariera w armii carskiej

Po kilkunastu latach służby w linii ambitny Dowbor dostał się do Akademii Sztabu Generalnego. O przyjęcie tam corocznie ubiegało się około tysiąca oficerów, a kończyło trzyletnie studia nie więcej niż 50. Dowbor-Muśnicki ukończył je z drugą lokatą i stopniem kapitana Sztabu Generalnego, tym samym wszedł do zawodowej elity Cesarstwa Rosyjskiego.

W styczniu 1904 r. znalazł się na Dalekim Wschodzie, wziął udział w przegranej przez Rosję wojnie z Japonią. Było to starcie, w którym Dawid, czyli Japonia, pokonał Goliata, czyli Rosję. Za klęskę winił polityków odpowiedzialnych za brak sił i środków na Dalekim Wschodzie. Przeniesiony do Charkowa, do kijowskiego okręgu wojskowego, doczekał wybuchu I wojny światowej. Brał udział m.in. w walkach pod Tomaszowem, Bełżcem, Narolem, Rawą Ruską, Dęblinem, Piotrkowem, Łaskiem, Łodzią. Cenił Niemców jako żołnierzy, za to z politowaniem wypowiadał się o c.k. armii Austro-Węgier.

eprasa.pl 78b78ef26b

Karierę w wojsku carskim skończył jako dowódca korpusu. Zastała go w tej roli rewolucja lutowa, surowo oceniał jej przywódców. Pisał, że carskie rządy nie wyrządziły tyle zła przez 150 lat, ile Kiereński i później rządzący bolszewicy przez pięć miesięcy.

Korpus Polski w Rosji

Naczelny Komitet Polski powierzył Muśnickiemu jako najstarszemu rangą polskiemu oficerowi w rosyjskiej armii dowództwo polskiego korpusu. Korpus ten składał się z dywizji powstałej z Legionu Puławskiego, z 1. Pułku Ułanów Krechowieckich i pułku zapasowego w Biełgorodzie. O ułanach pisał w samych superlatywach. Legion Puławski oceniał nisko, uważając, że najbardziej dbano w nim o zachowanie życia i prywatnego mienia. A o trzeciej z jednostek miał najgorsze zdanie: „Pułk w Biełgorodzie był czymś nadzwyczajnym, nawet jak na stosunki panujące w czasie rozkwitu bolszewizmu. Składał się z tchórzów, warchołów, szulerów, pijaków, zespolonych w jedną zgodną rodzinę i scementowanych myślą – jak wynieść całą skórę".

Muśnicki zebrał korpus na Białorusi i próbował przejść do Królestwa, podporządkowując się Radzie Regencyjnej. Niestety, po drodze natrafili na przeważające siły wojsk niemieckich, co zakończyło się rozbrojeniem korpusu.

Dowbor pisał o tych wydarzeniach: „Stawiano mi zarzut, że uznałem władzę Rady Regencyjnej, bo była ukonstytuowana przez Niemców, a nie uznałem autorytetu Piłsudskiego. Z tego wniosek, że wszystko, co pochodzi od Niemców, powinno być w Polsce w czambuł odrzucone. Więc Radę Regencyjną powołali Niemcy, Rada powołała Piłsudskiego na Naczelnika Państwa, Piłsudski zwołał Sejm [...] Należy więc potępić obecne władze polskie, bo wzięły... początek od Niemców?".

Wojsko wielkopolskie

Przypomnijmy: 10 listopada 1918 r. do Warszawy przyjechał z Magdeburga Józef Piłsudski i w ciągu kilku dni przejął władzę w Królestwie. 27 grudnia 1918 r. wybuchło powstanie wielkopolskie. 15 stycznia 1919 r. Komisariat Naczelnej Rady Ludowej dekretem, podpisanym przez Adama Poszwińskiego, Wojciecha Korfantego i ks. Stanisława Adamskiego przyjął gen. por. Józefa Dowbora-Muśnickiego do Sił Zbrojnych Polskich w byłym zaborze pruskim i mianował ich głównodowodzącym.

Generał postępował metodycznie. Zorganizował pobór do regularnego wojska. Utworzył czteromiesięczną szkołę oficerską. Uruchomił w poznańskich Zakładach Cegielskiego produkcję naboi karabinowych. W Łodzi produkowano kule armatnie. Powstawały kolejne pułki strzelców, ułanów wielkopolskich, baterie artylerii, eskadry lotnicze. Jednocześnie trwały walki na froncie długości 500 km, w których młode wielkopolskie wojsko wyzwalało kolejne miejscowości i zdobywało cenne wyposażenie oraz nie mniej cenne doświadczenie.

Piłsudski chętnie sięgnął po jednostki stworzone przez Muśnickiego, wykorzystując je na froncie wschodnim, m.in. w walkach o Lwów, lecz samego Dowbora nie wykorzystano odpowiednio do jego sprawdzonych umiejętności (stworzył przecież najsilniejszy komponent wojska Rzeczypospolitej); co więcej, uniemożliwiono mu realizację marzenia – zajęcie Gdańska dla Polski.

W okresie największego powodzenia bolszewików, w lipcu 1920 r., pod presją Rady Obrony Państwa, Piłsudski zaproponował Muśnickiemu zastąpienie gen. Wacława Iwaszkiewicza, dowodzącego Południową Armią, skutecznie walczącego o Lwów. Dowbor tę propozycję odrzucił, uważając ją za krzywdzącą dla Iwaszkiewicza i rozgoryczony tym, że jego wielkopolską armię podzielono na froncie na drobne oddziały.

W tym samym 1920 r. Muśnicki podał się do dymisji i zajął gospodarką w majątku rolnym Lusowo. W dniach zamachu majowego miał poprowadzić wielkopolskich ochotników na odsiecz legalnym władzom, lecz operacja ta nie doszła skutku.

Gorzkie refleksje generała

Rozgoryczony potraktowaniem w odrodzonej Polsce Dowbor pisał: „Rodakami w swej masie kierowałem od 1917 r. i niejednokrotnie przeżywałem z tego powodu przykre chwile. [...] my uznajemy autorytety dopiero po długich latach, po przejściu ich do historii. Każdy z nas ma się za coś lepszego, za mądrzejszego od innych. Rachmistrz sięga po posadę dyrektora banku, pisarz gminny po posadę wojewody, rolnik mędrkuje nad kwestiami dotyczącymi inżyniera. [...] często i chętnie w przeciętnym blagierze (byle powtarzał sakramentalne słowa: »demokracja«, »lud«, »socjalizm«, »równość«, »sprawa społeczna«) widzimy »męża opatrznościowego«".

Ostre są słowa generała, gdy pisze: „Skromność nie jest naszą zaletą, a dyscyplinę tylko z trudem udaje się zaszczepić masom. Ujemne cechy, pokutujące w naszym narodzie, tłumaczę brakiem zdolności do głębszej analizy. Za to gotowość do wystąpień graniczących z szaleństwem jest zjawiskiem prawie powszechnym".

Uważał się za prekursora właściwej oceny rewolucji październikowej. Pisał: „Gdy cały świat nie poznał się na niebezpieczeństwie bolszewizmu, a później łudził się, że w płaszczyźnie ludzkich uczuć i elementarnej logiki z jego adeptami dojść można do jakiegoś porozumienia, ja pierwszy poznałem się na tej odmianie ludzkiego zbydlęcenia – wypowiedziałem bolszewizmowi walkę na życie i śmierć". Wyrzucał też sobie, że nie wpłynął na bieg spraw politycznych w Rzeczypospolitej wówczas, gdy miał do tego środki. Kończy pamiętniki frazą: „Nielicznych moich współtowarzyszy, którzy przeżyli piekło lat 1918–1920 i pozostali wierni bezinteresownej służbie dla Polski, a wśród pokus o dobro doczesne nie spodlili się, proszę o wybaczenie mi tego wielkiego błędu, że nie narzuciłem Polsce ustroju, który odpowiadałby naszym ideałom. Realne do tego możliwości posiadałem; wtedy miałbym i ja możność nagrodzenia Was. Stało się inaczej...".

Zdaniem generała: „Rzeczywistość dziejowa stwierdza, że jeżeli Polska jest, taką jaką jest, zawdzięczać to należy jedynie Ignacemu Paderewskiemu". Pamiętniki generała nie pozostawiają wątpliwości; rozwój sytuacji politycznej w Polsce międzywojennej obserwował z niechęcią. Szczególne obrzydzenie budził w nim tryb podejmowania decyzji: „Komisyjne gadania wywołują tylko ten skutek, że wprowadzają w ruch powietrze, ale to się i bez komisji odbywać może...".

Józef Dowbor-Muśnicki zmarł w 1937 r. Córka generała, Janina Lewandowska, szybowniczka i spadochroniarka, zmobilizowana we wrześniu 1939 r., dostała się do sowieckiej niewoli i w swoje 32. urodziny została zamordowana w Katyniu.

eprasa.pl 78b78ef26b

„CO WEŹMIECIE, TO BĘDZIE WASZE"

URYWKI ZE WSPOMNIEŃ WOJCIECHA JEDLINY-JACOBSONA

Oficerowie III batalionu 58. Pułku Piechoty, wcześniej 4. Pułku Strzelców Wielkopolskich

FOT. ZE ZBIORÓW WYDAWNICTWA REPLIKA

BEZ ZBROJNEGO PORYWU NIE MA MOWY O TYM, BY PRUSAK CHOĆ PIĘDŹ ZIEMI ODSTĄPIŁ POLSCE DOBROWOLNIE. ŚWIAT UWIERZY NAM DOPIERO WTEDY, GDY ZŁOŻYMY WYRAŹNĄ OFIARĘ KRWI. LUD WIELKOPOLSKI I POMORZA JEST GOTOWY DO TEJ ROZGRYWKI

W pierwszych dniach grudnia 1918 r. dostałem od „Soldatenratu" w Szczecinie urlop na wyjazd w strony rodzinne. Na odjezdnym zaznaczono mi, że od 1 stycznia 1919 r. mam objąć stanowisko lekarza przy „Bezirkskommando" (PKU) w Gnieźnie z awansem na kapitana.

Skorzystałem z urlopu, by przede wszystkim dowiedzieć się, jaki nastrój panuje w kraju, z którym nie miałem bezpośredniej styczności od wybuchu wojny światowej. Niestety, nie było mi danym być naocznym świadkiem entuzjazmu, jaki ogarnął stolicę Wielkopolski 2 grudnia 1918 r. w dniu zjazdu dzielnicowego i utworzenia się Naczelnej Rady Ludowej. Widziałem jedynie domy ozdobione jeszcze flagami polskimi i państw sprzymierzonych, a u znajomych, których sporo zastałem jako współpracowników NRL, zauważyłem jak gdyby pewne zakłopotanie streszczające się w zapytaniu – „no i co dalej będzie?".

Na moje pytania, czy organizują się jakieś kadry wojskowe, dostawałem wszędzie odpowiedź przeczącą. Tłumaczono mi, że tą sprawą zajmie się Ententa i że nam nie wolno rozdrażniać Niemców. Powiadano: „Nie mamy dostatecznej liczby wytrawnych sił, by móc objąć naraz całą administrację; musimy najpierw przejąć niektóre działy, w innych dodać jedynie Niemcom kontrolerów ich czynności służbowych i stopniowo wykształcić personel polski. Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu będzie starała się w ten sposób z wolna przejąć całą naszą dzielnicę z rąk Niemców, obejmując swoją działalnością coraz to większy teren".

eprasa.pl 78b78ef26b

Innymi słowy: Poznań to wielka rzecz. Poznań i ci, których NRL zaproteguje, obejmą kolejno posady. Wy, reszta – czekajcie! Na razie nie wiemy, czy wy w ogóle istniejecie. Niemcy i Ententa wskażą nam was i orzekną, które dzielnice będą do nas należały. Hierarchia, jaka wytworzyła się przed wojną w walce z Niemczyzną, musi być ściśle przestrzegana. My nie uznajemy żadnej rewolucji, żadnych gwałtownych zmian. Ententa, prezydent Wilson rozstrzygną sprawiedliwie o naszych losach. Niemcy to dla nas niespożyta potęga, lecz z czasem będą musieli oddać nam wszystko, co Wersal nakaże; pod naciskiem Ententy będą dla nas uprzejmi!

Byłem innego zdania. Ani rusz nie mogłem sobie wyobrazić, by można było z Niemcem dojść do ładu wyłącznie na drodze dyplomatycznej, i dziwiłem się, że moi znajomi, ludzie, którzy bądź co bądź Niemca znają, chociaż wojnę przebyli przeważnie w domu, zapatrują się na tę sprawę tak różowo i nie uważają za potrzebne przygotować bardziej przekonywujących argumentów w postaci siły zbrojnej. Ilekroć natomiast zetknąłem się z tymi, co byli na wojnie, stwierdzałem, że większość z nich podziela moje zapatrywanie, iż z Niemcami musi dojść do rozprawy orężnej. Poczynania niemieckie, a zwłaszcza nasyłanie załóg do każdej prawie mieściny w Wielkopolsce i na Pomorzu, upewniały nas, że Niemcy ani myślą o dobrowolnym zrzeczeniu się swych praw zaborcy.

Polacy tymczasem – jak to na każdym kroku w Wielkopolsce obserwowałem – urządzali ciągłe zjazdy, wiecowali, uchwalając najrozmaitsze rezolucje w duchu patriotycznym. Wszystkie te działania oczywiście nie prowadziły zdecydowanie w kierunku całkowitego uniezależnienia się od zaborcy.

Nie myślę bynajmniej zaprzeczać faktom, o których dzisiaj tak wiele się mówi, że te lub owe stowarzyszenia – zwłaszcza „Sokół" oraz osoby pojedyncze magazynowały broń lub amunicję i organizowały się w drużyny wojskowe. Wiem dobrze, że np. Września, Jarocin, Środa i Kórnik miały nawet kilka zwartych, wyćwiczonych kompanii, które też odegrały decydującą rolę w pierwszych dniach powstania w Wielkopolsce (w Poznaniu, Gnieźnie i w Zbąszyniu), ale muszę podkreślić, że formowanie się tych oddziałów nastąpiło bez wiedzy i na pewno przeciw wyraźnej woli tych, którzy zajmowali wówczas kierownicze stanowiska w naszym społeczeństwie. Niestety, dowódcami tych drużyn byli często ludzie nieobyci z wojną, do szeregów natomiast garnęli się chętnie zdemobilizowani wojskowi, przeważnie ludzie bez pracy i stanowiska, a więc po największej części robotnicy miejscy; z inteligencji tylko garść zapaleńców.

Wojciech Jedlina-Jacobson

Po zwiedzeniu Wielkopolski wybrałem się około 20 grudnia ze Środy przez Poznań do Starogardu na Pomorzu. W przedziale kolejowym natknąłem się niespodzianie na kolegę z czasów uniwersyteckich, dra Wierusza z Poznania, słaniającego się ze znużenia. W toku rozmowy dowiaduję się od niego, że wiezie on jako kurier ważne wiadomości z Warszawy dla NRL, bo do Gdańska ma przybyć torpedowcem misja Ententy, a z nią gen. Haller lub hr. Wielopolski, a może i sam Paderewski. Gdy stanęliśmy na dworcu w Poznaniu, dr Wierusz, który ode mnie dowiedział się, że za kilka godzin jadę dalej do Starogardu i Gdańska, poprosił mnie ze sobą do hotelu przy ulicy Św. Marcina, gdzie rezydował Komisariat Naczelnej Rady Ludowej. Po długim czekaniu poproszono mnie do księdza Adamskiego, który dał mi list z poleceniem, bym doręczył go posłowi Korfantemu lub jednemu z Polaków, członków misji, i to zaraz po jej przybyciu do Gdańska. Nie wolno mi dopuścić, by list dostał się w ręce niemieckie. Zgodnie z jego radą przypiąłem sobie na czas trwania mej misji oficerską rozetkę pruską do czapki, a do munduru inne odznaki, z którymi rozstałem się przy wybuchu niemieckiej rewolucji.

W Gdańsku oczekiwała przybycia misji tamtejsza Polonia oraz wielu delegatów. W łonie ich znaleźli się już tacy, którzy spodziewali się w związku z przybyciem misji uzyskania jakiejś dobrze płatnej posady z widokiem na dalszą karierę. Z ramienia NRL czekał na misję od kilku dni adwokat Maciaszek. Korfanty dotychczas jeszcze nie przybył. Zapoznałem się z członkami „Rady żołnierzy Polaków w Gdańsku" Sojeckim, Wojciechowskim i innymi. Od nich dowiedziałem się o tym, co mnie najwięcej obchodziło, a mianowicie, że Kaszubi nie demobilizują się, że stanowią liczebną przewagę w załodze Gdańska, że artyleria w Oliwie i w licznych fortach oraz rozmaite inne formacje wojskowe składają się, z wyjątkiem oficerów, prawie wyłącznie z Polaków. Na rozkaz NRL Gdańsk będzie w kilku godzinach naszym!

Rada żołnierska dysponuje w Gdańsku i na przedmieściach pułkiem artylerii i skromnie licząc, 4–6 tysiącami piechoty, a broń i amunicja w Gdańsku wystarczą do zaopatrzenia całego Pomorza na długi nawet okres czasu. Moi informatorzy zapewniają mnie przy tym, że w innych garnizonach wszczęto równobieżną akcję wojskową, a mianowicie w Starogardzie, Malborku, Grudziądzu i Pile. Ściślejszych danych w liczbach nie mogą mi jednakże podać; nic też nie wiedzą o Toruniu.

Odnoszę wrażenie, że Pomorze znacznie lepiej przygotowało się do nieuniknionej rozprawy z Niemcami jak Poznańskie, mimo że nie widzę tutaj tego rozgorączkowania i tego rzucającego się w oczy zapału, tak znamiennego dla Wielkopolski. Poznań to nasza stolica, ośrodek zawziętej walki przeciw germanizacji, nic więc dziwnego, że znaleźli się tam co najświetniejsi politycy i mówcy. Oczy i uszy całej dzielnicy skierowane są z napięciem na NRL i jej decyzje. Jest to przecież nasza naczelna władza, która stara się niezależnie od obojętnej Warszawy wywalczyć naszą wolność. Jest wyraźnie widocznym, że Warszawa żyje w zgodzie z Niemcami, którzy głoszą, że rząd w Warszawie nie ma żadnych pretensji do polskich dzielnic pod zaborem pruskim.

Trudno mi nie wierzyć w to „szwabskie gadanie". Jako Pomorzanin – student spotykałem się prawie stale w rozmowach z bracią czy to z Małopolski, czy też »

eprasa.pl 78b78ef26b

» Kongresówki z zupełnym brakiem uświadomienia o sile polskiej pod Prusakiem. Uważano nas zawsze za jakieś tam resztki, żyjące może jeszcze tradycją polskości, sam zaś kraj za zupełnie zniemczony. Wobec tego obawiałem się, że nie będzie zbyt trudnym dla dyplomacji niemieckiej przekonać rząd warszawski, a tą drogą także Ententę, że Polacy w dzielnicy pruskiej zadowolą się pewnymi ulgami administracyjnymi, bo zasadniczo nie życzą sobie przyłączenia ich do Polski.

W tych warunkach stało się dla mnie jasne, że bez zbrojnego porywu nie ma mowy o tym, by Prusak choć piędź ziemi odstąpił Polsce dobrowolnie. Świat uwierzy nam dopiero wtedy, gdy złożymy wyraźną ofiarę krwi. Lud Wielkopolski i Pomorza jest gotowy do tej rozgrywki. Kierownicy nasi obawiają się jednak ponieść odpowiedzialność w tym właśnie kierunku.

Wigilię Bożego Narodzenia spędziłem w Starogardzie przy łożu mego śmiertelnie chorego ojca. Odebrawszy wiadomość, że misja przybyła, wróciłem natychmiast do Gdańska. Zastałem ją zakwaterowaną w hotelu niedaleko dworca. Portier zapytany o misję wprowadził mnie do pokoju, gdzie mieścił się odwach niemiecki. Odbieram raport sierżanta i każę prowadzić się dalej. Sierżant przydziela mi niechętnie żołnierza, który prowadzi mnie na piętra. Służbiście otwiera drzwi do dwu pokojów zajętych przez oddział podsłuchowy. Przekonuję się, że wszyscy przy pracy „auf Posten" i każę zaprowadzić się do sali posiedzeń. Żołnierza pozostawiam na korytarzu, sam wchodzę do przedpokoju. Przerażonemu odźwiernemu polecam poprosić Korfantego i Maciaszka. Gdy odźwierny wchodził na salę, zauważono mój mundur pruskiego oficera. Wśród zebranych powstała wyraźna konsternacja – szybko zażegnana przez Korfantego, który wprowadził mnie na salę i zaprosił do stołu. Wręczając list, zwróciłem mu uwagę na podsłuch i „opiekę" wojskową, co było dla misji rzeczą zupełnie niespodziewaną.

List musiał wywrzeć wielkie wrażenie: po przeczytaniu go Paderewski poprosił kilku panów do sąsiedniego pokoju. Po pewnym czasie wyszedł stamtąd z Korfantym i pułkownikiem angielskim i zawezwał wszystkich, by przygotowali się do podróży. Program wyjazdu musi ulec zmianie – misja pojedzie do Poznania!

POCZYNANIA NIEMIECKIE, A ZWŁASZCZA NASYŁANIE ZAŁÓG DO KAŻDEJ PRAWIE MIEŚCINY W WIELKOPOLSCE I NA POMORZU, UPEWNIAŁY NAS, ŻE NIEMCY ANI MYŚLĄ O DOBROWOLNYM ZRZECZENIU SIĘ SWYCH PRAW ZABORCY

Na moje skromne zapytanie, kiedy nasze ziemie będą wolne od Prusaka, dostojny nasz Mistrz odparł krótko: „Co weźmiecie, to będzie wasze". Słowa te, tak zgodne z moimi zapatrywaniami, wywarły wpływ decydujący na moje dalsze poczynania.

* * *

Angielskiemu pułkownikowi polecono przeprowadzenie w dowództwie korpusu pertraktacji w sprawie przejazdu misji. Ofiarowuję mu swą pomoc, na co ten godzi się chętnie. Dowódca korpusu przyjmuje nas natychmiast; jest blady, na pozór uprzejmy, lecz widzę, że się w nim aż gotuje od złości. Na żądanie pułkownika przepuszczenia misji w kierunku Poznania, wypowiedziane po angielsku, a następnie po francusku, oświadcza hardo, że mówi tylko po niemiecku. Tłumaczę mu treść przemowy, na co otrzymuję stanowczą odpowiedź, że dyspozycję co do trasy jazdy w myśl życzenia misji odebrał z Berlina i już wydał odpowiednie zarządzenia. Bez zgody Berlina nie może nic zmienić. Misja musi poczekać jeszcze dobę, gdyż godziny służbowe już minęły, więc porozumienie się z Berlinem jest niemożliwe; zresztą tam nie są przyzwyczajeni odwoływać raz wydanych rozkazów. W Niemczech idzie wszystko planowo.

Na rozmaite wywody pułkownika (teraz jakoś tłumaczyć ich nie potrzebuję!) słyszę stale: „to niemożliwe", „żałuję bardzo, nie!" – „Po przybyciu do Warszawy drogą przez Malbork i Mławę może misja starać się u rządu o pozwolenie na przyjazd do Poznania".

Przypominają mi się nagle słowa majora Steinbrücka wypowiedziane na ostatniej odprawie oficerskiej w Krekowie pod Szczecinem: „W naszych polskich prowincjach musi panować grobowa cisza". Ogarnia mnie pasja. Podchodzę do generała tak blisko, że musi on cofnąć się od klawiatury dzwonków alarmowych i uderzając pięścią w stół, oświadczam mu jako przedstawiciel Centralnej Rady Żołnierskiej: „Wersal rozkazuje, Berlin wykonuje rozkazy. Niech pan generał o tym nie zapomina. Jeżeli natychmiast nie da pan na piśmie polecenia do władz kolejowych, by misję przewieziono do Poznania, w takim razie misja za kilka godzin ruszy do Poznania wozami pod eskortą polskiej załogi. Konsekwencje takiej demonstracyjnej jazdy będzie pan musiał sam ponosić, a Berlin przestrzegał przecież przed prowokowaniem ludności polskiej!".

Słowa moje były druzgocące. Kiedy twierdziłem, że pośród żołnierzy – Kaszubów mam dostatecznie silne poparcie, by przeprowadzić swoje zamiary, generał spojrzał niedowierzająco na swego adiutanta, a ten kiwnął głową z determinacją. Opór generała nagle znikł. Natychmiast wydał telefoniczny rozkaz do komendy kolejowej o zmianie kierunku jazdy, wyznaczył godzinę odjazdu misji i dał nam nowe zlecenia na piśmie.

Fragment książki

eprasa.pl 78b78ef26b

OSTATNIA PROSTA DO SEJMU USTAWODAWCZEGO

JESIEŃ 1918 r. TO CZAS, GDY UPADAŁY STARE CESARSTWA, GDY NARODY SKAZANE NA NIEWOLĘ ODZYSKIWAŁY WOLNOŚĆ, A PAŃSTWA POGRĄŻONE W NIEBYCIE POWRACAŁY DO SUWERENNEGO ŻYCIA

TOMASZ PANFIL

Polska, której słabości elit rządzących i zła wola sąsiadów odebrały niezależność na początku XVIII w., a niepodległość w jego końcu, która żyła, bo żyli Polacy, która przez z górą sto lat, przez cztery generacje dopominała się prawa do istnienia ofiarą krwi i pracy polskiego narodu, wreszcie zyskiwała szansę na niepodległość. Lecz wciąż trzeba było wiele trudu, by wolna Polska przeszła z kraju marzeń w rzeczywistość.

„Nikt na całym świecie Polski nie chce!" – stwierdził gorzko w 1914 r. Michał Sokolnicki, sekretarz Naczelnego Komitetu Narodowego. W ciągu czterech lat Wielkiej Wojny sprawa polska zyskała wprawdzie kilku wpływowych zwolenników, ale do starych wrogów doszli nowi. Najważniejsze jednak było to, że w 1918 r. niepodległości pragnęli sami Polacy. Bo absolutną rację miał Ignacy Daszyński, który w dziesiątą rocznicę cudu zmartwychwstania powiedział: „Nie ulegajmy jednak zaślepieniu, jakobyśmy »dostali Polskę darmo«. Nie zamykajmy oczu na własny ruch odrodzeńczy, który na długo przed wojną światową ogarnął szerokie warstwy ludu polskiego. Obce armie nie mogłyby państwowo wyzwolić narodu-trupa, który by sam nie miał w sobie woli do życia, woli do wolności i niepodległości!". »

Otwarcie Sejmu RP, na mównicy Józef Piłsudski, 10 lutego 1919 r., Warszawa

FOT. ZBIORY MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/ EAST NEWS

W gorączkowym pośpiechu

Niekiedy łatwiej zburzyć istniejącą konstrukcję i budować od początku. Ileż trudu i cierpliwości wymaga poszanowanie tradycji, traktowanie z szacunkiem nobliwych artefaktów przeszłości, liczenie się z tym, co choć ułomne i nie całkiem własne, to jednak istnieje i choć dalekie od doskonałości, to potrzebne jest już, tu i teraz. A przecież budowanie jednej, zjednoczonej Polski wymagało dojścia do ładu z pięcioma systemami prawnymi, tyluż oświatowymi i pieniężnymi, kilkoma systemami miar i wag, poradzenia sobie z konsekwencjami granic dzielących polskie ziemie wzdłuż i w poprzek, co choćby w dziedzinie infrastruktury komunikacyjnej było brzemienne w skutki. A to tylko niektóre elementy materialnego spadku okresu rozbiorów. A mentalność ludzi? Choćby to, że przez pokolenia przywykli oni traktować państwo jako wroga, jako obcy system opresji? Józef Piłsudski w dekrecie z 14 listopada napisał: „Wyszedłszy z niemieckiej niewoli, zastałem wyzwalającą się Polskę w najbardziej chaotycznych stosunkach wewnętrznych i zewnętrznych, wobec zadań niezwykle trudnych, w których lud polski sam musi wykazać swoją zdolność organizacyjną, bo żadna siła z zewnątrz nie może mu jej narzucić". Właściwie, zważywszy na ogrom pracy i trudności, na sytuację wewnętrzną i kontekst międzynarodowy, nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby ówcześni Polacy załamali ręce, gdyby powiedzieli: „To niemożliwe, tego nie da się zrobić!". Ale była jedna idea, która popychała ich do pracy ponad siły, do działań na pierwszy rzut oka niewykonalnych. Tą ideą była wolność. „Niepodobna oddać tego upojenia, tego szału radości, jaki ludność polską w tym momencie ogarnął. Po 120 latach prysły kordony! Nie ma »ich«! Wolność! Niepodległość! Zjednoczenie! Własne państwo! Na zawsze! Chaos? To nic! Będzie dobrze. Wszystko będzie, bo jesteśmy wolni od pijawek, złodziei, rabusiów, od czapki z »bączkiem«, będziemy sami sobą rządzili". Być może w rzeczywistości nastroje nie były aż tak euforyczne jak we wspomnieniu Jędrzeja Moraczewskiego, bo Maria Dąbrowska z pewnym smutkiem nawet zauważyła, że „...wstaje Polska. I nikt nie widzi, jak jest piękna. Nikt nie spostrzega w tym zgiełku".

W WYBORACH 26 STYCZNIA 1919 r. WYŁONIONO 291 POSŁÓW, W KOLEJNYCH MIESIĄCACH URZĄDZANO WYBORY W OKRĘGACH, W KTÓRYCH SYTUACJA SIĘ STABILIZOWAŁA. OSTATECZNIE SEJM USTAWODAWCZY LICZYŁ 442 POSŁÓW

Rzeczy niemożliwe od ręki

Tego, że Polska nie ma czasu, aby robić rzeczy konieczne po kolei, nauczyli nas wrogowie. Gdy ludzie na świecie cieszyli się z końca Wielkiej Wojny, wojny, która miała być końcem wszystkich wojen, gdy chłopcy opuszczali okopy i wracali do domów, dla Polski dopiero nadchodził czas walki. Od 1 listopada kobiety i dzieci broniły polskiego Lwowa przed Ukraińcami; 28 grudnia rozpoczęła się wojna z Niemcami o polskie Poznań i Gniezno, 4 stycznia 1919 r. bolszewicy zaatakowali i zdobyli Wilno, 23 stycznia zaś Czesi, łamiąc umowę, zajęli zbrojnie Śląsk Cieszyński. Ogień i krew wytyczały granice naszej niepewnej wolności. Prowadząc cztery wojny jednocześnie, Polska budowała struktury państwowe i ustalała zasady organizacji państwa i społeczeństwa. Poglądów i pomysłów na przyszłą Polskę było wiele, ale pewne było, że musi to być Polska demokratyczna i sprawiedliwa. Dlatego Józef Piłsudski pierwszym swym dekretem z 14 listopada nie tylko powierzył Ignacemu Daszyńskiemu misję utworzenia rządu, ale zalecał, by był to rząd zapewniający reprezentację najszerszych warstw społecznych i stronnictw politycznych. Rząd ten – powołany 18 listopada z Jędrzejem Moraczewskim jako premierem – już w ciągu czterech dni wywiązał się z obowiązku zaprojektowania organizacji najwyższych władz państwa, piątego zaś dnia swego istnienia przedłożył Naczelnikowi Państwa projekt pierwszego aktu prawnego: 23 listopada ukazał się dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy, potem – z powodu katastrofalnych niedoborów podstawowych artykułów – o kontroli państwa nad zakładami pracy, surowcami i towarami, 29 listopada uregulowano status finansowy nauczycieli. Dzień wcześniej ogłoszono dekrety o ordynacji wyborczej i wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Jędrzej Moraczewski z oburzeniem pisał o poprzednikach, o powołanym jeszcze przez Radę Regencyjną rządzie Jana Świeżyńskiego, że choć istniał aż 14 dni, to nie przygotował projektu ordynacji wyborczej do sejmu. Projekt przygotowany przez rząd Moraczewskiego w ciągu zaledwie pięciu dni ukazał się w 18. numerze „Dziennika Praw" pod numerem 46. Ordynacja liczyła 101 artykułów i 5 dodatków, a najważniejsze postanowienie zawierał artykuł 1: „Wyborcą do Sejmu jest każdy obywatel państwa bez różnicy płci, który do dnia ogłoszenia wyborów ukończył 21 lat". Była to realizacja zapowiedzi Ignacego Daszyńskiego z czasu jego premierostwa w Rządzie Tymczasowym w Lublinie. „Po raz pierwszy w Polsce uznano kobietę za równouprawnioną z mężczyzną. Nadanie praw obywatelskich kobietom postawiło Polskę w rzędzie narodów nowoczesnych i wyrównało wielowiekową krzywdę, wyrządzaną połowie narodu polskiego" – pisał z dumą Moraczewski. Z dumą, ale i skromnością, równouprawnienia politycznego kobiet bowiem dokonała Polska jako drugie państwo w Europie – wcześniej (w 1906 r.) uczyniła to tylko Finlandia, wówczas jeszcze część Rosji.

Niezwykle liberalne było bierne prawo wyborcze – by zostać kandydatem, wystarczyło pisemne poparcie 50 obywateli, startować można było z kilku okręgów wyborczych, żaden zawód – nawet wojskowego (chociaż wojskowi nie mieli czynnego prawa wyborczego) ani urzędnika państwowego – nie wykluczał możliwości kandydowania, podobnie jak przynależność do stanu duchownego.

Czas nagli...

Kraj podzielony został na 70 okręgów wyborczych. Ponieważ w części dawnego zaboru austriackiego toczyła się wojna z Ukra-

eprasa.pl 78b78ef26b

ińcami, a decyzję co do losów zaboru pruskiego dopiero miała podjąć oczekiwana konferencja pokojowa, wybory do Sejmu Ustawodawczego odbyć się miały tylko w 46 okręgach. Tak stanowił dekret nr 47 Naczelnika Państwa, zarządzający wybory na dzień 26 stycznia 1919 r. Jednak nawet i to okazało się niemożliwe: to właśnie wyznaczenie okręgów wyborczych na terenie Śląska Cieszyńskiego wywołało najazd czechosłowacki – prezydent Masaryk uprawiał politykę faktów dokonanych. Do czasu, aż nie będą możliwe wybory demokratyczne – stanowił dekret – obowiązki posłów z Galicji i zaboru pruskiego podejmą dawni posłowie do parlamentów niemieckiego i austriackiego. Z podsumowania liczby mandatów przypisanych do okręgów wynikało, że Sejm powinien liczyć aż 513 posłów.

Niespełna dwa miesiące – tyle tylko czasu miała tworząca się dopiero administracja polska na przygotowanie i przeprowadzenie wyborów. A działo się to w czasie, gdy rozpalały się kolejne wojny, gdy narastało napięcie społeczne, bo do fatalnej sytuacji aprowizacyjnej, do konieczności radzenia sobie z przemieszczającymi się masami wojsk niemieckich i dawnych austriackich, doszła antypolska i antypaństwowa agitacja powstałej w grudniu 1918 r. Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, realizującej zlecenia rosyjskich bolszewików. W obawie przed komunistycznymi prowokacjami, dla bezpiecznego przeprowadzenia wyborów, w niektórych regionach i miastach wprowadzano stan wyjątkowy – tak było np. w Warszawie. Jednak z elekcją nie można było zwlekać. Słusznie zauważał Piłsudski, że „kraj wymaga głębokich zmian społecznych, które przeprowadzić może tylko Sejm Ustawodawczy”.

Wolne, powszechne, równe, proporcjonalne

Niemożliwe okazało się przeprowadzenie wyborów jednego dnia – Sejm powiększał się stopniowo aż przez trzy lata. W wyborach 26 stycznia 1919 r. wyłoniono 291 posłów, w kolejnych miesiącach urządzano wybory w okręgach, w których sytuacja się stabilizowała, np. 1 czerwca, przy mniej więcej przestrzeganym zawieszeniu działań wojennych, udało się dokonać elekcji 42 posłów w dawnym Wielkim Księstwie Poznańskim. W końcu 1919 r. Sejm liczył 404 posłów, kolejnych 18 doszło w maju 1920 r. po wyborach na Pomorzu, a ostatnich 20 dołączyło w marcu 1922 r., po przyłączeniu do Polski Litwy Środkowej. Ostatecznie Sejm Ustawodawczy liczył 442 posłów.

Chęć zapewnienia sejmowej reprezentacji wszystkim stronnictwom politycznym, zorganizowanym grupom obywateli, społecznościom lokalnym, która legła u podstaw arcydemokratycznej ordynacji, sprawiła, że Sejm Ustawodawczy był ciałem niezwykle zróżnicowanym i rozdrobnionym. Największą liczbę posłów wprowadziły do niego ugrupowania konserwatywne i prawicowe. Wśród 291 posłów wybranych 26 stycznia było osiem pań, pierwszych w historii Polski kobiet prawodawców.

Pierwszy taki sejm

Sejm Ustawodawczy był fenomenem w historii Polski. Bo chociaż Rzeczpospolita Obojga Narodów była faktycznie państwem jak na owe czasy demokratycznym i republikańskim, to jednak jej parlament miał charakter stanowy. Konstytucja Trzeciego maja, która przewidywała udział reprezentantów mieszczaństwa w pracach sejmu, de facto nie weszła w życie. Dopiero teraz, w 1919 r., ciało ustawodawcze było prawdziwym reprezentantem Narodu. Nic więc dziwnego, że dzień 9 lutego, na który Naczelnik Państwa zwołał pierwsze posiedzenie Sejmu, stał się prawdziwym świętem: i demokracji, i Narodu, i państwa. Szesnasty numer „Dziennika Praw Państwa Polskiego” z 1919 r. zawierał trzy dekrety (numery 216–218) Naczelnika Państwa kontrasygnowane przez prezydenta ministrów Ignacego Jana Paderewskiego. Pierwszy z 5 lutego zwoływał „do miasta stołecznego Warszawy na dzień 9 lutego 1919 r.”. W drugim, „aby uczcić i upamiętnić wielki dla Narodu Polskiego dzień otwarcia Sejmu Ustawodawczego”, Piłsudski ustanawiał dzień 10 lutego dniem wolnym od pracy. Trzeci zaś dekret, „dla upamiętnienia wielkiej w życiu Narodu Polskiego chwili”, ogłaszał amnestię dla osób winnych przestępstw administracyjnych i sądowych. Niskie kary darowywano całkowicie, cięższe łagodzono o połowę lub jedną trzecią, orzeczone kary śmierci zamieniano na dożywotnie więzienia.

Heraklejskie prace Sejmu

Bilans prac Sejmu Ustawodawczego, którego kadencja przypadła przecież na ciężkie, wojenne czasy z najazdem bolszewickim na czele, jest imponujący. Zwiastował to pierwszy dzień obrad: dla wszystkich był to dzień świąteczny, posłowie otrzymali do zatwierdzenia ponad 200 dekretów Naczelnika Państwa. W czasie kadencji (trwającej do grudnia 1922 r.) Sejm Ustawodawczy uchwalił ponad 500 ustaw, w tym – 17 marca 1921 r. – najważniejszą: Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej.

REKLAMA

52/1218/F

eprasa.pl 78b78ef26b

POLSKA KONSTYTUANTA – SZKIC DO PORTRETU

FOT. MICHAŁ KARPOWICZ

PO 100 LATACH WIELE ZALET PIERWSZEJ POLSKIEJ KONSTYTUANTY, TEJ ARCYPOLSKIEJ INSTYTUCJI, WYDAJE SIĘ PRZEZ NAS, ICH POTOMKÓW, NIESŁUSZNIE ZAPOMNIANE

PAWEŁ SKIBIŃSKI

Zwiedzając w warszawskim Muzeum Narodowym wystawę rocznicową z okazji setnej rocznicy odzyskania niepodległości, w jednej z sal możemy zobaczyć zaprezentowany zestaw kilku charakterystycznych litografii portretowych. Zwracają one naszą uwagę dostojeństwem i spokojem bijącymi z przedstawionych na grafikach męskich twarzy. Jest to część zbioru portretów posłów Sejmu Usta-

eprasa.pl 78b78ef26b

wodawczego, sporządzonego przez Stanisława Lentza, ówczesnego dyrektora warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Lentz uwiecznił w 1919 r. dwudziestu spośród niemal 400 reprezentantów społeczeństwa zasiadających w ławach pierwszego Sejmu niepodległej Rzeczypospolitej. Na potomnych spoglądają więc twarze ówczesnych wybrańców narodu: twarze poważne, inteligentne i... w przeważającej części ozdobione imponującymi wąsami. Wąsy zdobią twarze chłopów, inteligentów i ziemian. Wyjątek stanowią Stanisław Grabski – jeden z liderów sejmowych narodowych demokratów – ze swoją przyciętą w szpic bródką oraz rabin Abraham Perlmutter z dostojną brodą, charakterystyczną dla wiekowych ortodoksyjnych Żydów. Zupełnie bez zarostu prezentowali się natomiast księża: abp Józef Teodorowicz, narodowy konserwatysta i jedyny biskup w składzie ówczesnego sejmu, zagorzały endek ks. Kazimierz Lutosławski oraz znany spółdzielca i twórca Liskowa, reprezentujący prawe skrzydło ruchu ludowego – ks. Wacław Bliziński.

Jednak nie jest to przecież głównie przegląd mody męskiej sprzed 100 lat. Portrety stanowią prawdziwą zróżnicowaną galerię ówczesnych posłów. Oto obok galicyjskich i pruskich konserwatystów z Józefem Baworowskim oraz prezydentem Krakowa Janem Kantym Fedorowiczem oraz marszałkiem seniorem izby Stanisławem Radziwiłłem, widać portrety socjalistów z krótko ostrzyżonym Ignacym Daszyńskim, liderem socjaldemokracji w Galicji, Hermanem Diamandem czy zasłużonym dla Śląska Cieszyńskiego Tadeuszem Regerem. Możemy zobaczyć, jak wyglądał marszałek Sejmu Ustawodawczego Wojciech Trąmpczyński oraz prawicowy kandydat na premiera i dyktator III powstania śląskiego Wojciech Korfanty.

Widzimy twarze ludzi myślących (choć, dodajmy od siebie, różnie myślących), wielu z nich autentycznie bezinteresownych i szlachetnych. W każdym razie ludzi interesujących i nieprzeciętnych, którzy reprezentowali nasze społeczeństwo u progu niepodległości. Wielu z uwiecznionych na lentzowskich portretach przeszło przez konspirację narodową lub niepodległościową, kilku zasiadało w zaborczych parlamentach, w których upominali się o prawa Polaków. Jabłonowski był np. posłem do rosyjskiej Dumy, Korfanty do parlamentu berlińskiego, a Stanisław Głąbiński – do austriackiego. Byli to więc ludzie politycznie wyrobieni, jednak pozbawieni tego specyficznego doświadczenia, jakim jest troska o dobro własnego państwa. Musieli się tego uczyć dopiero w działalności praktycznej, w napiętej sytuacji, gdy ważyły się losy niepodległego państwa zmagającego się z licznymi trudnościami wewnętrznymi i kilkoma wojnami na granicach. Można więc z perspektywy stulecia postawić sobie pytanie, czy dobrze wypełnili swoje zadanie w tych niełatwych warunkach?

Prawdziwa reprezentacja

Przede wszystkim myśląc o naszym pierwszym w Niepodległej Sejmie, warto pamiętać, że była to rzeczywista reprezentacja narodu. Polacy wybierali swoich posłów natychmiast, gdy tylko było to możliwe; zasadnicze wybory odbyły się przecież w styczniu 1919 r., a więc ok. 10 tygodni po oficjalnym zakończeniu działań wojennych. Nie oznaczało to oczywiście, że na ziemiach polskich nie toczyły się wojny z sąsiadami. Trwało przecież powstanie wielkopolskie, zmagania z Ukraińcami uniemożliwiły wybory w Galicji Wschodniej, a z Czechami na Śląsku Cieszyńskim. Jednak mimo niepewnej sytuacji, mimo zagrożeń czyhających na Polskę niemal z każdej strony, mimo wreszcie nawoływania do bojkotu ze strony komunistów i mniejszości narodowych, nasi dziadkowie udali się tłumnie do urn wyborczych.

Frekwencja w Królestwie Polskim wahała się od ponad 75 proc. do ponad 90 proc. uprawnionych i to mimo że znaczna część wyborców głosowała po raz pierwszy. W końcu w zaborze rosyjskim nie obowiązywała powszechna ordynacja wyborcza, nawet dla mężczyzn, a dodatkowo po raz pierwszy na ziemiach polskich głosowały również kobiety.

Ta wysoka frekwencja świadczyła o powszechnej identyfikacji Polaków z odradzającym się państwem, a także o tym, że nasi dziadkowie zdecydowanie odrzucili program rewolucji, czyli dokonywanych przemocą gwałtownych zmian społecznych. Na radykalne przemiany społeczne oczekiwała wyraźna mniejszość ówczesnych Polaków, skoro nawet partie umiarkowanej lewicy, czyli Polska Partia Socjalistyczna oraz lewica chłopska z Polskim Stronnictwem Ludowym „Wyzwolenie" na czele, uzyskały wspólnie zaledwie jedną czwartą głosów, podczas gdy koalicja prawicowa skupiona wokół narodowych demokratów zwyciężyła, dostając 40 proc. poparcia ze strony wyborców, zaś Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" – które triumfowało w Galicji – osiągnęło samodzielnie 15 proc. głosów. Mandat demokratyczny zgromadzenia nie podlegał więc dyskusji, a Polacy przy urnach – w przeciwieństwie do ogromnej większości narodów europejskich – odrzucili projekt rewolucyjny, który zdawał się zwyciężać wówczas nie tylko w Rosji, ale także w Niemczech i na Węgrzech.

Główne zadania Sejmu

Przed izbą w styczniu 1919 r. rysowały się trzy główne zadania polityczne. Po pierwsze – zapewnienie rodzącemu się państwu polskiemu legitymacji demokratycznej. Po drugie – nadanie odrodzonej Polsce kształtu ustrojowego w postaci konstytucji, najpierw prowizorycznej, a następnie ostatecznej. Po trzecie – wyłonienie stabilnego rządu mającego stabilne wsparcie parlamentarne.

Pierwsze z tych zadań Sejm wypełnił w stu procentach. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że naród polski wspiera ze wszystkich sił powstanie własnego państwa, a jego sejmowa reprezentacja jest wprawdzie zróżnicowana, zwłaszcza pod względem społecznym, ale zgadza się co do tej podstawowej przesłanki. Dziś możemy powiedzieć, że pierwszy Sejm zaskakiwał swoją wielobarwnością.

Wprawdzie w trakcie funkcjonowania Sejmu nastąpiła dalsza fragmentacja ugrupowań sejmowych w ramach i tak zróżnicowanego wewnętrznie parlamentu. Proces ten z pewnością nie szedł w parze z nastrojami społecznymi, ale za to odpowiadał taktyce sejmowej wielu polityków, szukających najdogodniejszych pozycji dla rozwoju własnej kariery. W sumie politycy – zwłaszcza posłowie wybrani z list prawicowych – przesuwali się gremialnie do centrum. Na firmamencie Sejmu Ustawodawczego rozbłyskiwały gwiazdy takich postaci jak były nadburmistrz Łodzi – Leopold Skulski czy wywodzący się z chrześcijańskiej demokracji Antoni Ponikowski, który znany był głównie z tego, że w trakcie I wojny światowej był tzw. aktywistą i wspierał Radę Regencyjną, będąc już wówczas przez kilka tygodni premierem z jej ramienia. W trakcie istnienia Sejmu Ustawodawczego obaj kierowali »

eprasa.pl 78b78ef26b

swymi gabinetami ministerialnymi, jednak jako byli premierzy nie sprostali kolejnej próbie wyborczej w 1922 r.

Można więc powiedzieć, że w wyniku roszad parlamentarnych legitymacja izby stopniowo słabła, a ostatecznie zweryfikowały ją dopiero nowe wybory jesienią 1922 r.

Drugie zadanie – ustanowienie ram ustrojowych Rzeczypospolitej Polskiej – również zostało przez Sejm wypełnione. Natychmiast po powołaniu do życia w lutym 1919 r. izba przegłosowała przyjęcie tymczasowej, tzw. małej, konstytucji. Był to bardzo zwięzły akt prawny, formalnie regulujący tylko powierzenie władzy Józefowi Piłsudskiemu jako naczelnikowi państwa, jednak ustalający też podstawowe zasady sprawowania przezeń władzy oraz wzajemne relacje między rządem, Sejmem a głową państwa. W sumie składał się z dwóch zasadniczych artykułów i mieścił się na jednej kartce.

Prace nad właściwą konstytucją były o wiele bardziej burzliwe i zabrały ponad dwa lata. Ostatecznie pierwsza ustawa zasadnicza odrodzonego państwa została przyjęta w marcu 1921 r. Była kompromisowa, naznaczona licznymi niekonsekwencjami i słabościami. Nie zapewniała np. wystarczających kompetencji władzy wykonawczej, tworząca wyższą izbę parlamentu, a jednocześnie nieobdarzająca jej odpowiednimi prerogatywami. Jednocześnie jednak bardzo demokratyczna i tworząca solidne podstawy prawne dla praw obywatelskich czy dla stosunków państwa z Kościołem. Ustawa, którą można było poprawić – jak dowodzi tego tzw. nowela sierpniowa z 1926 r., przyjęta wprawdzie już po zamachu majowym, ale według projektów przygotowanych jeszcze za czasów rządów parlamentarnych.

Można więc powiedzieć, że to ustrojotwórcze zadania Sejmu Ustawodawczego także zostało zrealizowane w sposób zadowalający.

Trzecie wyzwanie – wyłonienie stabilnego gabinetu – przerosło już jednak możliwości ówczesnych posłów. Sejm Ustawodawczy istniał od stycznia 1919 r. niemal do końca 1922 r. W tym też czasie zmieniło się aż osiem rządów i siedmiu premierów. Kadencję na stanowisku szefa rządu rozpoczynał Ignacy Jan Paderewski, potem władzę sprawowali kolejno Skulski, Władysław Grabski, Wincenty Witos, dwukrotnie Ponikowski, wreszcie Artur Śliwiński i Julian Nowak. Zarówno rząd Paderewskiego, jak i ostatnie cztery gabinety były to rządy pozaparlamentarne, które cieszyły się jedynie warunkowym poparciem izby i za których działalność żadne ze stronnictw nie chciało wziąć pełnej odpowiedzialności. Destabilizowało to państwo i nie pozwalało w pełni zagospodarować potencjału, co było niezbędne dla odbudowy zniszczeń, mobilizacji wojska czy trudnego scalania dzielnic rozbiorowych.

Trzeba jednak przyznać, że w chwili bezpośredniego zagrożenia państwa, w obliczu agresji bolszewickiej latem 1920 r., sejm był w stanie powołać rząd wielkiej koalicji i jedności narodowej, czyli gabinet Wincentego Witosa.

MYŚLĄC O NASZYM PIERWSZYM W NIEPODLEGŁEJ SEJMIE, WARTO PAMIĘTAĆ, ŻE BYŁA TO RZECZYWISTA REPREZENTACJA NARODU

Grzechy pierwszego Sejmu

Na bilansie działań Sejmu Ustawodawczego ciążyły jeszcze przede wszystkim dwa grzechy. Pierwszy obciążał całą scenę polityczną, ale przede wszystkim stronnictwa prawicy. Sejm Ustawodawczy wybrany według ultraproporcjonalnej ordynacji, w związku z tym ultrademokratyczny, miał być remedium na zagrożenie rewolucyjne. Chętnie posłowie posługiwali się więc demokratyczną i postępową retoryką, która nieraz była zwykłą demagogią głoszoną na wyrost w stosunku do możliwości państwa, ale także – jak pokazują wyniki wyborów – w stosunku do ówczesnych oczekiwań społecznych. Była to swoista obsesja demokratyczna elit, która wkrótce – w ciągu zaledwie kilku lat – zmieni się w równie uporczywą i jednostronną krytykę demokracji parlamentarnej, podnoszoną często przez tych samych ludzi.

Skrajnie proporcjonalna ordynacja wyborcza – pozbawiona w zasadzie mechanizmów stabilizujących – oparta była wprost na wzorcu ówczesnej europejskiej demokracji, to znaczy na III Republice Francuskiej. Tymczasem model francuski przeżywał już wówczas bardzo poważne zawirowania. Rozdrobnienie parlamentarne, wpływy niejawnych koterii (w przypadku francuskim – głównie masonerii), a także zwykła korupcja powodowały rozchwianie systemu i jego niewydolności. Kryzys III Republiki został poprzedzony kryzysem II RP, której pierwotny kształt ustrojowy był wzorowany na republice francuskiej.

Wydaje się, że polskie elity – naznaczone konsekwentnym antybolszewizmem – nie dowierzały własnemu społeczeństwu i nie były w stanie postawić na bardziej konserwatywny model ustrojowy.

Drugi grzech systemu uwidocznił się z czasem. Polegał on na niezdolności naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego do zawarcia jakiegokolwiek kompromisu z większością izby. Piłsudski nie tolerował u steru rządów swych konkurentów z obozu narodowo-demokratycznego. Preferował na czele gabinetów ludzi od siebie uzależnionych i pozbawionych realnego wsparcia parlamentarnego; do grona takich postaci musimy zaliczyć Ponikowskiego, Śliwińskiego czy Nowaka. Konflikt ten osiągnął apogeum, gdy naczelnik nie zgodził się w 1922 r. na objęcie rządów przez centroprawicową większość, na której czele stał Wojciech Korfanty.

Podsumowanie

Jak zauważył wybitny historyk, a zarazem uczestnik życia politycznego II Rzeczypospolitej, Władysław Konopczyński, pierwszy sejm zdradzał skłonności demagogiczne – zwłaszcza po lewej stronie izby, ale był też zdolny do wypracowania kompromisów i porozumień, co nie było regułą w polskim życiu politycznym. Dlatego na bilans jego dokonań trzeba patrzeć z życzliwością i aprobatą, pamiętając zarazem o słabościach.

Jednocześnie jednak z pewną nostalgią można spojrzeć na lentzowskie portrety Trąmpczyńskiego, Korfantego, Witosa, Głąbińskiego czy Daszyńskiego, byli oni bowiem prawdziwą elitą ówczesnego społeczeństwa. Dzięki nim Sejm był wówczas realnym centrum wydarzeń.

eprasa.pl 78b78ef26b

SEJM USTAWODAWCZY WOBEC BOLSZEWICKIEGO ZAGROŻENIA W 1920 r.

Otwarcie Sejmu Ustawodawczego w Warszawie, 10 lutego 1919 r.

FOT. NAC

U PROGU II RZECZYPOSPOLITEJ POCZESNE MIEJSCE W DZIAŁALNOŚCI PRZEDSTAWICIELI PARTII POLITYCZNYCH ZASIADAJĄCYCH W ŁAWACH SEJMU USTAWODAWCZEGO ZAJMOWAŁA POLITYKA ZAGRANICZNA

JANUSZ SZCZEPAŃSKI

Płaszczyzną ważnych dyskusji były kierunki polityki wschodniej. Najwybitniejsi ówcześni politycy, na czele z Romanem Dmowskim, Józefem Piłsudskim, Wincentym Witosem, reprezentowali pogląd, że odrodzona Polska jest moralną spadkobierczynią ziem dawnej Rzeczypospolitej. Zdawali sobie jednak sprawę, że państwo polskie drogą pokojową nie odzyska granic historycznych na wschodzie. Ich zdaniem odrodzona Polska nie zachowa niepodległości, jeśli nie przywróci swoich wschodnich granic sprzed rozbiorów. Naczelnik państwa Józef Piłsudski w przemówieniu wygłoszonym podczas otwarcia Sejmu Ustawodawczego 10 lutego 1919 r. stwierdził: „Nie oddamy ani piędzi ziemi polskiej i nie pozwolimy, by uszczuplano nasze granice, do których mamy prawo”.

Dwie drogi do wspólnego celu

Wśród ogółu polskiego społeczeństwa przeważał pogląd, że przyłączenie ziem na wschodzie jest aktem sprawiedliwości dziejowej. Jako argument przytaczano istnienie na Litwie, Białorusi i Ukrainie kilkumilionowej mniejszości polskiej, mającej szczególną pozycję w życiu politycznym, społeczno-gospodarczym i kulturalnym Kresów Wschodnich. Nie wyobrażano sobie, aby zwłaszcza poza granicami Rzeczypospolitej znalazły się Lwów i Wilno – miasta, w których Polacy dominowali. »

eprasa.pl 78b78ef26b

W dyskusji z udziałem polityków zasiadających w Sejmie Ustawodawczym zarysowały się dwie zasadnicze koncepcje rozwiązania kwestii wschodniej. Józef Piłsudski i jego zwolennicy spośród PPS, PSL „Wyzwolenie" i PSL „Lewicy" opowiadali się za ideą federacji z narodami zamieszkującymi obszar od Morza Czarnego do Morza Bałtyckiego. Po rozbiciu Rosji jako „więzienia narodów" miały powstać niepodległe państwa: Ukraina, Białoruś, Litwa i Łotwa. Wobec rosyjskiego zagrożenia państwa te powinny zabiegać o federację, o sojusz z Polską. Powstanie na wschodniej granicy państw sprzymierzonych dawało Polsce gwarancję odsunięcia się od Rosji na możliwie bezpieczną odległość. Dla Naczelnika Państwa szczególne znaczenie miał sojusz z Ukrainą.

Negatywne stanowisko wobec koncepcji federacyjnej zajęli politycy Narodowej Demokracji. Opowiadali się za inkorporacją terenów etnicznie polskich oraz przyłączeniem części terenów wschodnich o znacznym odsetku ludności polskiej, m.in. także tych, gdzie mniejszość polska stanowiła główną siłę kulturalną i gospodarczą. Dmowski uważał, że państwo polskie powinno objąć obszary etnicznie niepolskie, jak: Podole, Wołyń, połowę Białorusi z Mińskiem, całą Litwę z Kownem i Kłajpedą, część byłych Inflant Polskich. Był on przeciwny obejmowaniu przez państwo polskie terenów po Dźwinę i Dniepr na zasadach federacji. Warto nadmienić, że postulaty endecji w sprawie wschodniej granicy Polski kolidowały z narodowościowymi aspiracjami Ukraińców, Litwinów i Białorusinów.

Brak jednomyślności w kwestii granicy wschodniej panował wśród kierownictwa i członków PSL „Piast" – trzeciego co do wielkości ugrupowania w Sejmie Ustawodawczym. Początkowo większość z nich była za programem inkorporacji, pozostali członkowie PSL „Piast", pochodzący głównie z Królestwa Polskiego – za koncepcją federacji.

Wróg śmiertelny

Z koncepcjami polskich polityków na temat wschodniej granicy II RP nie mogli się pogodzić przywódcy bolszewickiej Rosji, traktujący Polskę jako część byłego rosyjskiego imperium. Od momentu zdobycia władzy w Rosji widzieli swoją misję w rozszerzeniu rewolucji nie tylko na terytoria, które do I wojny światowej wchodziły w skład imperium Romanowów, ale także na obszar Europy Środkowej i Zachodniej. W obliczu udziału państw zachodnich w zbrojnej interwencji przywódcy bolszewickiej Rosji na czele z Leninem obawiali się, że rewolucja w jednym tylko kraju się nie utrzyma. Przyjęli więc plan „eksportu" bolszewizmu na bagnetach Armii Czerwonej na zachód, sądząc, że Europa stoi w przededniu komunistycznej rewolucji. Należało ją więc przyśpieszyć także poprzez interwencję zbrojną. W planach tych szczególna rola przypadła Polsce. Poprzez nią prowadziła najkrótsza droga na Zachód, do Niemiec, jak sądzono najbardziej dojrzałych do rewolucji. Dlatego w połowie listopada 1918 r. rozpoczęła się operacja Armii Czerwonej zwana Tarczą Wisły. Do końca 1919 r. celem nadrzędnym dla bolszewickiej Rosji było jednak zdławienie kontrrewolucji i obcej interwencji.

Naczelny Wódz, bazując na meldunkach wywiadu wojskowego, miał wiedzę na temat przygotowań Armii Czerwonej do inwazji na Polskę. Za najlepszy sposób odsunięcia zagrożenia uznał uderzenie wyprzedzające: „Polska musi się przygotować do trzaśnięcia po łapach, dopóki łapy te są jeszcze słabe". Piłsudski postanowił szybko działać. Mimo że nie miał zgody ze strony większości partii politycznych Sejmu Ustawodawczego, zdecydował się na podpisanie 21 kwietnia 1920 r. układu z ukraińskim atamanem Petlurą oraz na wyprawę kijowską. Naczelnikowi Państwa dla koncepcji sojuszu z Petlurą udało się pozyskać zarówno premiera Leopolda Skulskiego, jak i przywódcę PPS Ignacego Daszyńskiego, od 24 kwietnia 1920 r. – przewodniczącego sejmowej komisji spraw zagranicznych. Tradycyjnie koncepcję federacyjną Piłsudskiego i plany współpracy politycznej i wojskowej z Ukraińską Republiką Ludową popierało Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie" na czele ze Stanisławem Thuguttem.

Zajęcie Kijowa przez Wojsko Polskie spotęgowało nastroje patriotyczne w kraju i miało wpływ na wzrost popularności Naczelnika Państwa. 4 maja 1920 r. marszałek Sejmu Wojciech Trąmpczyński porównywał wyprawę kijowską z sukcesami Bolesława Chrobrego: „Orły nasze lotem błyskawicy spoczną na dawnej Chrobrego granicy. Orły nasze niosą dziś ludności zamieszkującej Wołyń, Podole, Kijowszczyznę porządek i wolność, niosą błogosławieństwo pokoju". 11 maja 1920 r. abp Aleksander Kakowski celebrował w warszawskiej katedrze dziękczynne nabożeństwo. Wrzawa opozycji wobec polityki wschodniej Piłsudskiego przycichła. Sukcesy wojsk polskich na Ukrainie spowodowały wyraźne przejście PSL „Piast" od programu inkorporacyjnego do federacyjnego.

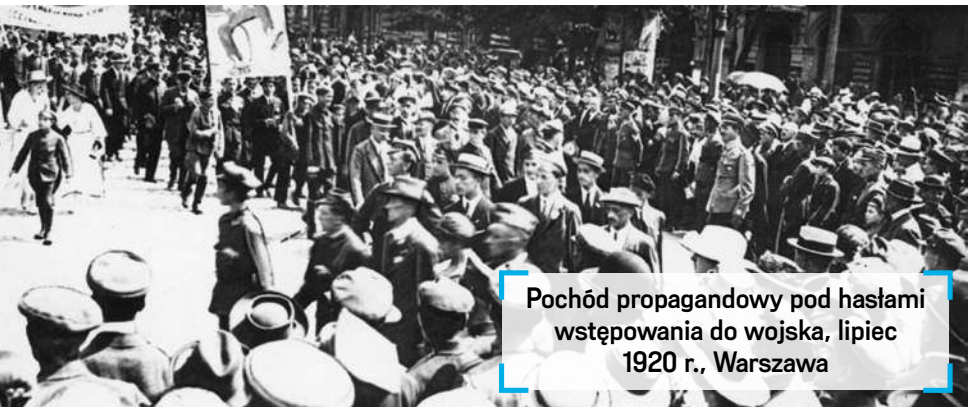

FOT. NAC

Pochód propagandowy pod hasłami wstępowania do wojska, lipiec 1920 r., Warszawa

Dni klęski i chwały

Tymczasem w czerwcu 1920 r. zaczęły się ukazywać informacje prasowe o odwrocie wojsk polskich spod Kijowa. Kierownictwo Narodowej Demokracji zaczęło żądać niemieszania się Piłsudskiego do polityki zagranicznej i zlikwidowania „przedsięwzięcia ukraińskiego", uważając, że plany federacyjne Naczelnika Państwa nie miały szans na realizację.

Czerwcowe informacje o dalszych klęskach na froncie wywołały niepokój w wojsku i u przedstawicieli władz państwowych. 9 czerwca 1920 r. doszło do upadku gabinetu Leopolda Skulskiego. Po długich przetargach między różnymi partiami politycznymi dopiero 23 czerwca został utworzony gabinet pozaparlamentarny Władysława Grabskiego. 30 czerwca na poufnej konferencji polityków i wojskowych w gabinecie marszałka Sejmu Wojciecha Trąmpczyńskiego postano-

eprasa.pl 78b78ef26b

wiono zaprzestać walk między stronnictwami i na wniosek premiera Władysława Grabskiego powołać 1 lipca Radę Obrony Państwa (ROP). Miał to być organ tymczasowy, dysponujący pełnią władzy ustawodawczej i wykonawczej we wszystkich sprawach związanych z prowadzeniem wojny i zawarciem pokoju. Jego decyzje miały być natychmiast zatwierdzane przez sejm i rząd. Dzięki ROP możliwe było skoordynowanie wszystkich funkcji państwowych z działalnością gospodarczą i z pracą Sztabu Generalnego WP.

Już 1 lipca 1920 r. w Belwederze odbyło się pierwsze posiedzenie ROP, podczas którego podjęto decyzję o wydaniu odezwy do wojsk walczących na froncie oraz do narodu, wzywając do ochotniczego zaciągu. Odezwy te podpisane przez Józefa Piłsudskiego ukazały się z datą 3 lipca 1920 r. Omawiano też konieczność zmiany ustawy o Orderze Virtuti Militari. 6 lipca Sejm uchwalił ustawę o nadawaniu Orderu Virtuti Militari na wniosek właściwych dowódców. Zaakceptował też pomysł sformowania 100-tysięcznej armii ochotniczej spośród zdrowych mężczyzn w wieku 17–42 lat, niepodlegających regularnemu poborowi. Naczelny Wódz powierzył jej dowództwo ogromnie popularnemu w społeczeństwie, gen. Józefowi Hallerowi. 7 lipca przy Ministerstwie Spraw Wojskowych utworzono Generalny Inspektorat Armii Ochotniczej.

Z inicjatywy posłów Sejmu Ustawodawczego, głównie należących do Związku Ludowo-Narodowego, 8 lipca 1920 r. w Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie, na posiedzeniu przedstawicieli ponad 200 organizacji społecznych, powołano Obywatelski Komitet Wykonawczy Obrony Państwa. Na jego czele stanął marszałek Sejmu – Wojciech Trąmpczyński. Na jego hasło „Ojczyzna w niebezpieczeństwie" odpowiedziała ogromna większość polskiego społeczeństwa. Tworzyły się centralne (dla byłych trzech zaborów Rzeczypospolitej), powiatowe, miejskie i gminne obywatelskie komitety obrony państwa lub komitety obrony narodowej. Na ich czele stawały osoby obdarzone wielkim autorytetem społecznym. Wspomniane komitety organizowały akcję pomocy materialnej dla polskich żołnierzy, wyposażały oddziały ochotników, świadczyły pomoc dla uchodźców z Kresów Wschodnich. Wielkie znaczenie przypisywano antybolszewickiej akcji propagandowej, do której udało się pozyskać wielu wybitnych artystów, pisarzy, poetów. Warto np. wspomnieć o zaangażowaniu znanych polskich plastyków w tworzenie plakatów o tematyce obronnej, zachęcających do wstępowania w szeregi armii ochotniczej.

Na apel ROP oraz komitetów różnego szczebla pozytywnie odpowiedział ogół polskiego społeczeństwa, zwłaszcza duchowieństwo, ziemiaństwo, młodzież studencka i gimnazjalna, harcerze. Wbrew oczekiwaniom bolszewickiej Rosji ogromna większość polskiej klasy robotniczej, związanej z PPS, nie wsparła Armii Czerwonej wkraczającej na ziemie polskie. Bolszewicy byli entuzjastycznie witani jedynie przez członków Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, często narodowości żydowskiej oraz przez robotników rolnych, będących pod wpływem komunistycznej propagandy.

Problem chłopski

Wielkim wyzwaniem dla przedstawicieli partii politycznych zasiadających w Sejmie Ustawodawczym było pozyskanie dla obrony kraju, rozgoryczonych polityką władz II RP, mas chłopskich. Odnotowywano masowe uchylanie się chłopów od poboru, niepłacenie przez nich podatków, ukrywanie dezerterów. 15 lipca 1920 r. Sejm jednogłośnie uchwalił ustawę w sprawie wykonania reformy rolnej, uchwalonej przed rokiem, ale z powodu braku przepisów wykonawczych i przeciwdziałania ze strony ziemiaństwa niewprowadzanej w życie. Ustawa przewidywała, że gospodarstwa chłopów uchylających się od służby wojskowej nie będą objęte reformą rolną. Miało to w dużej mierze wpłynąć na masowe wstępowanie chłopów do Wojska Polskiego, a jednocześnie zapobiec szerzącej się na polskiej wsi propagandzie bolszewickiej.

Rękojmią szerokiego zaangażowania się mas ludowych, ludności wiejskiej i klasy robotniczej w walkę z bolszewickim najazdem było także powołanie 24 lipca 1920 r. koalicyjnego Rządu Obrony Narodowej z premierem Wincentym Witosem, prezesem PSL „Piast" i wicepremierem Ignacym Daszyńskim – przywódcą PPS na czele. W następstwie patriotycznych apeli premiera Witosa na początku sierpnia 1920 r. obserwuje się masowe zgłaszanie mężczyzn pochodzenia wiejskiego do Wojska Polskiego. Staraniem kierownictwa PPS w stolicy sformowany został 1. Robotniczy Pułk Obrony Warszawy, przemianowany na 202. Pułk Piechoty, a następnie powstał Pułk im. Jana Kilińskiego. Podobnie jak wiele ochotniczych, 202 i 205 pułki piechoty zapisały świetne karty w dziejach Bitwy Warszawskiej 1920 r.

W ciągu miesiąca oddzielnie do Wojska Polskiego (do którego głównie zgłaszali się chłopi) oraz do armii ochotniczej zgłosiło się ponad 77 tys. chętnych. Byli to przede wszystkim urzędnicy, nauczyciele, studenci, młodzież gimnazjalna, harcerze, młodzież robotnicza i rzemieślnicza oraz ziemiańska, która zaciągała się do pułków jazdy. Po krótkim przeszkoleniu ochotnicy byli wysyłani na front. W przededniu Bitwy Warszawskiej sformowano z nich najpierw Dywizję Ochotniczą, która znalazła się w składzie 5. Armii gen. Władysława Sikorskiego. Toczyła ona na północnym Mazowszu zażarte boje z trzykrotnie liczniejszymi wojskami Frontu Zachodniego Michaiła Tuchaczewskiego, w dużej mierze je rozbijając.

Zwycięski finisz

Po zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej i odparciu najazdu bolszewickiego Rada Obrony Państwa jako nadzwyczajny i tymczasowy organ parlamentarno-rządowy zakończyła działalność 1 października 1920 r.

W wyniku zakończonej sukcesem bitwy nad Niemnem 12 października 1920 r. Polska podpisała rozejm i preliminaria pokojowe z bolszewicką Rosją. Wyrażono podziękowanie Naczelnemu Wodzowi za odparcie bolszewickiego najazdu, ale w sejmowej sali obrad nawiązano do dyskusji nad autorstwem planu Bitwy Warszawskiej. Z lektury stenogramów posiedzeń Sejmu Ustawodawczego z października 1920 r. dowiadujemy się, że były one także poświęcone analizie przyczyn odwrotu wojsk polskich w okresie od czerwca do pierwszej połowy sierpnia 1920 r., współdziałaniu polskich komunistów, m.in. narodowości żydowskiej z Armią Czerwoną. Domagano się odszkodowań dla rolników, których gospodarstwa ucierpiały podczas bolszewickiego najazdu oraz pomocy dla zdemobilizowanej młodzieży akademickiej. Uczczono również pamięć posła ziemi łódzkiej Aleksandra Napiórkowskiego, który zginął 18 sierpnia 1920 r. w bitwie pod Ciechanowem, oraz złożono kondolencje wicemarszałkowi Sejmu Stanisławowi Osieckiemu, którego syn Tadeusz poległ w walkach nad Słuczą.

Zwieńczeniem działalności Sejmu Ustawodawczego, związanego z wydarzeniami wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., była ratyfikacja traktatu ryskiego, który z zadowoleniem został przyjęty przez ogół polskiego społeczeństwa.

eprasa.pl 78b78ef26b

WYBORY DO SEJMU USTAWODAWCZEGO NA MAZOWSZU PÓŁNOCNYM W 1919 r.

100 LAT TEMU POLAKÓW ELEKTRYZOWAŁA KAMPANIA WYBORCZA DO SEJMU USTAWODAWCZEGO

Mieczysław Niedziałkowski

ARKADIUSZ MELLER

Były to wybory niesłychanie ważne z kilku powodów. Po pierwsze, nowo narodzone państwo potrzebowało uchwalenia aktu prawnego najwyższej rangi, jakim jest konstytucja, który regulowałby funkcjonowanie najważniejszych instytucji państwowych. Po drugie, wybory ze stycznia 1919 r. były autentycznie pierwszymi powszechnymi wyborami, w których mogli uczestniczyć wszyscy Polacy bez względu na poziom zamożności czy płeć, gdyż to wówczas po raz pierwszy w dziejach Polski swój głos mogły oddać kobiety. Celem artykułu jest dokonanie analizy wyborów do Sejmu Ustawodawczego ze stycznia 1919 r. na obszarze okręgu wyborczego numer 6 złożonego z powiatów płockiego, płońskiego i sierpeckiego. Zaprezentowanie przebiegu wyborów do Sejmu Ustawodawczego na Mazowszu płockim jest interesujące poznawczo, gdyż to właśnie w Polsce lokalnej jak w soczewce skupiały się problemy występujące w skali całego państwa.

Kampania wyborcza

Decyzja o przeprowadzeniu powszechnych wyborów parlamentarnych została podana do publicznej wiadomości 28 listopada 1918 r., kiedy ukazał się dekret Naczelnika Państwa o ordynacji wyborczej i wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Termin wyborów zarządzono na 26 stycznia 1919 r. W związku z powyższym kalendarz wyborczy był bardzo napięty. Wyborcy mogli swoje głosy oddawać na kartach z wydrukowanym lub napisanym odręcznie numerem listy wyborczej.

Najbardziej intensywną kampanię wyborczą prowadziły dwie konkurujące z sobą siły polityczne, jakimi byli z jednej strony socjaliści, a z drugiej – narodowcy.

Kampania wyborcza socjalistów opierała się głównie na obronie reform wprowadzonych przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego, na czele z ośmiogodzinnym dniem pracy, wolnością zrzeszania się w związki zawodowe, prawem do strajku, równością polityczną wszystkich obywateli. Zwolennicy PPS próbowali przedstawić swoje racje podczas wieców organizowanych także przez inne ugrupowania. Kontrowersje w prowadzeniu kampanii wyborczej przez socjalistów wzbudziło to, że wymagano od robotników rolnych podpisywania zobowiązań głosowania na listę PPS.

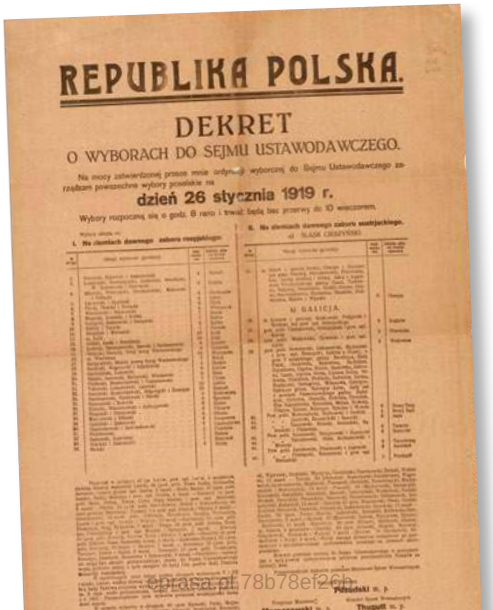

REPUBLIKA POLSKA.

DEKRET

O WYBORACH DO SEJMU USTAWODAWCZEGO.

Na mocy zatwierdzonej przeze mnie ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego zarządzam powszechne wybory poselskie na

dzień 26 stycznia 1919 r.

Wybory rozpoczną się o godz. 8 rano i trwać będą bez przerwy do 10 wieczorem.

Najbardziej znanym wydarzeniem zorganizowanym przez socjalistów w czasie kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego, które przybrało zarazem gwałtowny przebieg, był zarządzony na 21 stycznia 1919 r. przez płocki PPS strajk powszechny. Strajk oraz towarzysząca mu manifestacja, która przeszła ulicami Płocka, zatrzymując się przed ratuszem i teatrem miejskim, była wymierzona w nowo powołany rząd Ignacego Jana Paderewskiego, uważanego za obrońcę interesów tzw. klas posiadających. Strajkujący i manifestanci zaopatrzeni w czerwone sztandary wznosili antyrządowe hasła. W dniu strajku Płock stał się widownią masowego wymuszania na właścicielach sklepów i sprzedawcach przyłączenia się do strajku pod groźbą wybijania szyb. Pod szantażem ugięło się wielu pracodawców i sklepy oraz inne zakłady usługowo-produkcyjne były nieczynne. W ramach sprzeciwu wobec takich praktyk blisko 110 kupców chrześcijańsko-narodowych wystosowało protest

FOT. NAC (2X), BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

prasa.pl/78b78ef26b

przeciwko takim praktykom uprawiania polityki i kampanii wyborczej.

Narodowi Demokraci swoją kampanię wyborczą prowadzili, starając się dotrzeć do jak najszerszego grona potencjalnych wyborców, wykorzystując w tym celu prasę, w której starano się przekazywać informacje o swojej działalności oraz propagując idee narodowo-katolickie. Ponadto opublikowano trzy agitacyjne broszurki przeznaczone dla szerokiego grona odbiorców.

Dla uświadomienia kobiet w zakresie przysługujących im praw politycznych, sposobie głosowania podczas wyborów do Sejmu Ustawodawczego oraz mobilizacji wyborczej Polek organizowane były cykliczne wykłady.

Jednym z najważniejszych punktów kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego niespodziewanie okazała się kwestia powołania do życia powszechnej, bezpłatnej szkoły świeckiej, którą w swoim exposé – wygłoszonym 20 listopada 1918 r. – zapowiedział premier Jędrzej Moraczewski. Bardzo szybko deklaracja premiera spotkała się ze zdecydowanym sprzeciwem ze strony środowisk katolicko-narodowych, które interpretowały to jako działanie socjalistów zmierzające do stworzenia państwa świeckiego i ateistycznego. Okazją do powszechnego zamanifestowania swojego sprzeciwu wobec planów dotyczących powołania do życia szkół laickich był wiec rodzicielski, który odbył się 8 grudnia 1918 r. w płockim teatrze miejskim i zgromadził ponad tysiąc osób. Stał się on okazją do zamanifestowania spójności grupy katolicko-narodowej w obliczu nadchodzących wyborów do Sejmu Ustawodawczego.

Krwawa kampania

W cieniu kampanii wyborczej miały miejsce w okręgu płocko-płońsko-sierpeckim krwawe wydarzenia, które być może przesądziły o ostatecznym wyniku wyborczym. W grudniu 1918 r. wybuchły strajki w podpłockich folwarkach. Najdramatyczniejsze wydarzenia miały miejsce w Kozłowie w okolicach Drobina. 27 grudnia 1918 r. w majątku należącym do Kajetana Kozłowskiego, gdzie wybuchł strajk służby folwarcznej kierowany przez dworskiego kucharza, około dwóch tysięcy zrewoltowanych chłopów zaatakowało żołnierzy. Bilans tych wydarzeń był krwawy, gdyż w wyniku prowadzonego ostrzału zabitych zostało ośmiu chłopów, a kilkudziesięciu zostało rannych.

W okręgu wyborczym numer 6 zarejestrowano 14 list wyborczych, choć numeracja list kończyła się na liczbie 15. Było to spowodowane tym, że komisja wyborcza, chcąc uniknąć pomyłek wśród wyborców,

Karol Mierzejewski

którzy mogliby nie móc odróżniać 6 od 9, zrezygnowała z przydzielenia numeru 9 jakiejkolwiek liście wyborczej. PSL otrzymało listę numer 1, na której znalazło się najwięcej kandydatów na posłów, gdyż lista ta obejmował nazwiska aż 11 osób. Listy nr: 2, 5, 8, 10, 11, 12 i 15 wspólnie tworzyły chrześcijańsko-narodowy blok wyborczy. Natomiast Żydzi wystawili do wyborów trzy odrębne listy wyborcze.

Władze państwowe przywiązywały dużą wagę, by wybory do Sejmu Ustawodawczego przebiegały w spokoju i należytej powadze. Dlatego płocka policja w specjalnym obwieszczeniu wydanym 25 stycznia 1919 r. wprowadziła zakaz sprzedaży i wyszynku wszelkich napojów alkoholowych w czasie trwania głosowania. Warto też dodać, że w dniu wyborów wprowadzono ciszę wyborczą polegającą na zakazie agitacji w odległości 100 m od lokali wyborczych.

Rekordowa frekwencja

Pierwsze wybory do parlamentu spotkały się z ogromnym społecznym odzewem, co przełożyło się na rekordową frekwencję wyborczą. W okręgu płocko-płońsko-sierpeckim prawo do głosowania przysługiwało ponad 100 tys. osób, z czego w wyborach wzięło udział 89 831 wyborców. Największą frekwencję wyborczą odnotowano w powiecie sierpeckim, gdyż przekroczono 90 proc., w niektórych obwodach tego powiatu frekwencja sięgała nawet 95 proc. osób uprawnionych. Najniższą frekwencję odnotowano w Płocku – ok. 61 proc.

Wybory do Sejmu

MIESZKAŃCY DOMU № 13 PRZY UL. Królewskiej W WARSZAWIE D. 26 STYCZNIA 1919 R. WINNI GŁOSOWAĆ W LOKALU WYBORCZYM 8 OBWODU GŁOSOWANIA PRZY UL. Krakowskie Przedmieście № 9.

Główna Komisja Wyborcza Okręgu m. st. Warszawy.

Drukarnia F. Syrewicz i S-ki Senatorska 28-30.

Historyczne wybory do Sejmu Ustawodawczego w okręgu płocko-płońsko-sierpeckim okazały się niebywałym sukcesem bloku chrześcijańsko-narodowego. Na prawie 90 tys. osób, które wzięły udział w głosowaniu, na listy należące do tego związku wyborczego padło ponad 57 tys. głosów, co przełożyło się na 63-procentowe poparcie społeczne. Posłami reprezentującymi prawicę zostali: ks. Stanisław Suliński, Karol Mierzejewski, Szczepan Sawicki, Antoni Zaleski oraz Wacław Wojtulanis. Jedyny poseł niebędący reprezentantem prawicy to urodzony w 1893 r. w Wilnie Mieczysław Niedziałkowski – lider socjalistów w okręgu płocko-sierpecko-płońskim.

Pierwsze wybory do Sejmu Ustawodawczego w okręgu wyborczym nr 6 były niezwykle ważnym etapem w budowie zrębów państwowości polskiej. Kampania wyborcza, która obfitowała w liczne zaskakujące momenty, przyczyniła się do mobilizacji społecznej i tym samym stanowiła asumpt do tworzenia się społeczeństwa obywatelskiego. W porównaniu z kolejnymi wyborami rekordowo wysoka frekwencja dawała posłom i Sejmowi Ustawodawczemu wystarczającą legitymizację do przeprowadzenia strukturalnych oraz przełomowych reform. ■

Powyższy artykuł jest fragmentem i zapowiedzią przygotowywanej przez autora książki poświęconej wyborom do Sejmu Ustawodawczego na Mazowszu Północnym.

eprasa.pl 78b78ef26b

FOT. NAC, ARCHIWUM MIASTA PŁOCKA

POSŁOWIE W SUTANNACH

Po lewej: Antoni Julian Nowowiejski – biskup płocki. Po prawej: biskup Nowowiejski oraz marszałek Józef Piłsudski. 10 kwietnia 1921 r., Płock

CHOĆ W DZISIEJSZEJ POLSCE MOŻE TO BRZMIEĆ DOŚĆ NIEWYOBRAŻALNIE, TO JESZCZE DO CZASU II WOJNY ŚWIATOWEJ BYŁO CZYMŚ NORMALNYM, ŻE DUCHOWNI BYLI WYBIERANI DO PARLAMENTU, REPREZENTUJĄC W SEJMIE I SENACIE UGRUPOWANIA CHRZEŚCIJAŃSKO-PRAWICOWE

LESZEK ZYGNER

Była to w pewien sposób kontynuacja tego, co znano z okresu wcześniejszego, a więc udziału polskich duchownych w pracach parlamentarnych rosyjskiej Dumy czy niemieckiego Reichstagu, nie mówiąc już o obecności przedstawicieli polskiego episkopatu w Senacie dawnej Rzeczypospolitej. Odzyskanie przez Polskę niepodległości i rola, jaką w 1918 r. wyznaczono Sejmowi Ustawodawczemu, stawiały przed całym społeczeństwem, również przed duchowieństwem katolickim, zadania szczególnie ważne z punktu widzenia kształtowania ustroju odrodzonego państwa. Dlatego w wielu diecezjach pierwsze wybory parlamentarne spotkały się z wielkim zainteresowaniem i zaangażowaniem przedstawicieli środowisk kościelnych, a jak obliczył ks. Michał Piela – na 432 posłów Sejmu Ustawodawczego ostatecznie aż 41 mandatów przypadło przedstawicielom duchowieństwa. Wśród nich znalazło się trzech księży z diecezji płockiej, która do czasu reformy administracji z 1925 r. obejmowała swoimi granicami rozległe terytorium północnego i wschodniego Mazowsza oraz ziemi dobrzyńskiej, czyli mówiąc inaczej – tereny na północ od Wisły i Bugu aż po granicę pruską (w sumie ok. 18 tys. km². zamieszkanych przez ponad 1,12 mln ludności, w tym prawie 900 tys. katolików).

Wybrać najlepszych

Wymownym przykładem, jak ówczesne pokolenie duchownych diecezji płockiej podchodziło do spraw odrodzonego państwa, jest list pasterski bp. Antoniego Juliana Nowowiejskiego z 10 listopada 1918 r., który wystosował on z okazji odzyskiwania niepodległości i w którym zawarł wiele uwag odnoszących się do kształtowania nowego porządku społeczno-politycznego w kraju. W tym kontekście poruszył kwestię wyborów do przyszłego Sejmu, pisząc: „Naród na posłów wybierać spośród siebie powinien ludzi najlepszych, to znaczy ludzi wysokich zalet umysłu i serca. Nie tych wybierać należy, którzy najwięcej krzyczą, najwięcej rzeczy niemożliwych do

eprasa.pl 78b78ef26b

spełnienia obiecują i sami się gwałtownie na te odpowiedzialne stanowiska narzucają, ale tylko tych, których życie nam znane daje pewność, że w sejmie będą postępowali zgodnie z przykazaniami Bożymi, będą dbali o wiarę i religię naszą, która jest podstawą prawdziwego szczęścia". Odpowiedzią na pasterskie wezwanie biskupa, późniejszego męczennika niemieckiego obozu w Działdowie (Soldau), było masowe zaangażowanie nie tylko wiernych świeckich, ale również duchownych w czasie wyborów do Sejmu Ustawodawczego. Badacze dziejów diecezji płockiej podkreślają, że nigdy więcej w okresie II Rzeczypospolitej księża tejże diecezji nie uczestniczyli tak masowo w kampanii wyborczej, popierając przede wszystkim blok chrześcijańsko-narodowy.

Kapłani polityczni

W czasie kampanii wyborczej w trzech okręgach wyborczych (pierwszy obejmował powiaty płocki, sierpecki i płoński, drugi – lipnowski i rypiński, trzeci – mławski, ciechanowski, przasnyski, makowski i pułtuski) szczególnie zaangażowani w popieranie Związku Ludowo-Narodowego byli: ks. Edmund Bieńkowski, prefekt z Mławy, ks. Stanisław Suliński, proboszcz z Baboszewa, ks. Władysław Mąkowski, prefekt z Rypina, ks. Eugeniusz Gruberski, proboszcz z Czerwińska, a także księża z Płocka. W gronie tych ostatnich znajdował się ks. Franciszek Klimkiewicz, profesor seminarium duchownego i zarazem członek Rady Miasta Płocka, ks. Ignacy Lasocki, znany w mieście społecznik i twórca płockiej „Stanisławówki" (Zakładu św. Stanisława Kostki), niosącej pomoc i opiekę dla ubogich dzieci oraz młodzieży męskiej, a także ks. Henryk Godlewski, ówczesny prefekt miejscowego gimnazjum żeńskiego. Dwaj ostatni w związku z wyborami do Sejmu Ustawodawczego opublikowali nawet specjalne broszury propagandowe. Ks. Ignacy Lasocki (ps. Stary Maciej) ogłosił niewielką książeczkę „Pobudka. Ludu polski bierz i czytaj", a ks. Henryk Godlewski (ps. Stanisław Gozdawa) dwie broszury: „Kto chce zaprowadzić w Polsce pańszczyznę?" i „Raj w Polsce, czyli podział ziem". W broszurach tych autorzy wskazywali na wartości chrześcijańskie w programach wyborczych poszczególnych ugrupowań, występowali przeciwko partiom radykalnie lewicowym i mniejszościowym, zwalczali ideę szkoły bezwyznaniowej, a także tłumaczyli, czym jest państwo niepodległe oraz jakie znaczenie mają wybory. W tym samym czasie niektórzy księża zabierali głos na łamach lokalnej prasy, a głównie w „Kurierze Płockim" i „Głosie Ojczyzny".

Po ogłoszeniu list wyborczych do Sejmu Ustawodawczego nie zabrakło na nich również duchownych. Z okręgu płockiego startował ks. Stanisław Suliński z Baboszewa i ks. Eugeniusz Gruberski z Czerwińska, z okręgu ciechanowskiego ks. Edmund Bieńkowski z Mławy, a z okręgu lipnowsko-rypińskiego ks. Władysław Mąkowski. Głoszone przez nich poglądy związane z linią programową ugrupowań chrześcijańsko-narodowych sprowadzały się do następujących haseł: „Polska wielka, niepodległa i zjednoczona", „zgoda, jedność i łączność", „szkoła religijna, powszechna i bezpłatna" oraz „równe i sprawiedliwe prawa". Ich kandydatury wspierali także inni księża, którzy w swoich środowiskach znani byli z aktywności społecznej i samorządowej. Należeli do nich m.in.: ks. Ignacy Krajewski z parafii Mława-Wólka, wieloletni członek Rady Miasta Mława, czy ks. Włodzimierz Grochowski ze Strzegowa, wieloletni radny powiatu mławskiego, a później także poseł na Sejm (1938). Ponadto spora grupa księży, cieszących się w swoich środowiskach zaufaniem i autorytetem, uczestniczyła w pracach komisji wyborczych.

Ks. Stanisław Suliński i inni

Po ogłoszeniu wyników wyborczych okazało się, że w każdym z trzech wymienionych okręgów po jednym mandacie otrzymali księża diecezji płockiej. Dodajmy, że w okręgu wyborczym lipnowsko-rypińskim, gdzie były tylko cztery mandaty poselskie, było to wyjątkowe zwycięstwo. Spośród duchownych diecezji płockiej do Sejmu Ustawodawczego ostatecznie weszli: ks. Edmund Bieńkowski, kandydat z okręgu mławsko-ciechanowskiego (zrzekł się swego mandatu 9 stycznia 1920 r.), ks. Władysław Mąkowski, kandydat okręgu wyborczego lipnowsko-rypińskiego (mandat otrzymał po rezygnacji Franciszka Ciszewskiego, lekarza z Dobrzynia n. Drwęcą) oraz ks. Stanisław Suliński, kandydat okręgu wyborczego płockiego. Ostatni z wymienionych, znany w diecezji płockiej działacz społeczny, dwukrotnie karany za swoją działalność przez władze carskie, jako poseł był członkiem Komisji Odbudowy Kraju i Komisji Robót Publicznych. Wielokrotnie wypowiadał się w kwestiach zapewnienia środków finansowych na odbudowę szkół, kościołów i budynków użyteczności publicznej zrujnowanych w czasie wojny, a także na walkę z bezrobociem. Zabiegał o specjalne dotacje dla rozwoju gospodarczego ziem wschodnich Rzeczypospolitej, zmianę ustawy tymczasowej o organizacji władz administracyjnych II stopnia, a także o rozwój kolejnictwa w kształtujących się graniach odrodzonego Państwa Polskiego. To właśnie z jego inicjatywy zgłoszono projekt rozbudowy linii kolejowych: Nasielsk – Lubicz oraz Kutno – Płock – Sierpc. Z kolei ks. Władysław Mąkowski był członkiem sejmowej Komisji Opieki Społecznej oraz Komisji ds. Żydowskich. Zapamiętany został przede wszystkim jako gorący orędownik rządowej opieki dla polskiej ludności na terenie Mazur i Powiśla. W czasie posiedzenia sejmowego 9 marca 1920 r. żądał natychmiastowego rozwiązania niemieckich organizacji wojskowych w olsztyńskim obszarze plebiscytowym. Apelował o obronę Mazurów w okresie plebiscytowym, a także zabiegał o zwiększenie nakładów na rozwój polskiego szkolnictwa. Dodajmy, że to właśnie z tego powodu w czasie II wojny światowej – wtedy już jako profesor płockiego seminarium duchownego oraz dyrektor Archiwum i Biblioteki Diecezjalnej – musiał się on ukrywać przed Niemcami, którzy mieli jego nazwisko na listach proskrypcyjnych osób stanowiących „zagrożenie dla umacniania niemczyzny" na terenach przyłączonych do III Rzeszy. Natomiast ks. Edmund Bieńkowski przez prawie rok, czyli do momentu zrzeczenia się mandatu poselskiego, pracował w sejmowej komisji skarbowo-budżetowej.

Pamiątkowa tablica z kościoła Świętej Trójcy w Rypinie

FOT. ZDJĘCIE UDOSTĘPNIONE PRZEZ READAKCJĘ EDYCJI PŁOCKIEJ „GOŚCIA NIEDZIELNEGO"

eprasa.pl 78b78ef26b

Luty

MICHAŁ KOMUDA

1 II 1889 W Borze, w Świętokrzyskiem urodził się Kawaler Orderu Virtuti Militari, gen. Tadeusz Piskor. W trakcie swojej kilkudziesięcioletniej służby walczył w Legionach Polskich, podczas wojny polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej, następnie w II Rzeczypospolitej był m.in. szefem Sztabu Generalnego, a we wrześniu 1939 r. dowodził Armią „Lublin" oraz później również Armią „Kraków".

3 II 1518 Włoska księżniczka Bona Sforza d'Aragona opuściła swój rodzinny kraj i wyruszyła do Rzeczypospolitej, aby poślubić starszego 27 lat króla Zygmunta I Starego.

5 II 1813 Książę Józef Poniatowski na czele dowodzonego przez siebie korpusu opuścił Warszawę, do której już nigdy nie powrócił.

6 II 1989 W Pałacu Namiestnikowskim w Warszawie, będącym obecnie Pałacem Prezydenckim, rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu.

7 II 1919 W przededniu wojny polsko-bolszewickiej naczelnik Józef Piłsudski, oceniając kwestię ustalenia wschodniej granicy odradzającej się Polski, powiedział: „Na wschodzie [...] są drzwi, które się otwierają i zamykają, i zależy, kto i jak szeroko siłą je otworzy".

8 II 1909 W Tatrach, w wyniku zejścia lawiny, zginął polski kompozytor i dyrygent Mieczysław Karłowicz. W chwili tragicznej śmierci miał niespełna 33 lata.

10 II 1926 W szóstą rocznicę zaślubin Polski z morzem Gdynia otrzymała prawa miejskie. Miasto oraz zbudowany w nim port morski były jednymi z najwybitniejszych osiągnięć II Rzeczypospolitej.

12 II 1911 W Żurominie przyszedł na świat oficer Narodowych Sił Zbrojnych, por. Julian Czerwiakowski „Jerzy Tarnowski". Podczas okupacji był m.in. kierownikiem placówki Śródmieście w Ekspozyturze Urzędu Śledczego m.st. Warszawy Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. Następnie działał w strukturach niepodległościowych NIE oraz WiN.

eprasa.pl 78b78ef26b

2 II 1494

W Vigevano, na północy dzisiejszych Włoch, urodziła się księżniczka Bona Sforza d'Aragona. 24 lata później, poślubiając Zygmunta I Starego, została królową Polski.

Bona była córką księcia Mediolanu Giana Galeazza Sforzy i bratanicą Bianki Marii Sforzy, żony cesarza Maksymiliana I Habsburga. Wkrótce po narodzinach została osierocona przez ojca, a jej wychowaniem zajmowała się samotnie matka, Izabela Aragońska. Po kilkuletniej tułaczce osiadła z córką w Bari. Ponieważ Bona była jedyną z czwórki rodzeństwa, która przeżyła dzieciństwo, matka poświęciła się jej wychowaniu i wykształceniu. Z czasem zaczęła również poszukiwać dla córki kandydata na męża. W październiku 1515 r. zmarła pierwsza żona króla Polski, Zygmunta I Starego, Barbara Zápolya. Ponieważ związek ten nie dał polskiemu władcy męskiego potomka, zachodziła potrzeba znalezienia drugiej żony i zadbania o przedłużenie dynastii. Wybór padł właśnie na włoską księżniczkę, której kandydaturę popierali skoligaceni z nią Habsburgowie. Po spisaniu układu małżeńskiego Bona opuściła matkę i wyruszyła do Krakowa. Ślub oraz koronacja na królową Polski odbyły się 18 kwietnia 1518 r. Pobyt Bony nad Wisłą wywarł duży wpływ nie tylko na kulturę naszego kraju, ale także poprzez silny i zdecydowany charakter władczyni, na ówczesną politykę. Włoszka urodziła królowi Polski sześcioro dzieci. Dwoje z nich, Zygmunt August i Anna, w przyszłości zasiadło na polskim tronie, a Katarzyna, wychodząc za mąż za szwedzkiego władcę, powiła przyszłego monarchę Zygmunta III Wazę.

11 II 1959

We wsi Kulno komunistyczne władze ujęły jednego z najdłużej ukrywających się żołnierzy podziemia niepodległościowego. Michał Krupa „Wierzba" pozostawał nieuchwytny przez blisko 14 lat od zakończenia II wojny światowej.

Przyszły wyklęty związał się z konspiracją w 1941 r. Ponieważ mieszkał na Podkarpaciu, był zmuszony do walki nie tylko z niemieckim okupantem, lecz również z kolaborującymi nacjonalistami ukraińskimi. Wstąpił do struktur Narodowej Organizacji Wojskowej i walczył pod rozkazami mjr. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana", a następnie kpt. Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka". Wraz z nadejściem frontu wschodniego kontynuował walkę przeciw Sowietom, rodzimym komunistom i UPA. Jego ostatnim dowódcą był Adam Kusz „Garbaty", którego oddział należał do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Jednostka ta została ostatecznie rozbita 15 sierpnia 1950 r., a „Wierzba" był jednym z nielicznych partyzantów, którym udało się wymknąć z obławy. Od tego momentu przez wiele lat ukrywał się na własną rękę, korzystając ze wsparcia zaufanych gospodarzy. Ostatecznie Służba Bezpieczeństwa otrzymała donos, że Krupa zatrzymał się w zabudowaniach wsi Kulno. Z tego powodu temu rankiem 11 lutego 1959 r. gospodarstwo, w którym przebywał, otoczono szczelnym kordonem sił resortowych, a on sam został wezwany do ujawnienia się. Ze względu na to, że w domu była dwójka dzieci, a komuniści zagrozili podpaleniem zabudowań, „Wierzba" zdecydował się poddać. Cała operacja została wykorzystana propagandowo przez komunistyczne władze. „Wierzba" został skazany na dożywocie, jednak ze względu na zły stan zdrowia zwolniono go z więzienia w 1965 r. Życiem na wolności cieszył się jeszcze przez siedem lat.

24 II 1919

Wrogie oddziały czechosłowackie podjęły ostatnie, szerzej zakrojone działania ofensywne na spornych terenach Śląska Cieszyńskiego. Niewypowiedziana wojna z naszym południowym sąsiadem trwała, z przerwą, już od miesiąca, a wojska czeskie dopuściły się mordów zarówno na wziętych do niewoli polskich żołnierzach, jak i na ludności cywilnej.

Jesienią 1918 r. odradzająca się Polska oraz powstająca po rozpadzie monarchii Austro-Węgierskiej Czechosłowacja zgłosiły swoje pretensje do Śląska Cieszyńskiego. Choć na wspomnianym terenie przeważali Polacy, to Praga nie zważając na czynnik etniczny, dążyła do przejęcia kontroli nad całym spornym obszarem. Dla czechosłowackiego państwa ziemie te były kluczowe ze względu na znajdujące się tam złoża węgla w Karwinie, hutę w Trzyńcu oraz węzeł kolejowy w Boguminie, który łączył Czechy ze Słowacją. Lokalne rady polska i czechosłowacka 5 listopada 1918 r. zawarły tymczasowe porozumienie graniczne oparte właśnie na kryterium etnicznym, zakładające docelowe rozwiązanie sporu przez rządy obu państw. W tym samym miesiącu w Polsce rozpisano wybory do Sejmu Ustawodawczego, które miały objąć swoim zasięgiem również część Śląska

FOT. NAC (3X); BIBLIOTEKA NARODOWA (2X); MATERIAŁY SB

eprasa.pl 78b78ef26b

Luty

14 II 1919

W rejonie miasta Mosty, na terenie dzisiejszej Białorusi, doszło do starcia między Wojskiem Polskim, obsadzającym front po wycofujących się niemieckich oddziałach, a prącą za nimi na zachód Armią Czerwoną. Moment ten przyjmuje się za początek wojny polsko-bolszewickiej.

16 II 1939

80 lat temu we wsi Stare Wasiliszki k. Grodna urodził się legendarny wokalista, kompozytor, instrumentalista i autor tekstów, Czesław Wydrzycki, powszechnie znany jako Czesław Niemen.

17 II 1831

Podczas powstania listopadowego p. Dobrem wojska gen. Jana Skrzyneckiego pokonały rosyjskie siły dowodzone przez gen. Grigorija Rosena. Polski dowódca zręcznie wykorzystał sukces propagandowo i po kolejnej bitwie o Olszynkę Grochowską został 26 lutego mianowany wodzem naczelnym.

19 II 1594

Ponad rok po śmierci króla Jana III Wazy w katedrze w Uppsali odbyła się koronacja jego syna, polskiego monarchy Zygmunta III Wazy. Objęcie władzy przez katolickiego władcę w luterańskim kraju niebawem wywołało bunt i wybuch wojny domowej.

21 II 1863

W trakcie powstania styczniowego jego dyktator Ludwik Mierosławski, zaledwie cztery dni po przybyciu do Królestwa Polskiego, poniósł drugą z rzędu klęskę w starciu z rosyjskimi wojskami. Po tej przegranej pod Nową Wsią zdecydował się powrócić do Paryża.

26 II 1815

Napoleon Bonaparte uciekł z zesłania, na którym przebywał na wyspie Elbie. Do Francji triumfalnie powrócił wraz z polskimi szwoleżerami płk. Jana Pawła Jerzmanowskiego, którzy stanowili osobistą ochronę cesarza.

27 II 1664

Pod Nowogrodem Siewierskim został rozstrzelany pułkownik kozacki Iwan Bohun, pierwowzór sienkiewiczowskiego bohatera powieści „Ogniem i mieczem". W trakcie swojego burzliwego życia był jednym z dowódców powstania Chmielnickiego, walczył u boku wojsk rosyjskich, siedmiogrodzkich, a także polskich.

eprasa.pl 78b78ef26b

Cieszyńskiego. Zaniepokojone tym czechosłowackie władze postanowiły, wbrew wcześniejszym ustaleniom, rozwiązać spór siłowo. Moment agresji został wybrany nieprzypadkowo, ponieważ polskie siły były w tym czasie związane wojną z Ukrainą oraz powstaniem wielkopolskim. Ponadto w Paryżu rozpoczęła się konferencja pokojowa i przewidywane sukcesy militarne miały wzmocnić pozycję wysłanych na nią delegatów z Pragi. Zgodnie z tym planem 23 stycznia 1919 r. płk Josef Šnejdárek, na czele 16-tysięcznego wojska, uderzył na Śląsk Cieszyński. Zaskoczenie oraz przygniatająca przewaga umożliwiły mu błyskawiczne postępy i zajęcie kolejnych kluczowych ośrodków. W trakcie pierwszych pięciu dni walk Polacy zostali zepchnięci aż na linię Wisły. Jednocześnie czechosłowackie siły dopuściły się na przejętych terenach mordów na jeńcach i cywilach. Napór wrogich wojsk został powstrzymany w trakcie kilkudniowej bitwy pod Skoczowem. Dopiero to niepowodzenie połączone z presją ze strony państw Ententy skłoniło czechosłowackie władze do zaniechania walki i zawarcia 3 lutego w Paryżu umowy z polskimi delegatami. Jej postanowienia były znacznie korzystniejsze dla Pragi od tych z 5 listopada 1918 r. Mimo to Czesi zwlekali z ich wypełnieniem i wycofaniem wojsk, manipulowali opinią międzynarodową oraz utrzymywali niezgodnie z prawdą, że polskie wojska łamią porozumienie, kontynuując działania wojenne. Dodatkowo 21 lutego sami wznowili walki. Główny atak na pozycje polskie został przeprowadzony 24 lutego i zakończył się niepowodzeniem agresora. Dopiero następnego dnia władze Czechosłowacji ugięły się pod dyktatem międzynarodowej misji międzysojuszniczej i podpisały umowę wojskową z Polską, która ostatecznie zakończyła starcia zbrojne. Należy jednak podkreślić, że poprzez napaść na Śląsk Cieszyński Praga zrealizowała swój plan i położyła podwaliny pod docelowe przyznanie jej większej części spornych obszarów nazwanych Zaolziem.

25 II 1939

Dokładnie miesiąc po wizycie ministra spraw zagranicznych Joachima von Ribbentropa do Warszawy przybył jego odpowiednik w rządzie Włoch, hrabia Galeazzo Ciano. Jeszcze pół roku przed wybuchem II wojny światowej włoski polityk uważał, że przejście Polski do obozu wrogiego państwom Osi nie jest wcale przesądzone.

Hrabia Ciano przybył do Warszawy wraz ze swoją małżonką Eddą, córką Benita Mussoliniego. W trakcie wizyty towarzyszył im włoski ambasador w Polsce, baron Pietro Arone di Valentino, oraz polski we Włoszech, gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Gości podejmował minister spraw zagranicznych płk Józef Beck. Kilkudniowej wizycie nadano piękną oprawę. Jej przebieg był relacjonowany przez radio, uwieczniony przez ekipy filmowe i szczegółowo śledzony przez polskich oraz włoskich dziennikarzy. Mimo podniosłej atmosfery pobyt państwa Ciano przypadł w chwili, gdy przez polskie miasta przetaczała się fala protestów antyniemieckich, wywołanych prowokacją w Wolnym Mieście Gdańsku. Ponieważ włoski minister reprezentował państwo, które było sojusznikiem III Rzeszy, wydarzenia te miały wymowny wydźwięk i nie umknęły jego uwadze. Podczas wizyty hrabia Ciano wraz z małżonką zostali podjęci m.in. na Zamku Królewskim w Warszawie, uczestniczyli w zorganizowanym na ich cześć balu w kasynie 1. Pułku Szwoleżerów im. Józefa Piłsudskiego oraz w polowaniu w Białowieży, a ostatniego dnia odwiedzili Kraków. Włoski minister, odnotowując pobyt nad Wisłą w prowadzonym przez siebie dzienniku, napisał: „Odwiedziłem jednostki wojskowe, zwłaszcza lotnicze, które zrobiły na mnie dobre wrażenie". Jednocześnie dokonał, wydaje się celnej, obserwacji na temat ówczesnego stosunku Polaków do jego narodu, którą ujął w następujący sposób: „Dla nas, Włochów, istnieją tu elementy pozytywne, pewnej nieokreślonej, a zatem i nie praktycznej sympatii. [...] podziwiają w nas bardziej poezję pędzla niż siłę broni, w którą obecnie zupełnie nie wierzą. Będziemy zmuszeni natrudzić się, aby przezwyciężyć tę złą sławę, którą cieszymy się od trzech stuleci". Z kolei płk Beck spodziewał się, że przyjazd zięcia Mussoliniego będzie próbą pośrednictwa w sprawach polsko-niemieckich i może stanowić kontynuację nacisków podjętych podczas wcześniejszych rozmów przez Ribbentropa. Jednak, jak sam ostatecznie przyznał, nie udało się mu „wyjaśnić celu tych odwiedzin". Zresztą obaj ministrowie w swoich relacjach – niezależnie od siebie – przyznali, że rozmowy miały charakter ogólnikowy, nie przyniosły żadnych nowych ustaleń i jedynie potwierdziły dotychczas zajmowane stanowiska. Jednakże hrabia Ciano, podsumowując swoją wizytę nad Wisłą, nie uważał, aby jakiekolwiek decyzje zapadły ostatecznie. W jego opinii „lekkomyślnością byłoby utrzymywać, iż Polska jest krajem pozyskanym dla Osi lub trójkąta. Ale nadmiernym pesymizmem byłoby też uznawanie jej za wprost wrogą [Osi]".

Opracował Michał Komuda

FOT. NAC (4X); BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 78b78ef26b

POWSTANIE STYCZNIOWE

„DO BRONI WIĘC, NARODZIE POLSKI, LITWY I RUSI, DO BRONI! BO GODZINA WSPÓLNEGO WYZWOLENIA JUŻ WYBIŁA, STARY MIECZ NASZ JUŻ WYDOBYTY, ŚWIĘTY SZTANDAR ORŁA, POGONI I ARCHANIOŁA ROZWINIĘTY" (MANIFEST RZĄDU NARODOWEGO)

JACEK KROCHMAL

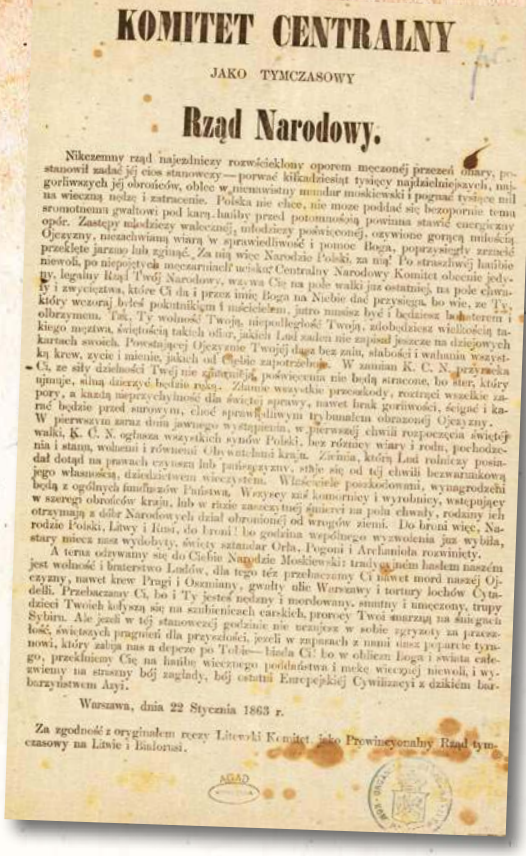

KOMITET CENTRALNY

JAKO TYMCZASOWY

Rząd Narodowy.

Nikczemny rząd najezdniczy rozwścieklony oporem męczonéj przezeń ofiary, postanowił zadać jéj cios stanowczy — porwać kilkadziesiąt tysięcy najdzielniejszych, najgorliwszych jéj obrońców, oblec w nienawistny mundur moskiewski i pognać tysiące mil na wieczną nędzę i zatracenie. Polska nie chce, nie może poddać się bezpornie temu sromotnemu gwałtowi pod karą hańby przed potomnością powinna stawić energiczny opór. Zastępy młodzieży walecznéj, młodzieży poświęconéj, ożywione gorącą miłością Ojczyzny, niezachwianą wiarą w sprawiedliwość i pomoc Boga, poprzysięgły zrzucić przeklęte jarzmo lub zginąć. Za nią więc Narodzie Polski, za nią! Po strasznéj hańbie niewoli, po niepojętych męczarniach! wojska Centralny Narodowy Komitet obecnie jedyny, legalny Rząd Twój Narodowy, wzywa Cię na pole walki już ostatniéj, na pole chwały i zwycięztwa, które Ci da i przez imię Boga na Niebie dać przysięga, bo wie, że Ty, który wczoraj byłeś pokutnikiem i mścicielem, jutro musisz być i będziesz bohaterem i olbrzymem. Tak, Ty wolność Twoją, niepodległość Twoją, zdobędziesz wielkością takiego męztwa, świętością takich ofiar, jakich Lud żaden nie zapisał jeszcze na dziejowych kartach swoich. Powstającéj Ojczyznie Twojéj daga bez żalu, słabości i wahania wszystką krew, życie i mienie, jakich od Ciebie zapotrzebuje. W zamian K. C. N. przyrzeka ujmuje, silną dzierzyć będzie ręką. Zdłuże wszystkie przeszkody, roztrąci wszelkie zapory, a każdą nieprzychylność dla świętéj sprawy, nawet brak gorliwości, ścigać i karać będzie przez surowym, choć sprawiedliwym trybunałem obrazoną Ojczyzny.

W pierwszym zaraz dniu jawnego wystąpienia, w pierwszéj chwili rozpoczęcia świętéj walki, K. C. N. ogłasza wszystkich synów Polski, bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnemi i równemi Obywatelami kraju. Ziemia, którą Lud rolniczy posiadał dotąd na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od téj chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczystem. Właściciele pozbaczonami, wynagrodzeni będą z ogólnych funduszów Państwa. Wszyscy zaś komornicy i wyrobnicy, wstępujący w szeregi obrońców kraju, lub w razie zaszczytnéj śmierci za pole chwały, rodziny ich otrzymają z dóbr Narodowych dział obrońców od wrogów ziemi. Do broni więc, Narodzie Polski, Litwy i Rusi, do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty.

A teraz odzywamy się do Ciebie Narodzie Moskiewski! trudzą nem hasłem naszem jest wolność i braterstwo Ludów, dla tego też przebaczamy Ci nawet mord naszéj Ojczyzny, nawet krew Pragi i Ozmiany, gwałty ulic Warszawy i tortury lochów Cytadeli. Przebaczamy Ci, bo i Ty jesteś nędzny i mordowany, smutny i umęczony, trupy dzieci Twoich kołyszą się na szubienicach carskich, prorocy Twoi marzną na śniegach Sybiru. Ale jeżeli w téj stanowczej godzinie nie wzniosz w sobie zgryzoty za przezwoność, świętych pragnień dla przyszłości, jeżeli w zapasach z nami nasz poparcie tyrnowi, który zabja nas a depcze po Tobie — Lude Ci: bo w obliczu Boga i świata całego, przeklniemy Cię na hańbę wiecznego poddaństwa i męke wiecznéj niewoli, i wydziemy na strasny bój zagłady, bój ostatni Europejskiéj Cywilizacyi z dzikiem barbarzyństwem Azyi.

Warszawa, dnia 22 Stycznia 1863 r.

Za zgodność z oryginałem rzeczy Litewski Komitet, jako Prowincyonalny Rząd tymczasowy na Litwie i Białorusi.

AGAD

Ogłoszenie wybuchu powstania przez Rząd Narodowy (22 stycznia 1863 r.)

Na początku lat 60. XIX w. na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego nasiliły się wystąpienia i manifestacje patriotyczne, które były organizowane w miastach. Równocześnie wśród chłopów narastała nadzieja na zniesienie pańszczyzny. Manifestacje, krwawo tłumione przez rosyjskie wojsko, przeniosły się do świątyń. W kościołach odprawiano nabożeństwa za poległych, obchodzono ważne rocznice historyczne, śpiewano pieśni patriotyczne. Nastroje te sprawiły, że władze carskie 14 października 1861 r. wprowadziły w Królestwie stan wojenny, który umożliwiał zaostrzenie represji. Po wtargnięciu przez wojsko do dwóch warszawskich kościołów, w których aresztowano 1,5 tys. mężczyzn uczestniczących we mszy żałobnej odprawianej w rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, duchowieństwo warszawskie w proteście przeciwko profanacji świątyń zamknęło warszawskie kościoły. Do protestu tego przyłączyli się pastorzy protestanccy oraz rabini żydowscy. Na skutek tych wydarzeń 17 października 1861 r. powstał Komitet Miejski, którego zadaniem było scalenie ruchu spiskowego prowadzącego przygotowania do kolejnego powstania narodowego.

W tym czasie oficerowie armii rosyjskiej stacjonującej w Królestwie, na Litwie i Ukrainie zawiązali tajną organizację dla obalenia caratu. Wśród spiskowców byli przedstawiciele różnych narodowości, w tym najliczniejsi Polacy, Rosjanie i Ukraińcy. W połowie 1862 r. doszło do zjednoczenia organizacji spiskowych i powstania Komitetu Centralnego Narodowego. Był to organ naczelny ogólnokrajowej Organizacji Narodowej. Statut wydany przez nią 16 czerwca 1862 r. miał znamiona ustawy zasadniczej. Stawiał przed Organizacją Narodową zadanie wzniecenia powstania narodowego zmierzającego do odzyskania niepodległości Polski w jej granicach przedrozbiorowych, równouprawnienia wszystkich mieszkańców oraz uwłaszczenia chłopów. Był to pierwszy akt normatywny tajnego podziemnego państwa polskiego. Na ziemiach polskich powstała ogólnokrajowa tajna administracja narodowa, z Komitetem Centralnym Narodowym na czele. Pod koniec 1862 r. organizacja narodowa objęła w Królestwie ok. 20 tys. zaprzysiężonych spiskowców. Część działaczy Komitetu zdawała sobie sprawę z dążeń niepodległościowych Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Rozumiano też, że działania niepodległościowe Polaków powinny być powiązane z planami liberalnie nastawionych środowisk rosyjskich dążących do obalenia caratu. Dlatego podjęto rozmowy z Aleksandrem Hercenem, liderem rosyjskiej organizacji Ziemla i Wola, przedstawiając mu program Komitetu. Poruszono kwestię agrarną i konieczność uwłaszczenia chłopów, przede wszystkim jednak poinformowano, że celem planowanej walki jest „połączona Polska, Litwa i Ruś bez żadnej hegemonii któregokolwiek z tych trzech narodów", zaznaczając, iż w sprawie tej dano „Litwinom i Rusinom wolność zupełną pozostania w związku z Polską lub też rozporządzania sobą według własnej woli". Hercen zaakceptował to stanowisko, czemu dał wyraz w liście do oficerów rosyjskich wzywającym ich do poparcia polskiego powstania. Pod koniec 1862 r. Zygmunt Padlewski i Andrzej Potiebnia zawarli układ z organizacją Ziemla i Wola, na mocy którego rosyjscy spiskowcy obiecali zorganizować dywersję uniemożliwiającą wysłanie wojsk carskich do Polski. Plan objęcia działaniami zbrojnymi także Rosji wzmacniał szanse powodzenia polskiego zrywu niepodległościowego. »

eprasa.pl 78b78ef26b

POWSTANIE STYCZNIOWE (1863–1864 r.)

Wystąpienia powstańcze 21–25 I 1863 r.

Miejsca ważniejszych bitew i potyczek

Ważniejsze bitwy po 25 I 1863 r.

Siedziba władz naczelnych powstania

Główne linie kolejowe i miejsca ważniejszych akcji sabotażowych

Granice i numery korpusów wojsk powstańczych

Tereny, na których dłużej utrzymywały się oddziały powstańcze

Rejon działania oddziału ks. Stanisława Brzóski (do X 1864 r.)

Główne kierunki przerzutów posiłków dla powstania

Kierunki działań oddziałów powstańczych:

- D. Czachowskiego
- E. Taczanowskiego
- R. Traugutta
- W. Wróblewskiego
- M. Kruka-Heidenreicha

25 0 25 50 km

DEMART

Kampania Mariana Langiewicza w Małopolsce (II–III 1863 r.)

Kampania Zygmunta Sierakowskiego na Litwie (IV–V 1863 r.)

Kampania Edmunda Różyckiego na Wołyniu (IV–V 1863 r.)

Kampania Józefa Hauke (XI 1863–II 1864 r.)

Ruchy sił powstańczych i kolejność działań

Ruchy wojsk rosyjskich w II 1864 r.

Zgrupowanie sił powstańczych w II 1864 r.

Kampanie powstania styczniowego

Trasy przemarszu wojsk powstańczych

Miejsca i daty bitew

(6–11 III) Daty przemarszów i stacjonowania

Miejsce złożenia broni

10 0 10 20 30 km

eprasa.pl 78b78ef26b

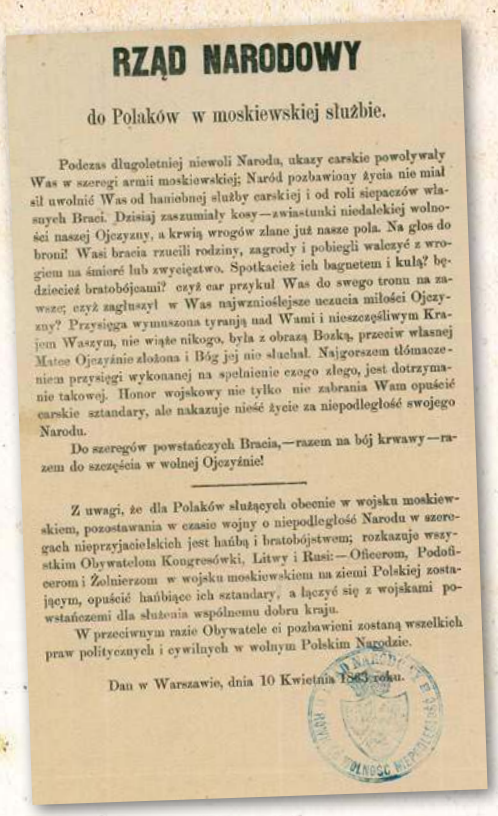

RZĄD NARODOWY

do Polaków w moskiewskiej służbie.

Podczas długoletniej niewoli Naroda, ukazy carskie powoływały Was w szeregi armii moskiewskiej; Naród pozbawiony życia nie miał sił uwolnić Was od haniebnej służby carskiej i od roli siepaczów własnych Braci. Dzisiaj zaszumiały kosy—zwiastunki niedalekiej wolności naszej Ojczyzny, a krwią wrogów zlane już nasze pola. Na głos do broni! Wasi bracia rzucili rodziny, zagrody i pobiegli walczyć z wrogiem na śmierć lub zwycięztwo. Spotkacież ich bagnetem i kulą? będziecież bratobójcami? czyż car przykuł Was do swego tronu na zawsze; czyż zagłuszył w Was najwznioślejsze uczucia miłości Ojczyzny? Przysięga wymuszona tyranją nad Wami i nieszczęśliwym Krajem Waszym, nie wiąże nikogo, była z obrazą Bożką, przeciw własnej Matce Ojczyźnie złożona i Bóg jej nie słuchał. Najgorszem tłómaczeniem przysięgi wykonanej na spełnienie czego złego, jest dotrzymanie takowej. Honor wojskowy nie tylko nie zabrania Wam opuścić carskie sztandary, ale nakazuje nieść życie za niepodległość swojego Narodu.

Do szeregów powstańczych Bracia,—razem na bój krwawy—razem do szczęścia w wolnej Ojczyźnie!

Z uwagi, że dla Polaków służących obecnie w wojsku moskiewskiem, pozostawania w czasie wojny o niepodległość Narodu w szeregach nieprzyjacielskich jest hańbą i bratobójstwem; rozkazuje wszystkim Obywatelom Kongresówki, Litwy i Rusi:—Oficerom, Podoficerom i Żołnierzom w wojsku moskiewskiem na ziemi Polskiej zostającym, opuścić hańbiące ich sztandary, a łączyć się z wojskami powstańczemi dla służenia wspólnemu dobra kraju.

W przeciwnym razie Obywatele ci pozbawieni zostaną wszelkich praw politycznych i cywilnych w wolnym Polskim Narodzie.

Dan w Warszawie, dnia 10 Kwietnia 1863 roku.

Odezwa Rządu Narodowego do Polaków w moskiewskiej służbie (10 kwietnia 1863 r.)

» Termin rozpoczęcia powstania ustalono na późną wiosnę 1863 r.

Plany te zakłóciło ogłoszenie przez władze carskie branki, czyli poboru do wojska. Chcąc storpedować planowano konspiratorów, zamierzano objąć nim ok. 10 tys. młodzieży ze środowisk niepokornych. Zapowiedź branki przyspieszyła decyzję o wybuchu powstania narodowego. 22 stycznia 1863 r. Komitet Centralny wydał manifest, ogłaszając się tymczasowym Rządem Narodowym. Wezwano „naród Polski, Litwy i Rusi" do walki z „nikczemnym rządem najezdniczym". Ogłoszono równość wszystkich obywateli, uwłaszczenie chłopów oraz zniesienie pańszczyzny. Powstanie styczniowe, nazwane tak od daty jego rozpoczęcia, szybko objęło swym zasięgiem teren Królestwa i Litwy. Działania zbrojne miały charakter wojny partyzanckiej. Rozproszone siły zbrojne liczyły łącznie ok. 25 tys. żołnierzy, ale o masowości zrywu patriotycznego świadczy to, że przez szeregi powstańcze przewinęło się ponad 200 tys. ochotników. Do stłumienia powstania rząd rosyjski musiał użyć 340-tysięcznej armii, z oddziałami której powstańcy stoczyli ok. 1,2 tys. bitew i potyczek. Szczególnym okrucieństwem wykazywał się działający na Litwie generał gubernator Michał Murawiow, który skazując powstańców na masowe egzekucje, zyskał niesławny przydomek Wieszatiel. Walcząc z powstańcami, stosował terror i zasadę odpowiedzialności zbiorowej, paląc całe wsie podejrzane o sprzyjanie powstańcom, konfiskując majątki i przeprowadzając wysiedlenia w głąb Rosji.

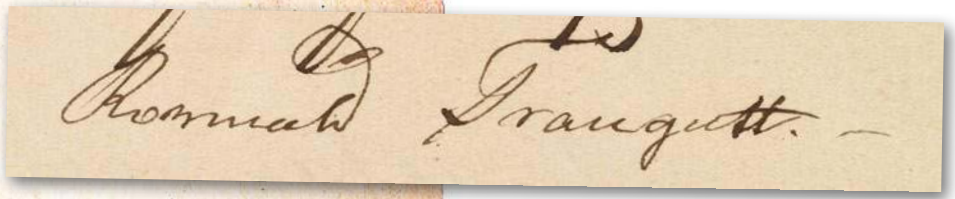

Własnoręczny podpis Romualda Traugutta

Władzę nad powstaniem sprawował początkowo Rząd Narodowy. 17 października 1863 r. przekazano ją Romualdowi Trauguttowi, który objął rządy dyktatorskie. Zreformował armię powstańczą i podporządkował jej administrację cywilną. Wobec olbrzymiej przewagi wojsk rosyjskich powstanie zakończyło się klęską. 11 kwietnia 1864 r. policja carska aresztowała Traugutta. Wraz z członkami Rządu Narodowego został skazany na śmierć, a egzekucję wykonano 5 sierpnia 1864 r. na stokach warszawskiej Cytadeli. Ostatni oddział powstańczy, dowodzony przez ks. Stanisława Brzóskę, walczył na Podlasiu do jesieni 1864 r.

Prawne i społeczne skutki działań władz powstańczych zmusiły carat do zmiany polityki agrarnej. Chcąc odciągnąć chłopów od powstania, władze rosyjskie powtórzyły dekrety uwłaszczeniowe rządu powstańczego. Znalazło to sankcję prawną w ukazach carskich z 1863 r. wydanych dla cesarstwa oraz z 1864 r. dla Królestwa. Innym ważnym przejawem polityki władz powstańczych było dążenie do objęcia powstaniem także Ukrainy. Znalazło to wyraz już w manifeście Rządu Narodowego z 22 stycznia 1863 r. oraz w nowym herbie Rzeczypospolitej, w którym obok Orła i Pogoni znalazł się jeszcze trzeci element – św. Michał Archanioł, patron Rusi Kijowskiej. Politycznym aktem zachęcającym do udziału w powstaniu włościan z Podola, Wołynia i Ukrainy była tzw. Złota Hramota, czyli dekret uwłaszczeniowy z 12 kwietnia 1863 r.

Powstanie styczniowe było największym polskim zrywem niepodległościowym w XIX w. Zginęły w nim dziesiątki tysięcy żołnierzy, kolejne dziesiątki tysięcy poddano represjom i zesłano na Syberię. Tysiące opuściło kraj w nowej fali emigracji politycznej. W wyniku wojny ziemie polskie poniosły ogromne straty gospodarcze i demograficzne. Po zdławieniu powstania rząd carski zlikwidował resztki odrębności administracyjnej Królestwa Polskiego. Administrację polską zastąpili rosyjscy urzędnicy, zaczęto likwidować polskie instytucje i urzędy, na szeroką skalę rozpoczęła się rusyfikacja. Dopełnieniem tych zmian było zniesienie nazwy Królestwo Polskie. Choć była ona nadal uporczywie używana, to terytorium Królestwa aż do I wojny światowej zostało sprowadzone do podrzędnej roli jednej z licznych prowincji Imperium Rosyjskiego, nazywanej Krajem Nadwiślańskim.

Złota Hramota (12 kwietnia 1863 r.)

FOT. KAROL ZGLIŃSKI

eprasa.pl 78b78ef26b

Pierwszy książę Republiki

GRZEGORZ GÓRNY

Przez ponad dwa stulecia – od 1572 do 1795 r. – nie było bardziej upolitycznionego urzędu kościelnego na świecie niż urząd prymasa Polski. Piastujący tę godność w latach 1739–1748 abp Krzysztof Szembek pisał, że „w żadnym królestwie europejskim niepraktykowana i niesłychana rzecz, ażeby miał kto z duchownych prerogatywy takie, jakie ma prymas Polski".

Był on pierwszym księciem (primus princeps) w Senacie Rzeczypospolitej. De facto stał na czele tej izby jako najwyższy senator w państwie. Zajmowanie pierwszego krzesła w owym gremium dawało mu prawo pierwszego głosu, a więc nadawania kierunku i tonu obradom. W praktyce był jednym z najbliższych współpracowników króla. Pełnił też funkcję interreksa, czyli podczas bezkrólewia stał na czele państwa, a także namiestnika, sprawując władzę podczas nieobecności monarchy w kraju.

Stanowisko prymasa związane było z godnością arcybiskupa gnieźnieńskiego jako zwierzchnika najstarszej polskiej metropolii. Gniezno jako miasto traciło jednak na znaczeniu i znajdowało się daleko od stolicy państwa. Dlatego przez cztery wieki ulubioną rezydencją prymasów był Łowicz, położony bliżej Krakowa i Warszawy. Tam prowadzili oni swój dwór, który bywał jednym z ważniejszych centrów politycznych i kulturalnych w kraju. Stamtąd prowadzili korespondencję z papieżami, monarchami, wielmożami i urzędnikami. Były czasy, gdy stajnia prymasowska liczyła 200 koni, będących w ciągłej gotowości, by kursować z pismami pomiędzy dworami.

Dostojnicy kościelni sprawujący urząd prymasa posiadali zatem bogate instrumentarium oddziaływania na życie polityczne państwa. Znaleźli się wśród nich tacy, którzy używali go na niekorzyść Rzeczypospolitej, jak niesławnej pamięci Adam Komorowski czy Gabriel Podoski. Takich było jednak niewielu. Zdecydowana większość kierowała się dobrem ojczyzny i Kościoła. Wśród nich wyróżnić można wybitnych mężów stanu, takich jak Stanisław Karnkowski, Jan Wężyk czy Andrzej Olszowski, gorliwych duszpasterzy, jak Wawrzyniec Gembicki czy Maciej Łubieński, lub hojnych mecenasów sztuki, jak Wojciech Baranowski czy Michał Radziejowski.

Ostatnim z wielkich prymasów I Rzeczypospolitej okazał się Teodor Potocki

Prymasów traktowano jak stróżów prawa Rzeczypospolitej oraz mediatorów i arbitrów w sporach pomiędzy szlachtą a władcą. Pisał Stanisław Karnkowski w 1593 r.: „Dla narodu naszego jest w arcybiskupie gnieźnieńskim skuteczna i pewna obrona przeciwko niemocy i nieprawości królów" (a więc gdy król jest za słaby lub za silny). Byli prymasi, którzy odgrywali dużą rolę na dworze królewskim, np. Zygmunt III Waza nie zwykł podejmować żadnej ważnej decyzji bez rady Wawrzyńca Gembickiego. Oczywiście zdarzało się, że w czasach ostrej rywalizacji pomiędzy stronnictwami zbytnie opowiedzenie się po jednej stronie politycznego sporu podkopywało duchowy autorytet prymasa, ale taka była cena zaangażowania w sprawy publiczne.

Rola prymasa jako stróża porządku ujawniała się także w innych kwestiach. W państwie wielowyznaniowym, jakie stanowiła Rzeczpospolita, kluczową sprawą było zachowanie pokoju religijnego. W tej kwestii wielu arcybiskupów gnieźnieńskich cechowała tolerancja oraz dążenie do pojednania zarówno z protestantami (Maciej Łubieński), jak i prawosławnymi (Bernard Maciejowski, Wawrzyniec Gembicki, Andrzej Olszowski).

Obniżenie rangi urzędu nastąpiło w XVIII w. wraz z kryzysem ustrojowym państwa. Ostatnim z wielkich prymasów I Rzeczypospolitej okazał się Teodor Potocki, który sprzeciwiał się włączeniu Polski do rosyjskiej strefy wpływów, odrzucił 100 tys. rubli carskiej łapówki, a swą nieugiętą postawę wobec wschodniego sąsiada przypłacił nawet aresztem. Petersburg zaciskał jednak wokół Polski pętlę. Ostatnim przedrozbiorowym prymasem był brat króla Michał Poniatowski. Od 1775 r. zasiadał w Radzie Nieustającej, czyli najwyższym organie rządowym. Stał też na czele Komisji Edukacji Narodowej. Starał się zapobiec rozbiorom, ale nie mógł wiele uczynić. Jego następca, słynny poeta Ignacy Krasicki, należał już do innej epoki – był pierwszym prymasem okresu niewoli.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 78b78ef26b

CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (1)

PRZEDROZBIOROWA RZECZPOSPOLITA NIE UCZESTNICZYŁA AKTYWNIE W ROZWOJU TECHNIKI, KORZYSTAJĄC Z USŁUG OBCYCH INŻYNIERÓW, POCZĄTKOWO PRZEDE WSZYSTKIM WOJSKOWYCH. PO ROZBIORACH TO NASI FACHOWCY PRACOWALI NA RZECZ ZAGRANICY

BOLESŁAW ORŁOWSKI

Zagraniczni eksperci zatrudniali się chętnie w naszym kraju, gdzie płacono im dobrze, panowały ład społeczny i tolerancja religijna, co wówczas należało do rzadkości. Od XVI w. najliczniej pojawiali się u nas zrazu Włosi, potem także przedstawiciele krain niemieckich i francuskich. Pierwszym z owych działających w Rzeczypospolitej cudzoziemskich inżynierów, o którego dokonaniach przez jakiś czas było głośno w Europie, był urodzony w Italii Tytus Liwiusz Boratyni (1617–1681).

Polak z wyboru

Związał się na stałe z Polską ok. 1641 r. W latach 1647–1648 przeprowadzał w Warszawie próby lotnicze, którym patronował król Władysław IV Waza. Dążył do zbudowania machiny latającej w kształcie

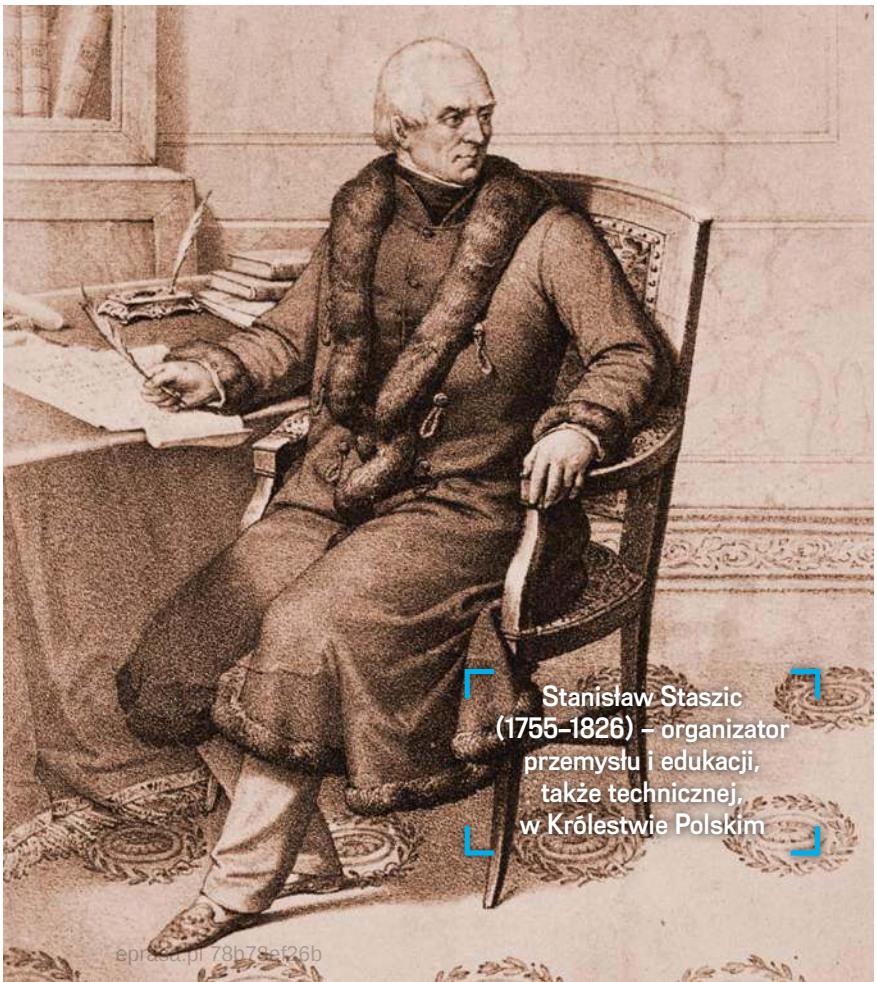

Stanisław Staszic (1755–1826) – organizator przemysłu i edukacji, także technicznej, w Królestwie Polskim

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

epraca.pl 78b78ef26b

smoka, która wedle relacji naocznego świadka (Anglika Simona) miała unieść w powietrze trzy osoby. Wydaje się, że głównie eksperymentował z dużymi jej modelami (co najmniej raz z żywym kotem na pokładzie), rodzajem latawców, a może z napędem sprężynowym. Eksperymenty te odnotowała prasa zachodnioeuropejska, byli nimi też zainteresowani uczeni francuscy i niemieccy. Boratyni zajmował się również budownictwem, górnictwem, mennictwem, po mistrzowsku szlifował stale doskonalone soczewki (m.in. dla wielkiego gdańskiego astronoma Jana Heweliusza, 1611–1687), budował wymyślne urządzenia mechaniczne. Należał do czołowych przedstawicieli dokonującej się wówczas europejskiej rewolucji naukowej, tworzącej podwaliny empirycznej nauki nowoczesnej, nosił się z zamiarem zmierzenia stopnia szerokości geograficznej, próbował racjonalnie wyjaśnić doroczne wylewy Nilu. Zainspirowany przez krakowskiego uczonego Stanisława Pudłowskiego (1597–1645) stał się jednym z ważnych propagatorów wprowadzenia jednolitej miary powszechnej opartej na długości wahadła sekundowego. Zaproponował system opartych na niej powiązanych jednostek długości, objętości i ciężaru („Misura universale", Wilno 1675). Pomysł takiego ujednolicenia, niezwykle ważny w sytuacji tysięcy podobnych nazwą, ale różnorodnych lokalnie obowiązujących wówczas miar, ze względów naukowych, ale także czysto praktycznych (np. handlowych), był wtedy bardzo popularny. Porzucono go jednak w końcu XVII w., kiedy okazało się, że długość wahadła sekundowego zależna jest od szerokości geograficznej.

Święty obowiązek

Nasze uczestnictwo w zachodniej cywilizacji pozostawało wszakże zdecydowanie bierne aż do rozbiorów. Rzeczpospolita znikła w 1795 r. z politycznej mapy Europy jako peryferyjne feudalne państwo rolnicze zaledwie muśnięte następstwami dokonującej się na Zachodzie rewolucji przemysłowej. Katastrofa uświadomiła oświeconym kręgom polskiego społeczeństwa, że nie wolno dłużej ignorować wyzwań epoki. A bliskie kontakty z Francją w okresie napoleońskim umożliwiły korzystanie z jej zdobyczy cywilizacyjnych, naukowych, edukacyjnych i technicznych, kiedy wpływy we władzach Księstwa Warszawskiego (1807–1813) zyskali ludzie wychowani w atmosferze idei oświeceniowych. Zaowocowało to głębokimi przemianami w sposobie myślenia, do których doszło w 15-leciu szerokiej autonomii Królestwa Polskiego (1815–1830). Zapoczątkowano wówczas wiele procesów kształtujących podwaliny Polski nowoczesnej, a stosunkowo szerokie kręgi warstw oświeceniowych zaczęły rozumować w sposób właściwy społeczeństwom nowoczesnym. Uprawianie techniki przestało być traktowane jako rodzaj ekstrawagancji.

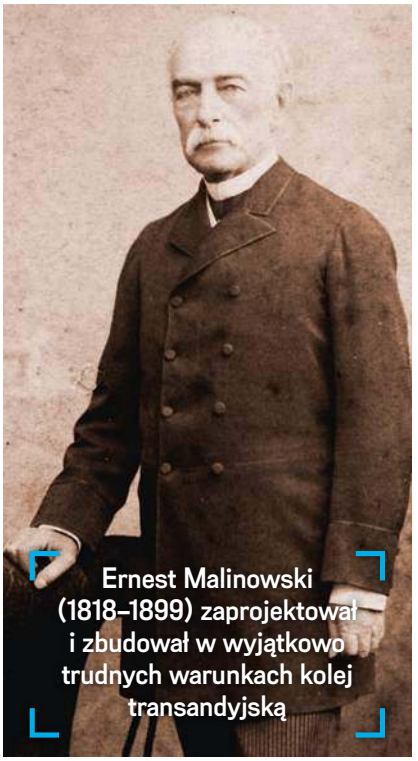

Ernest Malinowski (1818–1899) zaprojektował i zbudował w wyjątkowo trudnych warunkach kolej transandyjską

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

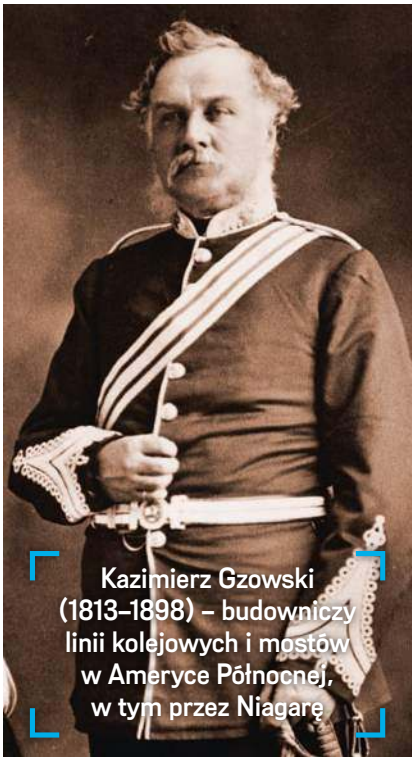

Kazimierz Gzowski (1813–1898) – budowniczy linii kolejowych i mostów w Ameryce Północnej, w tym przez Niagarę

FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS

Ogromną rolę w owych przemianach odegrał Stanisław Staszic (1755–1826) jako kierownik przemysłu, który zmodernizował i rozwinął, oraz wielki organizator edukacji, także technicznej. To głównie dzięki niemu powstały w Kielcach Szkoła Akademiczno-Górnicza (1816), a w Warszawie Szkoła Przygotowawcza do Instytutu Politechnicznego (1826). Inaugurując 4 stycznia 1826 r. (dwa tygodnie przed śmiercią) działalność tej ostatniej, powiedział, „że w nabywaniu nauk, na samej ich teorii przestawać nie należy. By zostać użytecznym w społeczeństwie członkiem, trzeba usiłować, trzeba umieć, nabyte nauki i umiejętności zastosować do potrzeb krajowych, do wynalazków, kunsztów, do użytku publicznego".

Staszic kierował też od 1808 r. działalnością Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk (powstałego w 1800 r.), które stawiało sobie za cel „poznać rodowitą ziemię i wszystkie jej płody: dla tych dobycia, używania potrzebne rozkrzewiać umiejętności i sztuki…".

To właśnie dzięki owym przemianom w polskiej mentalności tak wielu uczestników Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym uzyskało dyplomy na renomowanych francuskich uczelniach technicznych. Było to zgodne z patriotycznym celem przyświecającym owym uchodźcom: przygotowywaniem się do oczekiwanej wojny o wyzwolenie Polski, gdyż zawód inżyniera jest przydatny militarnie. Zdawali też sobie sprawę, że ojczyznę trzeba nie tylko wyzwolić, ale i zmodernizować. Dlatego we wstępie do ustaw Towarzystwa Politechnicznego Polskiego w Paryżu, założonego w 1835 r. przez gen. Józefa Bema (1794–1850), napisano: „Emigracja polska, mająca sposobność doskonalenia się za granicą we wszystkich częściach nauk, sztuk i kunsztów, powinna uważać za święty obowiązek przysposabiać dla ojczyzny synów zdatnych i utalentowanych, aby kiedyś wróciwszy do kraju, przesadziła na ziemię ojców swoich, grubą żałobą pokrytą, rozkwitłe dla niej za granicą wszelkiego rodzaju gałęzie, które by po całej ziemi polskiej rozrzucone, hojnie wkrótce rozrodzić mogły…". »

eprasa.pl 78b78ef26b

FOT. ALAMY/BEW

Tadeusz Oksza-Orzechowski (1838–1902) na Półwyspie Iberyjskim organizował budowę telegraficznych kabli podmorskich

Rozproszeni w świecie

Pewnie odgrywało też jakąś rolę to, że studia techniczne były relatywnie najłatwiejsze dla obcokrajowców. Nie były natomiast dla nich korzystne przepisy francuskie, uniemożliwiające praktycznie zrobienie kariery nawet najlepiej wykształconym i wykwalifikowanym spośród nich. Dlatego, po utracie nadziei wiązanych z wydarzeniami Wiosny Ludów (1848–1849), kiedy zdano sobie sprawę, że wyzwolenie Polski to sprawa dalszej przyszłości i przestał obowiązywać moralny przymus trzymania się razem niedaleko od ojczyzny, zaczęto szukać kariery zawodowej w innych krajach, często egzotycznych, gdzie inżynierowie z francuskim dyplomem byli chętnie widziani. Najliczniej w Ameryce Południowej i w imperium tureckim. A motywacją coraz powszechniej stawało się rozumowanie w kategoriach obywateli świata i poczucie uczestnictwa w misji cywilizacyjnej.

Krajem, w którym grupa polskich inżynierów wykształconych w paryskiej Szkole Dróg i Mostów (Ecole des Ponts et Chaussées) stworzyła wówczas podwaliny nowoczesności w duchu europejskim, stało się Peru. Dwaj z nich zasłużyli się szczególnie. Ernest Malinowski (1818–1899) zaprojektował, wytrasował i zbudował w wyjątkowo trudnych warunkach wysokogórskich kolej transandyjską (Ferrocaril Central Transandino), do niedawna najwyższą na świecie (4768 m n.p.m.), stosując nowatorskie rozwiązania i bijąc rekordy budowlane. Kolej ta – łącząca gęsto zamieszkane wybrzeże Pacyfiku z zasobnym we wszelkie bogactwa wnętrzem kraju – miała uczynić z Peru potęgę gospodarczą. Nie doszło do tego wskutek niepomyślnego zbiegu okoliczności, co nie umniejsza sukcesu Malinowskiego, który stworzył dzieło wybitne, poświadczające jego kunszt inżynierski. Od 1999 r. w pobliżu najwyższego punktu tej kolei stoi jego pomnik dłuta Gustawa Zemły, powstały z inicjatywy polskiego Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Komunikacji przy współudziale rządu Peru.

A sprowadzony przez Malinowskiego do Peru Edward Habich (1835–1909) stworzył w 1876 r. w Limie pierwszą w Ameryce Łacińskiej politechnikę, zorganizował państwowy korpus inżynierów (Cuerpo Ingenieros del Estado), którym przez wiele lat kierował, zainicjował peruwiańskie czasopiśmiennictwo naukowo-techniczne, przyczynił się do wprowadzenia systemu metrycznego i do powstania Towarzystwa Geograficznego w Limie (1888). Władze peruwiańskie wystawiły Habichowi pomnik na Plaza de Polonia w Limie, pochowano go w mauzoleum wzniesionym na koszt państwa. A jego potomkowie zaliczają się nadal do elity peruwiańskiej, obchodząc święto rodzinne 3 maja.

Od 1842 r. pracował w Kanadzie weteran powstania listopadowego Kazimierz Gzowski (1813–1898), absolwent Liceum Krzemienieckiego. Zbudował on dwa odcinki wielkiej kolejowej magistrali (Grand Trunk Railway), która odegrała ważną rolę jednoczącą prowincje tego rozległego kraju: z Montrealu do granicy USA (1853) i Toronto – Sarnia (1859). Od 1857 r. prowadził w Toronto pierwszą w Kanadzie wytwórnię szyn kolejowych. Zbudował wiele mostów, w tym najdłuższy w Ameryce Północnej most (stalowy kratowy) przez Niagarę (1873), przezwyciężając liczne trudności z posadawianiem filarów z uwagi na znaczną głębokość rzeki, wartki nurt i niekorzystne warunki geologiczne dna. Z rozmachem urządził park narodowy po kanadyjskiej stronie Niagary (1885).

Bywając od 1870 r. corocznie w Londynie na igrzyskach imperialnych ze strzelecką reprezentacją Kanady, Gzowski stał się ulubieńcem królowej Wiktorii, która w 1879 r. mianowała go swoim honorowym adiutantem (jako pierwszego poddanego z kolonii), a w 1890 nadała mu odznaczenie uprawniające do tytułu „sir". W 1963 r. poczta kanadyjska wyemitowała znaczek z jego podobizną.

W latach 1853–1884 działał w imperium osmańskim uczestnik powstania wielkopolskiego (1848), agronom i znany poeta Karol Brzozowski (1821–1904). Budował pierwsze w tym państwie linie telegraficzne (przyznawał się do poprowadzenia ich na łączną odległość 40 tys. km), zaprowadzał racjonalną gospodarkę leśną w górach Bułgarii (1865–1868), a następnie prowadził wzorowe gospodarstwo rolne w Feradżacie n. Tygrysem, zaznajamiając miejscową ludność z nowoczesnymi metodami uprawy ziemi. Sporządzał też mapy, m.in. nieznanych wówczas nauce obszarów w górach Kurdystanu na granicy perskiej (1869), gdzie przeprowadzał pomiary i badania, dokonując odkryć geologicznych i archeologicznych (ich wyniki opublikował we francuskim czasopiśmie naukowym „Bulletin de la Société de Géographie" w 1893 r.). Był najciekawszą postacią spośród kilkuset Polaków zatrudnionych, zwłaszcza po powstaniu styczniowym, w tureckiej służbie państwowej, głównie w organizowanej od 1865 r. administracji dróg i mostów.

Z Turcją związany też był początkowo po powstaniu styczniowym (do 1871 r.) działacz niepodległościowy, z zawodu lekarz Tadeusz Oksza-Orzechowski (1838–1902), który dopomógł jej w uzyskaniu pożyczek zagranicznych i unormowaniu stosunków z Watykanem (1869), za co papież Pius IX przyznał mu tytuł hrabiego rzymskiego. Przebywając od 1880 r. na Półwyspie Iberyjskim, zajmował się organizowaniem budowy telegraficznych kabli podmorskich. Pierwszy z nich połączył Kadyks z Santa Cruz na Teneryfie (1883), a drugi – biegnący wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki – z Luandą w Angoli i wieloma miejscowościami w koloniach państw europejskich po drodze (1886). Zamierzał też zbudować kolej łączącą Angolę z Mozambikiem, ale przedsięwzięcie to okazało się wówczas niewykonalne z uwagi na trudności klimatyczne i terenowe.

Warto również wspomnieć, że podczas wojny rosyjsko-tureckiej w latach 1877–1878 pojechał do Siedmiogrodu, gdzie wydał resztki odziedziczonej po przodkach rodzinnej fortuny, wynajmując miejscowych górali, Szeklerów, do dezorganizowania tyłów armii rosyjskiej. Była to ta sama wojna, na której dorobił się fortuny, aprowizując armię rosyjską, Stanisław Wokulski, bohater „Lalki" Bolesława Prusa.

cdn.

eprasa.pl 78b78ef26b

WOLAN I ROTUNDUS.

RESPUBLICA LITTERARIA EUROPEA

MIĘDZY BIJUCISZKAMI A TABORYSZKAMI

„BARDZO WIELKIE POŻYTKI RODZAJU LUDZKIEMU SĄ Z NATURY DANE, JEDNAK NIE WIEM, JEŚLI ZE WSZYTKICH RZECZY LUDZKICH NAJPIĘKNIEJSZA JEST WOLNOŚĆ"

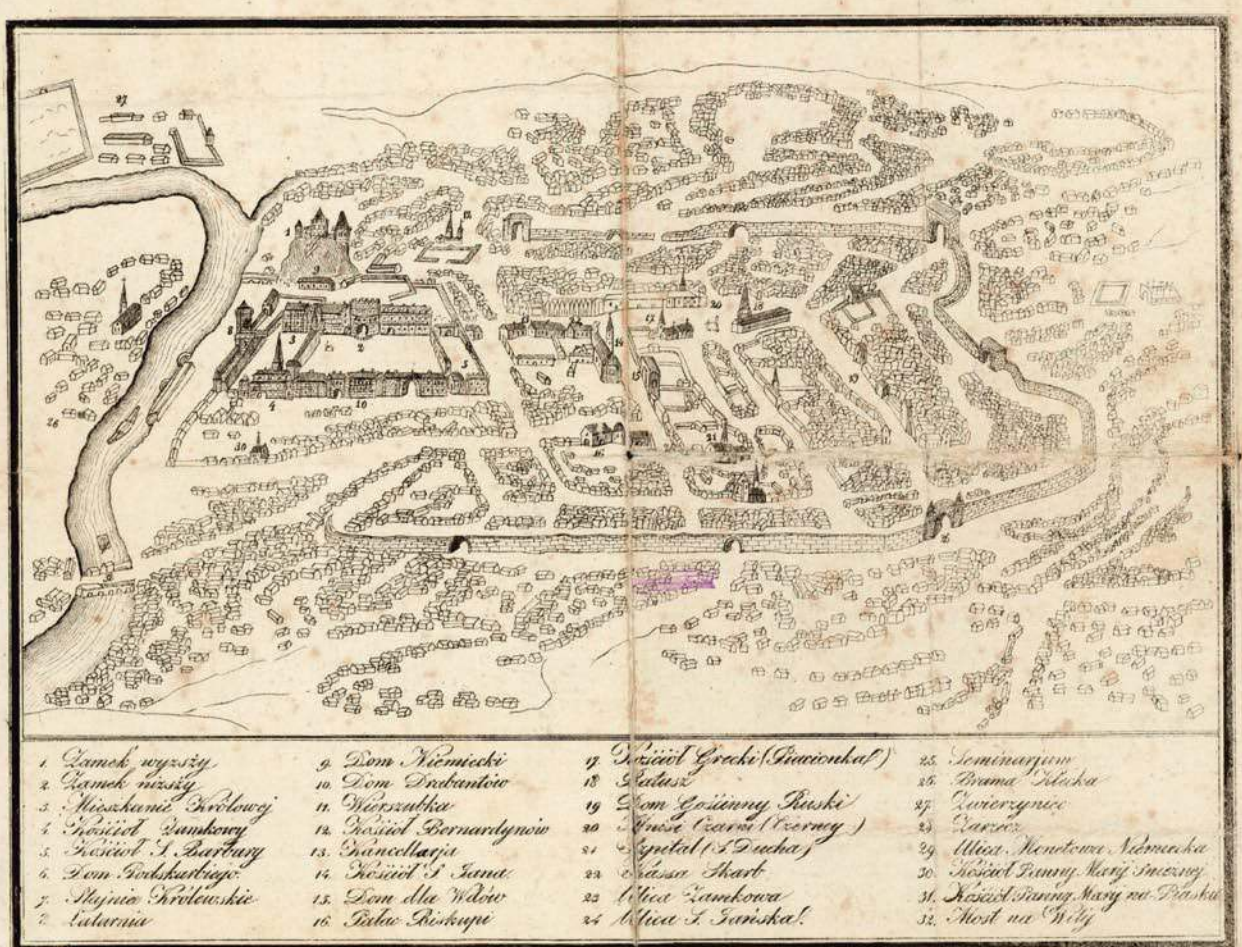

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Z dzieła J. I. Kraszewskiego. Wilno od początków jego do roku 1750 Wilno 8° 4 tomy. tom. I-y. 1840 r.

Plan Wilna z ok. 1550 r. Andrzej Wolan i Augustyn Rotundus Mieleski współtworzyli intelektualną elitę tego miasta II połowy XVI w.

eprasa.pl 78b78ef26b

HENRYK LITWIN

Ten cytat z dzieła Andrzeja Wolana „De libertate politica", napisanego prawdopodobnie w 1571 r., a wydanego w Krakowie w 1572, wskazuje na centralną rolę pojęcia „wolność" w myśli politycznej Rzeczypospolitej Obojga Narodów u zarania jej istnienia. Autor wspomnianego dzieła urodził się w 1531 r., gdzieś w Wielkopolsce, w wywodzącej się ze Śląska rodzinie szlacheckiej o niezbyt starym rodowodzie. Jego ojczystym językiem był polski, ale dorobek życia poświęcił Wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Wolan był gorliwym wyznawcą kalwinizmu, a współcześni nazywali go nawet „papieżem" tego wyznania na Litwie. Księga „De libertate politica" została uświetniona swoistą recenzją pióra Augustyna Rotundusa Mieleskiego, w postaci listu do Wolana zamieszczonego w wydaniu z 1572 r. w charakterze posłowia. Rotundus był także Polakiem, który zamieszkał w Wielkim Księstwie i stał się jego patriotą. Przyjaźnił się z Wolanem i admirował jego twórczość polityczną, choć zaliczał się do najgorliwszych obrońców katolicyzmu i gorących krytyków „rozróżnienia w wierze". Obaj myśliciele współtworzyli intelektualną elitę Wilna II połowy XVI w., obok takich postaci jak Piotr Skarga pochodzący z Mazowsza czy Andrzej Patrycy Nidecki urodzony w Oświęcimiu. Najcenniejszym podarunkiem Polski dla Litwy było nie tyle wspólne państwo, ile najwspanialsze umysły.

Wolan w służbie Radziwiłłów, kalwinizmu i politologii

Andrzej Wolan był człowiekiem gruntownie wykształconym. Studiował dialektykę i retorykę na uniwersytecie we Frankfurcie nad Odrą oraz artes i teologię w Akademii Królewieckiej. Stał się mistrzem wyrafinowanego stylu łacińskiego czerpiącego z kanonu piśmiennictwa antycznego oraz znawcą pism ojców protestantyzmu. Po studiach trafił na służbę do wszechpotężnych na Litwie Radziwiłłów i został zaufanym doradcą Mikołaja „Rudego" Radziwiłła. Za radziwiłłowską protekcją znalazł się w otoczeniu Zygmunta Augusta, któremu służył jako honorowy – nieopłacany – sekretarz królewski. W roku unii lubelskiej (1569) zyskał potwierdzenie szlachectwa i obywatelstwa Wielkiego Księstwa Litewskiego. Pozostał na służbie u Radziwiłłów i pełnił liczne funkcje dyplomatyczne jako współpracownik „Rudego". Stał się centralną postacią litewskiego kalwinizmu i wydał wiele prac teologicznych, broniąc zasad „wyznania helweckiego" w dysputach z katolikami, luteranami i antytrynitarzami. Jednocześnie tworzył teksty o charakterze – jak byśmy dziś powiedzieli – politologicznym. „De libertate politica" jest prawdopodobnie najważniejszym z nich.

Rotundus – w służbie katolicyzmu i prawa

Augustyn Rotundus Mieleski wywodził się z mieszczańskiej rodziny zamieszkałej w Wieluniu i używającej nazwiska Okrągły (w formie zlatynizowanej Rotundus). Jego bliski krewny, możliwe że ojciec, był rzeźnikiem i cenionym uczestnikiem społeczności miejskiej, wybieranym na ławnika i burmistrza. Augustyn pobierał nauki na poznańskiej Akademii Lubrańskiego, a następnie w Wittemberdze. Otarł się o środowiska protestanckie, ale pozostał wierny katolicyzmowi. W 1551 r. zamieszkał na Litwie i oddał się studiowaniu jej dziejów. Stworzył kanon litewskiej „polityki historycznej", opraco-

Starodruk „De libertate politica" z 1572 r. autorstwa Andrzeja Wolana

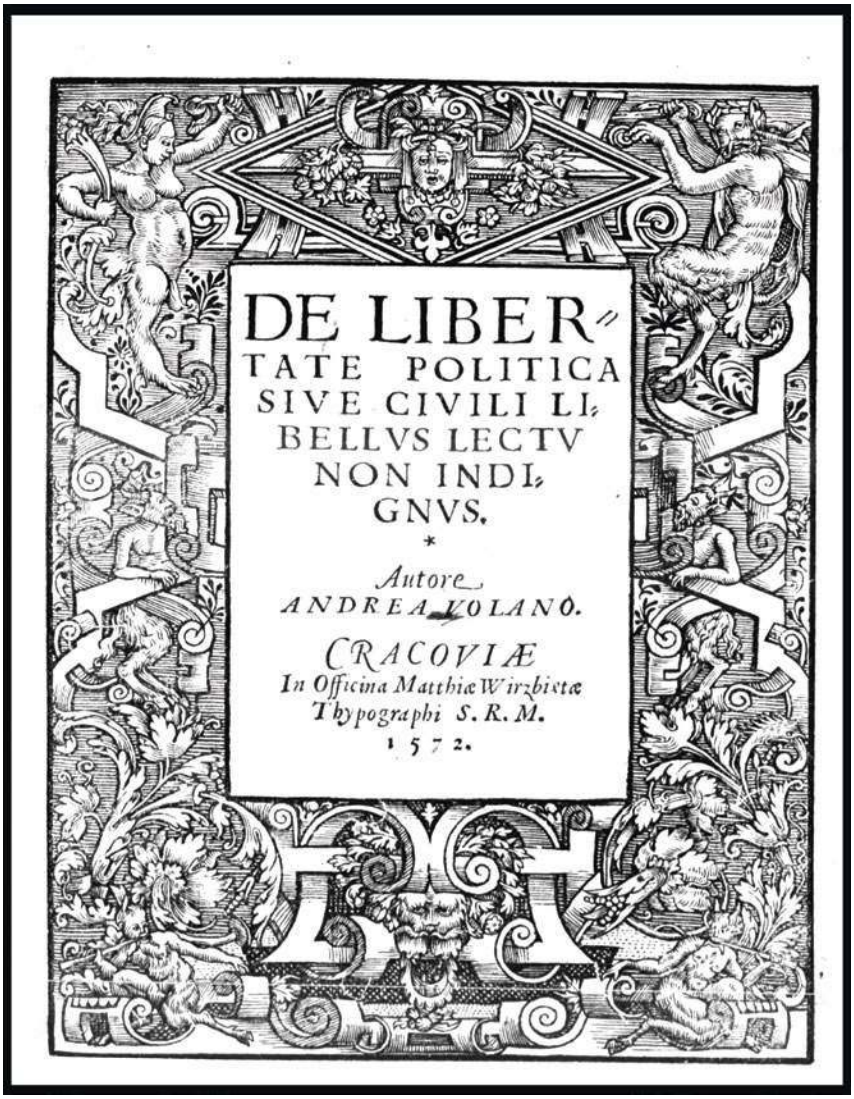

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 78b78ef26b

wując tekst odwołujący się do rzymskich korzeni arystokracji litewskiej – „Cronica sive historia Lithuaniae". Jego zasługi dla litewskiego piśmiennictwa zostały wynagrodzone nobilitacją (1568). Współtworzył drugi (1566) i trzeci (1588) statut litewski, zaświadczając o swoich prawniczych kompetencjach i litewskim patriotyzmie. Był także tłumaczem tych pomników prawa Wielkiego Księstwa z języka ruskiego na łacinę. Z kolei w dziele „De dignitate ordinis ecclesiastici Regni Poloniae" zawarł swoją emocjonalną obronę odradzającego się w duchu kontrreformacji stanu duchownego. Zmarł w 1582 r. w Wilnie, pozostając wiernym swemu litewskiemu przeznaczeniu.

Wspólne fascynacje

Rotundus i Wolan pracowali razem, odrzucając inkorporacyjną koncepcję związku Korony z Litwą w tekście „Rozmowy Polaka z Litwinem". Nie można ich jednak uznać za przeciwników unii, ale raczej za zwolenników jej wersji w postaci równorzędnego związku dwóch państw. Ciekawy jest efekt litewskiego patriotyzmu obu polskich intelektualistów, wychowanych w koronnym systemie edukacyjnym i dysponujących erudycją nabytą nie tylko w czasie uniwersyteckich wojaży, ale i na dworze królewskim, gdzie pełnili obowiązki królewskich sekretarzy. Kiedy Stanisław Orzechowski w utworze „Quincunx" w dość niewybredny sposób zaatakował litewski system polityczny i zaapelował o unię polsko-litewską opartą na zasadzie kompletnej inkorporacji, Rotundus i Wolan odpowiedzieli wizją równoprawnego związku dwóch państw. Mieleski zaprezentował taki pogląd w „Rozmowie Polaka z Litwinem", wydanej w 1566 r. polemice z Orzechowskim, Wolan zaś uzupełnił wywody przyjaciela wierszem swego autorstwa „Do Polaków i Litwy" dołączonym do wspomnianej edycji. Obaj autorzy poparli swe rozważania konkretnymi działaniami politycznymi. W trakcie sejmu unijnego w Lublinie (1569) wspierali dążenia Mikołaja „Rudego" Radziwiłła zmierzające do zachowania podmiotowości przez Wielkie Księstwo Litewskie. Taka idea unii została ostatecznie wprowadzona w życie dzięki konsekwentnym działaniom Zygmunta Augusta, który doprowadził do unii realnej, równoznacznej z federalistyczną konstrukcją państwa, ale też do przyspieszenia procesu rozszerzania się systemu demokracji szlacheckiej na Wielkie Księstwo Litewskie. Wolan i Rotundus obserwowali to bez wątpienia z satysfakcją.

Łączyła ich także admiracja „polskiej wolności" i przekonanie, że może być ona twórczo adaptowana do specyfiki litewskiej, zyskując przy tym szczególną wartość. Jak pisał Wolan: „Żaden inszy na świecie nie jest naród, który by wolność swą nad naszę przełożyć abo mógł, abo śmiał".

Obaj byli wielbicielami systemu politycznego nazwanego później demokracją szlachecką i obaj dostrzegali zarówno jego zalety, jak i potrzebę reform. Istotę takiego ustroju dostrzegali w harmonii wolności i prawa. „A przeto nie masz tam miejsca wolności, gdzie nie masz praw żadnych" – pisał Wolan w „De libertate..." i uzupełniał to nieco dalej komentarzem: „Dobro wolności, o którym tu mówimy, nie w czym inszym należy, jedno w dobrym a porządnym praw postanowieniu". Wolan wyprzedzał nieco Mieleskiego w swym radykalizmie, postulując np. wzorem Andrzeja Frycza Modrzewskiego wprowadzenie zrównujących wszystkie stany kar „za mężobójstwo". Występował też – może jako pierwszy pisarz polityczny w historii Polski – jako rzecznik praw kobiet. W dziele „De libertate politica" pisał: „Bo gdyż wszytka Rzeczpospolita dzieli się na mężczyzny i niewiasty, targa się niejakim sposobem połowica Rzeczypospolitej, gdzie nieprzyjaciele i gwałciciele wstydu niewieściego żadnym karaniem nie będą powściągnieni". Określenie kobiet jako „połowicy Rzeczypospolitej" stanowi niezwykle wczesny przykład pojmowania społecznej roli kobiet i mężczyzn w kategoriach równouprawnienia, choć pamiętać należy, że taka kwalifikacja ma wymiar prezentystyczny.

ANDRZEJ WOLAN I AUGUSTYN ROTUNDUS MIELESKI BYLI WIELBICIELAMI SYSTEMU POLITYCZNEGO NAZWANEGO PÓŹNIEJ DEMOKRACJĄ SZLACHECKĄ. OBAJ DOSTRZEGALI ZARÓWNO JEGO ZALETY, JAK I POTRZEBĘ REFORM

Respublica litteraria pod Wilnem

Wolan i Rotundus mieszkali pod Wilnem, w majątkach podarowanych im przez króla i Radziwiłłów. Wolan w Bijuciszkach, Rotundus w Taboryszkach. Między tymi dwiema „zabitymi deskami" wioskami krążyła korespondencja dwóch wybitnych intelektualistów, którzy wymieniali uwagi o wydawanych przez siebie dziełach i pracach innych twórców. Kalwinista i katolik prowadzili listowne dysputy, wymieniając rewerencje i intelektualne ukłony. Rotundus sprawował urząd wójta wileńskiego, a w jego domu często goszczącym Wolana spotykali się także wymienieni już wcześniej – Piotr Skarga, Andrzej Patrycy Nidecki, Łukasz Górnicki i wielu innych. Wszyscy ci uczeni należeli do europejskiej społeczności intelektualistów, nazywanej wówczas Respublica litteraria. Utrzymywali listowne kontakty ze współuczestnikami tej wspólnoty pochodzącymi z Rzymu, Paryża czy Frankfurtu. Jednak przede wszystkim we własnym gronie, łączącym wychowanych we wspólnej kulturze przedstawicieli różnych wyznań i prądów filozoficznych, toczyli błyskotliwe dyskusje pełne ostrych sporów, ale także wysublimowanych uprzejmości. Kiedy Rotundus komentował dzieło Wolana „De liberatate", nie omieszkał dać mu niezwykle pochwalnej oceny: „Ty zaś, jak widzę, naśladujesz tych pisarzy i starożytnego, i naszego czasu, którzy w podobnym rodzaju pisania stawiali sobie za cel, aby nie tylko zapoznawać czytelników z uzasadnionymi przestrogami i słusznymi opiniami, lecz także zachwycać czystością i blaskiem słów oraz stosownym i zgrabnym ich ułożeniem".

eprasa.pl 78b78ef26b

CYPRYJSKI EPIZOD NA AUSTRIACKIM PŁÓTNIE...

26 LUTEGO 1489 r. W KATEDRZE ŚW. MIKOŁAJA W FAMAGUŚCIE KATARZYNA CORNARO, OSTATNIA KRÓLOWA CYPRU, OGŁOSIŁA AKT ABDYKACJI. PO 16 LATACH PANOWANIA WRÓCIŁA DO SWOJEJ OJCZYZNY, DO WENECJI, GDZIE ZGOTOWANO JEJ WYSTAWNE POWITANIE

ERWIN KOZŁOWSKI

Reminiscencje tego wydarzenia znane są do dzisiaj zarówno na Cyprze, jak i w Wenecji. Samo wydarzenie zostało utrwalone w dziele jednego z czołowych artystów wiedeńskich, cenionego portrecisty Hansa Makarta (1840–1884). Malarz był rówieśnikiem Jana Matejki i podobnie jak nasz mistrz starał się przekazać wzniosłe alegorie w przedstawianych przez siebie scenach historycznych.

Wspomniany obraz (400 x 1060 cm) zajmujący całą ścianę jednej z sal Górnego Belwederu nosi tytuł „Wenecjanie składający hołd Katarzynie Cornaro" i przedstawia wydarzenie z 5 czerwca 1489 r. Królowa Cypru wpłynęła do miasta Wielkim Kanałem na wspaniałym okręcie wojennym i na placu św. Marka zgotowano jej uroczyste powitanie. Na obrazie widzimy reprezentujące Republikę Wenecką osoby, które otaczają i oddają pokłon przybyłej do ich miasta monarchini. Katarzyna jest młodą, pełną dostojeństwa kobietą. Ubrana w jasną, przeszywaną złotem suknię, ozdobiona klejnotami, z rudymi, starannie upiętymi włosami, łaskawym gestem wyciągniętej prawej dłoni przyjmuje składane jej dary.

Małżeństwo w interesach

Katarzyna, tak jak otaczający ją ludzie, była wenecjanką pochodzącą z zamożnej

eprasa.pl 78b78ef26b

Hans Makart, „Wenecjanie składający hołd Katarzynie Cornaro"

FOT. AKG-IMAGES / ERICH LESSING

kupieckiej rodziny Cornaro. Jako 17-letnia dziewczyna w 1472 r. opuściła rodzinne miasto, aby poślubiwszy tutejszego władcę Jakuba II de Lusignan, zostać królową Cypru.

Ród Cornaro od 1372 r. swoje inwestycje związał z Cyprem, gdzie zyski czerpał z produkcji i dystrybucji cukru. Stryj i ojciec Katarzyny zdecydowali się udzielić poparcia walczącemu z przyrodnią siostrą Szarlottą o tron Królestwa Cypru, Jakubowi Bastardowi nazywanemu tak z racji nieprawego pochodzenia. Katarzyna została wybrana na małżonkę pretendenta do cypryjskiego tronu spośród grona swoich sióstr. Jej atutem była nieprzeciętna uroda, a Jakub oprócz dobrze sytuowanej żony potrzebował wsparcia wenecjan. Sama Republika dostrzegała w realizacji pomysłu Cornaro korzyści dla siebie i ofiarowała przyszłej królowej posag. Małżeństwo wenecjanki z Lusignanem stało się misją państwową i fundamentem politycznego sojuszu między obydwoma państwami. Cypr stanowił dla Europy pomost do intratnego handlu lewantyńskiego, który z Bliskim Wschodem prowadzono od czasów wypraw krzyżowych. Tędy prowadziły szlaki handlowe, którymi napływały wyszukane towary ze Wschodu, zwłaszcza przyprawy, dając kupcom ogromne zyski. Mimo politycznej wrogości między światem chrześcijańskim a światem islamu kontakty kupieckie rozkwitały. Wyspę postrzegano jako kurę znoszącą złote jaja, przez co włoscy kupcy skubali ją, jak tylko umieli. Cypryjska Famagusta była najważniejszym portem śródziemnomorskim. O wyrafinowanym bogactwie tutejszych kupiecko-arystokratycznych elit krążyły legendy. W drugiej połowie XIV w. Genua, wykorzystując osłabienie władzy królewskiej, opanowała dla siebie ten port. Republika Wenecka, która już od dawna prowadziła rywalizację z innymi miastami włoskimi, miała wreszcie szansę odnieść sukces i zdobyć hegemonię na Morzu Śródziemnym. Tym bardziej że przed swoją przedwczesną śmiercią – już kilka miesięcy po ślubie – król Jakub II zdążył wygonić ze swego królestwa genueńczyków.

Apoteoza Wenecji

Dalsze decyzje królowej wdowy Katarzyny Cornaro zapewniły Republice zwierzchność nad wyspą, a to zapowiadało jej dalsze korzyści polityczne i handlowe. Wenecja miała więc za co dziękować Katarzynie i to wydarzenie artysta starał się pompatycznie ukazać w swoim pełnym dynamiki obrazie.

Jednak spośród ukazanych osób jedna odróżnia się statyczną, wręcz zastygłą postawą. Jest nią towarzyszący królowej Leonardo Loredano, który reprezentuje senat wenecki. Jego postać na pierwszy rzut oka wydaje się pozostawać w cieniu, tym bardziej że czerwona barwa jego stroju zlewa się z barwą królewskiego tronu. To przenikanie się barw jest zamierzone, czerwień symbolizuje tutaj władzę. Kto z widzów jest wnikliwym obserwatorem, ten zrozumie, że to w postaci senatora tkwi sedno całej oglądanej przez nas sceny. Loredano nie tylko czujnie obserwuje wszystko swoim wyniosłym spojrzeniem, ale kontroluje obecnych łącznie z samą królową. Poza, w jakiej uwiecznił go artysta, sugeruje dominację senatora nad królową i rodzi przypuszczenie o sterowanie jej losem.

Płótno Makarta jest więc w rzeczywistości apoteozą sukcesu republiki, wobec którego los i osobiste aspiracje królowej nie miały żadnego znaczenia. Jeśli dokładniej poznamy historię Katarzyny Cornaro, łatwo ocenimy, że sceneria obrazu w żaden sposób nie zdradza nam osobistej tragedii, która towarzyszyła życiu najsłynniejszej wenecjanki.

Trudne życie monarchini

Po pierwsze, nie było jej dane nacieszyć się małżeństwem. Jej mąż zmarł kilka miesięcy po ślubie. Na dodatek w czasie walk po jego śmierci zamordowano stryja królowej, Andrzeja, który był promotorem jej losu. Dziewiętnastoletnia wdowa pozostała praktycznie sama, a jej pozycja polityczna była niepewna. O swoich prawach do tronu cypryjskiego przypominała przebywająca we Włoszech Szarlotta, przyrodnia siostra Jakuba II, prawowita dziedziczka i królowa wygnana przez brata bastarda. Pretensje do korony wysuwali też inni, niedaleko zaś był wcześniejszy suweren wyspy, czyli sułtan Egiptu, domagający się wypłaty zaległego trybutu. Sam dwór królewski pełen był intryg, a młodej królowej nie było łatwo rozpoznać, kto jest zwolennikiem której koterii.

Kolejnym ciosem dla Katarzyny była śmierć syna Jakuba III pogrobowca, który umarł w niemowlęctwie w sierpniu 1474 r. i na nim wygasła męska gałąź dynastii. Wenecja nieczuła na rozpaczliwą sytuację swojej „przybranej córki" otoczyła ją ścisłą kontrolą. Z jej grona zaczęto usuwać osoby, które mogły pomóc jej uniezależnić się od swoich »

eprasa.pl 78b78ef26b

mocodawców. Przedstawiciele Najjaśniejszej Republiki, kontrolując dwór królewski, szykowali się do przejęcia pełnej kontroli nad wyspą. Pojawiły się domniemania i plotki, że to sami wenecjanie dyskretnie pozbyli się ostatnich Lusignanów, aby dopiąć swojego celu. Zresztą na dworze w Nikozji już od dawna zarówno sztylet, jak i trucizna były niejednokrotnie stosowane.

Dla Katarzyny ucieczką od przytłaczającej ją sytuacji było otaczanie się ludźmi działającymi na polu kultury i sztuki. Jednocześnie cypryjskie królestwo stawało się jej bliższe niż ojczyzna i weneccy pobratymcy, gdyż cypryjscy poddani coraz wyraźniej demonstrowali przywiązanie do swojej władczyni.

Szczęście osobiste przegrywa z polityką

Tymczasem w 1485 r. przebywająca na wygnaniu Szarlotta de Lusignan zrzekła się swoich praw do Cypru na rzecz Karola z Sabaudii, bratanka swojego męża. Wtedy inny pretendent do korony cypryjskiej król Ferdynand z Neapolu wysunął plan ożenku swojego syna Alfonsa z Katarzyną. Ta była skłonna do przyjęcia propozycji nowego małżeństwa i nawiązała tajne kontakty z Neapolem. Wenecja wykazała jednak ogromną czujność, po pierwsze, pokrzyżowała szyki spiskowcom, a następnie wywarła nacisk na Katarzynę i skłoniła ją do abdykacji. Senat republiki nie mógł pozwolić na to, aby prowadzona przez niego misterna gra została przegrana. Katarzyna nie musiała ani nie mogła dłużej tutaj pozostać.

Cypryjski kronikarz Georgios Bustron pozostawił opis, w którym królowa wdowa ubrana w suknię z czarnego jedwabiu opuszczała stolicę, nie ukrywając żalu, żegnana łzami swoich poddanych. Na obrazie Hansa Makarta nie dostrzeżemy jednak nic z żałobnego nastroju. Na pierwszym planie zauważymy psa, który ma symbolizować wierność Katarzyny wobec swojej ojczyzny (jak już wiemy, wymuszoną), oraz dzieci, które wskazują na kolejne pokolenie mające korzystać z owoców decyzji ekskrólowej. Wenecja „wspaniałomyślnie" przekazała Katarzynie we władanie niewielką Asolo, która stała się jej „królestwem" na kolejne 21 lat.

Podobnie jak na Cyprze Republika dalej kontrolowała kroki „swojej królowej", pozwalając jej gromadzić wokół siebie

FOT. POLSKA AKADEMIA NAUK

Katarzyna Cornaro, ostatnia panująca królowa Cypru

wybitnych artystów i pisarzy (m.in. poetę Pietra Bembo czy słynnego malarza epoki Giorgionego). Humaniści tworzyli renesansowy dwór królowej, który miał jej zapewnić nieśmiertelną sławę. Jeszcze w czasach cypryjskich sława dworu królowej miała przyciągnąć na wyspę samego Leonarda da Vinci odbywającego podróż do Armenii. Tradycja mówi, że wybitny humanista odwiedził Katarzynę Cornaro w jej wiejskiej rezydencji w Lefkarze położonej u stóp gór Troodos, gdzie dla zdrowszego górskiego powietrza chroniła się przed dokuczliwymi letnimi upałami. Wioska Lefkara do dzisiaj słynie jako stary ośrodek koronkarstwa. Leonardo do katedry w Mediolanie ofiarował obrus zdobiony lefkaryjskim haftem. Mógł to być podarunek od samej królowej wdowy.

Wizerunki królowej

Obecność malarzy na dworze w Asolo sprawiła, że wiemy, jak wyglądała Katarzyna pod koniec swojego życia. Jeden z portretów wyszedł spod pędzla Gentilego Belliniego. Namalowany ok. 1500 r. ukazuje ją jako wytwornie ubraną kobietę w sile wieku, pełną majestatu, o twarzy poważnej, ale pozbawionej już dawnej urody. Ten sam malarz umieścił wizerunek królowej w scenie obrazu „Cud Krzyża Świętego", gdzie Katarzyna została pokazana w towarzystwie dworek.

Pojawianie się królowej na obrazach o tematyce sakralnej jest świadectwem praktyk religijnych, którym coraz usilniej poświęcała się w miarę upływu czasu. Jeden z takich obrazów znajduje się w krakowskiej kolekcji Muzeum Czartoryskich. Autorem powstałego ok. 1508 r. malowidła jest Lorenzo Lotto, który także przebywał na dworze w weneckim Asolo. Jego dzieło nosi tytuł „Adoracja Dzieciątka ze świętymi: Janem Chrzcicielem, Franciszkiem z Asyżu, Jozefem i Katarzyną Aleksandryjską". Ta ostatnia była patronką królowej, a jednocześnie oblicze świętej jest portretem samej monarchini. Dowodzą tego indywidualne cechy namalowanej twarzy, m.in. charakterystyczny podbródek.

Inny wyjątkowy portret Katarzyny wyszedł spod pędzla Tycjana. Ukazał on królową w pięknej, bogatej sukni jako młodą kobietę o silnym charakterze, co wyraża jej przenikliwe spojrzenie. Mistrz namalował ten portret w 1542 r., czyli 32 lata po jej śmierci. Z pewnością znał on jej burzliwe losy, ale należy wątpić, czy był kiedykolwiek na jej dworze, a jeśli nawet, to nie mógł widzieć jej w tak młodym wieku. Portret jest więc wyidealizowany i zapewne trzeba go oceniać jako odzwierciedlenie sławy towarzyszącej osobie królowej zarówno za życia, jak i po śmierci. To na tym wizerunku zdaje się bazował Hans Makart, który chciał ukazać idealny obraz „łaskawej" królowej. Jednak poza renesansowym strojem nic więcej, a na pewno oblicze tej kobiety, nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością.

W Wenecji w kościele San Salvador znajduje się grób, gdzie z należnymi honorami pochowano Katarzynę Cornaro. Ponadto co roku, na pamiątkę jej spektakularnego powrotu do ojczyzny, w każdą pierwszą niedzielę września w mieście urządzane jest efektowne widowisko, czyli La Regata Storica. Na wody Canale Grande wypływają przepiękne jednostki o rozpiętych żaglach, po pokładach zaś krzątają się setki wioślarzy. Wenecja zadbała o zachowanie dobrej sławy kobiety, której życie zostało poświęcone w imię interesów tej kupieckiej metropolii.

Nieśmiertelna legenda Katarzyny Cornaro stała się inspiracją dla Hansa Makarta, który do dzisiaj magią barw opowiada wszystkim historię ostatniej królowej Cypru. Nikt z oglądających ekspozycję obrazów w Górnym Belwederze nie przejdzie obok jego malarskiej opowieści obojętnie.

eprasa.pl 78b78ef26b

ORGANIZACJA ODDZIAŁU PIECHOTY W XVII-WIECZNEJ POLSCE

XVII-wieczni żołnierze polscy. Pierwszy z lewej: muszkieter cudzoziemskiego autoramentu

FOT. ART COLLECTION 2 / ALAMY STOCK PHOTO

PIECHOTA NIGDY NIE UZYSKAŁA TAKIEGO STATUSU, JAKIM CIESZYŁA SIĘ JAZDA, BYŁA JEDNAK NIEZBĘDNA DLA SKUTECZNOŚCI DZIAŁAŃ WOJENNYCH. JEJ FUNKCJONOWANIE WIDAĆ NA PRZYKŁADZIE PUŁKU BOGUSŁAWA LESZCZYŃSKIEGO DZIAŁAJĄCEGO W LATACH 1657–1660 »

eprasa.pl 78b78ef26b

BARTOSZ STARĘGOWSKI

Rekrutowana była najczęściej z osób pochodzenia plebejskiego ze względu na to, że służbę w niej szlachta postrzegała jako gorszą i mało prestiżową, a wręcz ośmieszającą stan szlachecki. Próby reform dokonywane przez Stefana Batorego i Władysława IV w pewien sposób podniosły liczbę wojsk pieszych, jednak nie była ona wystarczająca, by mogła zmienić obraz całej armii. Ten stan rzeczy mścił się wiele razy. Piechota była wręcz niezbędna przy obleganiu miast, pracach inżynieryjno-polowych czy jako załoga na „prezydium" fortec i zamków. Jej niedobory próbowano niekiedy uzupełniać wojskiem zaporoskim, był to jednak czynnik wielce niestabilny i słabo kontrolowalny. Uzupełnieniem dla regularnego wojska państwowego były w wielu przypadkach suplementy prywatne. Taki właśnie oddział wsparcia sformował wielkopolski starosta generalny Bogusław Leszczyński.

Od zaciągu prywatnego na żołd państwowy

Wspomniana jednostka wojskowa początkowo funkcjonowała na zasadach prywatnych jako wystawiona i finansowana przez lokalnego magnata Bogusława Leszczyńskiego. Leszczyński, pieczętujący się herbem Pomian, należał do najbogatszych rodów w Wielkopolsce. Środki, którymi dysponował, umożliwiły mu finansowanie i utrzymywanie pułku, jednak dość szybko włączył go do komputu państwowego, zmieniając sposób jego finansowania z prywatnego na państwowy. Oddział ten istniał w latach 1657–1662, jednak wraz z początkiem 1660 r. nastąpiła zmiana w dowództwie, które po śmierci Bogusława przejął jego stryj Jan Leszczyński, podkanclerzy koronny. Liczebność pułku na przestrzeni lat się zmieniała, jednak jego przypowiedziana liczba miała wynosić 400 żołnierzy. W sierpniu 1658 r. król wystawił dla Leszczyńskiego list przypowiedni, w którym nakazywał powiększenie pułku do 500 żołnierzy i przekazanie z tego 100 piechurów, jako wsparcia załogi fortecy poznańskiego, komendantowi Walerianowi Podleskiemu. Za werbunek tych żołnierzy i ich odpowiednie zorganizowanie odpowiedzialność spoczęła na ppłk. Krzysztofie Unrugu.

Piechota, a konkretnie główna część zgrupowania, brała udział w oblężeniu i odbiciu Torunia z rąk szwedzkich w 1658 r. Operacją kierował Jerzy Sebastian Lubomirski. Pułk ten miał za zadanie wraz z jednostkami pod przywództwem Jana Fryderyka Sapiehy zdobycie bastionu zwanego Nowym. Oprócz tego wiemy, że piechota nadzwyczaj solidnie wykonywała prace inżynieryjno-wojskowe, kopiąc szańce i montując stanowiska pod broń artyleryjską, za co po oblężeniu nagrodzono Krzysztofa Unruga. W trakcie działań zbrojnych Bogusław Leszczyński wysłał Teodora Lichaczewskiego jako deputata, którego zadaniem miało być uzupełnienie strat, jakie poniosła jednostka, oraz wyłapywanie dezerterów. Po zakończeniu oblężenia i zdobyciu miasta pułk nadal brał udział w zmaganiach ze Szwedami, jednak terytorium działań operacyjnych przeniosło się na Pomorze. Z sukcesów w tamtym rejonie należy wymienić zajęcie Głowy, przy wydatnym współudziale gdańszczan.

Sztab generalny

W skład sztabu generalnego każdego pułku wchodzili naczelni dowódcy i osoby zajmujące się obsługą pułku. Na czele całego zgrupowania stał pułkownik, zwany też obersztem. W tym konkretnym przypadku był to magnat Bogusław Leszczyński. Często zdarzało się, że magnaci, którzy wystawiali swoje własne jednostki wojskowe, nie dowodzili nimi osobiście, jedynie nominalnie. Nie wiemy, czy Leszczyński faktycznie dowodził swoją jednostką. Wiadomo na pewno, że nie był zawodowym wojskowym i nie posiadał doświadczenia wojennego.

W imieniu takiej osoby dowodzili zazwyczaj jego zastępcy w stopniu kapitana lejtnanta, podpułkownika (oberszter lejtnanta) lub majora. W tym konkretnym przypadku Leszczyński postawił na weterana, ppłk. Krzysztofa Unruga. Kapitana lejtnanta ani majora w tej jednostce nie było.

Oprócz dowódców w skład sztabu generalnego wchodziła dość spora grupa osób odpowiedzialnych za inne aspekty należytego funkcjonowania jednostki wojskowej. Mamy zatem kwatermistrza, odpowiedzialnego za zaopatrzenie i uzbrojenie, sekretarza i audytora sporządzających rejestry popisowe i dbających o właściwe monitowanie stanu osobowego, a w konsekwencji rzetelną wypłatę żołdu, kapelana potrzebnego, „aby ludziom serca dodawał", wachmistrza odpowiedzialnego za wystawianie wart na czas postoju obozowego, felczera „łatającego" rannych żołnierzy oraz profosa, czyli dowódcę żandarmerii pułkowej, o którym Jan Tarnowski napisał: „Któryby swego urzędu pilen był, któremu też potrzeba chować kilkadziesiąt koni, aby bezpieczeństwa dróg około wojska strzegł, a bronił, aby przekazano tym, co żywność za wojskiem wieźli". Oprócz tego często dochodziła też duża grupa muzykantów w postaci doboszów i trębaczy stanowiąca kapelę pułkową czy dowódców taborów wojskowych. Niestety poza ppłk. Unrugiem nie wiemy nic o pozostałych członkach sztabu generalnego. Możliwe, że Leszczyński w ogóle nie powołał takich osób, a skupił się na sztabach kompanijnych poszczególnych regimentów.

Sztab kompanijny

Mała primaplana, czyli sztab kompanijny, stanowił serce regimentu, podstawowej jednostki taktycznej pułku. W przypadku pułku Leszczyńskiego zachował się rejestr pozwalający nam zapoznać się ze strukturą wszystkich regimentów. Dzielił się on na cztery regimenty dowodzone przez dwóch kapitanów: Adolfa Hermana Mierzyckiego i Andrzeja Drohojewskiego, przez ppłk. Krzysztofa Unruga i regiment osobisty pułkownika pod dowództwem por. Francuza Petera de Wal. Piąty regiment, pozostający na załodze Poznania, dowodzony był przez por. Jana Michała Ciglera. Do sztabu kompanijnego w każdym z tych regimentów wchodzili, poza porucznikiem, także: chorąży, sierżant, kaprale, zbrojmistrz (kapitan armus), furier (furiger), pisarz (munster schreiber) i dobosz. W regimencie Andrzeja Drohojewskiego i pułkowniczym Leszczyńskiego możemy spotkać również podchorążych Wojciecha Kruszelnickiego i Marcina z Lameborka. Dzięki ich pracy pułk był należycie administrowany, zaprowiantowany i wyekwipowany. Zadaniem sierżanta i kaprali było dbanie o dyscyplinę w regimencie.

eprasa.pl 78b78ef26b

W rejestrze popisowym pułku Leszczyńskiego przy każdym członku sztabu kompanijnego widnieje informacja o religii lub wyznaniu oraz miejsce pochodzenia. W przypadku małej primaplany regimentu Mierzyckiego i Unruga przeważali ewangelicy nad katolikami, u Drohojewskiego i Leszczyńskiego odwrotnie. W pojedynczych przypadkach mieliśmy do czynienia z wyznawcami prawosławia. Co się zaś tyczy narodowości – głównie były to osoby pochodzenia polskiego (według prof. Marka Wagnera 87,5 proc.). Na drugim miejscu plasowali się Niemcy bądź mieszkańcy Rzeczypospolitej pochodzenia niemieckiego. Pojawiają się także przedstawiciele innych narodowości, jak piastujący funkcję zbrojmistrza Duńczyk Lorens Blum i kapral rodem z Czech Hans Wilhelm w regimencie Mierzyckiego, francuski chorąży Jan Dorpat u Drohojewskiego oraz sierżant Litwin Abraham Wielonowicz i por. Francuz Peter de Wal w regimencie pułkowniczym Bogusława Leszczyńskiego.

Żołnierze

Piechota cudzoziemskiego autoramentu, zwana też była często piechotą niemiecką, ale tylko za sprawą sposobu organizacji regimentów na wzór niemiecki. Organizacja, uzbrojenie i komendy odbywały się według zachodnioeuropejskich prawideł, natomiast służyli w niej najczęściej Polacy pochodzenia plebejskiego. Regiment dzielił się na trzy kapralstwa obejmujące po kilka rot, liczących najczęściej od sześciu do siedmiu żołnierzy. Roty dzielono na te, w których składzie znajdowali się pikinierzy oraz te złożone z muszkieterów. Regimenty mogły być jednolite lub mieszane.

O ile roli muszkieterów nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, o tyle pikinierzy mieli za zadanie osłaniać strzelców przed atakami jazdy. Według Jana Wimmera było to całkowicie zbędne z uwagi na dysponowanie przez Rzeczpospolitą silnymi jednostkami kawaleryjskimi, które z powodzeniem mogły osłaniać piechotę. Jeśli chodzi o wyposażenie, przypominało ono to stosowane na zachodzie Europy. Muszkieterzy prezentowali się w różnokolorowych mundurach, zależnie od materiału, jakim dysponowali ich dowódcy, i kapeluszach, wyposażeni w muszkiety lub bandolety oraz broń sieczną w postaci rapiera lub szabli. Elementem obowiązkowym była także siekierka, niezbędna przy pracach polowych i inżynieryjnych. Pikinierzy, oczywiście poza pikami, posiadali na ogół cięższe uzbrojenie ochronne. Zamiast kapeluszy ich głowy ochraniały hełmy typu morion, czasem dysponowali też napierśnikami.

Podczas przeprowadzonego popisu w 1658 r. możemy zauważyć następujące liczby. Regiment Adolfa Hermana Mierzyckiego był złożony z 14 rot muszkieterskich i liczył 84 muszkieterów. Pozostałe regimenty miały charakter mieszany.

Bogusław Leszczyński

W regimencie Krzysztofa Unruga przeważały roty pikinierów, których było dziewięć, nad czterema rotami muszkieterów. W sumie Unrug dysponował 76 piechurami. Podobnie w regimencie pułkowniczym Leszczyńskiego, gdzie odnajdujemy osiem rot pikinierów i cztery roty muszkieterów, łącznie 71 „pachołków". Odwrotne proporcje odnajdujemy w regimencie Andrzeja Drohojewskiego, gdzie muszkieterzy stanowili 10 rot, a pikinierzy cztery, co w sumie dawało wynik 83 żołnierzy. Piąty regiment na załodze Poznania, którego „suma całej kompanii 100 dobrze odzianych w rapiery umundurowanych", składał się wyłącznie z rot muszkieterskich, analogicznie jak w przypadku Mierzyckiego. Nawet liczba rot była identyczna.

Każda rota liczyła sześciu żołnierzy. Tylko w czterech przypadkach spotykamy się z mniejszą liczbą pięciu żołnierzy. Na czele każdej roty stał gefrajter. Był to weteran zaznajomiony z tajnikami służby w tego typu formacjach, mający za zadanie szkolić niedoświadczonych rekrutów i odpowiadać za dyscyplinę wojskową. W tym zakresie podlegał sierżantom i kapralom.

W każdym regimencie znajdowali się też furierszycowie, czyli żołnierze podlegli furierowi, których zadaniem było dostarczanie zaopatrzenia, żywności i innych niezbędnych towarów. Niekiedy oprócz rot muszkieterskich czy pikinierskich w regimentach istniały roty dragońskie (spieszona jazda), których zdaniem było prowadzenie zwiadu oraz zabezpieczanie łączności i ochrona furierszyców wysyłanych po zaopatrzenie. W oddziale Leszczyńskiego takie roty nie występowały. Mimo stwierdzonego niemieckiego charakteru zaciągu tej jednostki wojskowej, według ustaleń prof. Marka Wagnera aż 95 proc. składu osobowego stanowili Polacy, rekrutowani głownie z mieszczaństwa i chłopstwa na terenie Wielkopolski. Jedynie dwie osoby mogły się pochwalić pochodzeniem szlacheckim, a mianowicie furierszyc Sebastian Piotrowski i sierżant Andrzej Grabski, służący w regimencie kapitana Drohojewskiego.

Podsumowanie

Pułk Bogusława Leszczyńskiego był typowym przykładem oddziału złożonego z piechoty cudzoziemskiej, który funkcjonował w XVII w. Zrezygnowano tu co prawda ze sztabu generalnego na rzecz sztabów kompanijnych, ale wszystkie pozostałe elementy zorganizowano według przyjętych standardów. Jest to też dobry przykład potwierdzający, że piechota, w zakresie pochodzenia narodowościowego, niemiecka była jedynie z nazwy, skoro w przytłaczającej większości służyli w niej Polacy. Pułk sformowany jako oddział prywatny, dość szybko przeszedł na żołd państwowy. Można tu upatrywać ręki samego płk. Leszczyńskiego, który w Rzeczypospolitej miał opinię człowieka niezwykle skąpego i chciwego, nielubiącego nadmiernie szastać pieniędzmi. Taki proces mógł ułatwić mu urząd podskarbiego koronnego, który sprawował na dworze królewskim. Tak czy inaczej piechota ta, złożona z zaprawionych w boju ze Szwedami żołnierzami, wniosła znaczną wartość do armii koronnej, biorąc udział w walkach o Toruń i na Pomorzu.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 78b78ef26b

1938 ROK KULMINACJI WIELKIEGO TERRORU W SOWIETACH

PAWEŁ SKIBIŃSKI

15 marca 1938 r. w podmoskiewskiej Kommunarce, na terenie poligonu specjalnego ośrodka NKWD, został rozstrzelany Nikołaj Iwanowicz Bucharin, jeden z przywódców bolszewickich skazanych w tzw. trzecim procesie moskiewskim na karę śmierci. Wyrok zapadł dwa dni przed egzekucją. Bucharin został pochowany anonimowo, stając się jedną z najbardziej znanych ofiar stalinowskiego wielkiego terroru lat 1936–1938.

Po upływie 50 lat, w 1988 r., Sąd Najwyższy Związku Sowieckiego dokonał rehabilitacji Bucharina, uznając stawiane mu zarzuty współpracy agenturalnej z III Rzeszą, z Japonią oraz z Wielką Brytanią za bezpodstawne. W ten sposób potwierdzono publicznie prawdę o masowych represjach prowadzonych przez Stalina jako opartych na wielkim kłamstwie.

Jednak trudno się oprzeć wrażeniu, że w przypadku Bucharina mamy do czynienia nie tylko z ofiarą komunizmu, ale także z jednym z najbardziej krwawych komunistycznych zbrodniarzy, współodpowiedzialnym za okrucieństwa okresu rewolucji i wojny domowej w Rosji, za zbudowanie systemu terroru politycznego w Sowietach, a także za brutalne działania III Międzynarodówki – Kominternu – poza granicami ZSRS.

Już w 1906 r. jako 18-letni student uniwersytetu moskiewskiego Bucharin wstąpił do Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji, w której od razu związał się ze skrzydłem bolszewickim. W 1911 r. został skazany za działalność rewolucyjną przez carski sąd, ale udało mu się zbiec na emigrację. W Krakowie poznał Lenina i stał się jednym z jego współpracowników, a w czasie I wojny światowej współredagował w Nowym Jorku gazetę wraz z innym liderem bolszewickim Lwem Bronsztejnem-Trockim. Po rewolucji lutowej wrócił w połowie 1917 r. do Rosji i został redaktorem naczelnym „Prawdy". Funkcję tę pełnił właściwie nieprzerwanie do 1929 r., a więc aż przez 12 lat.

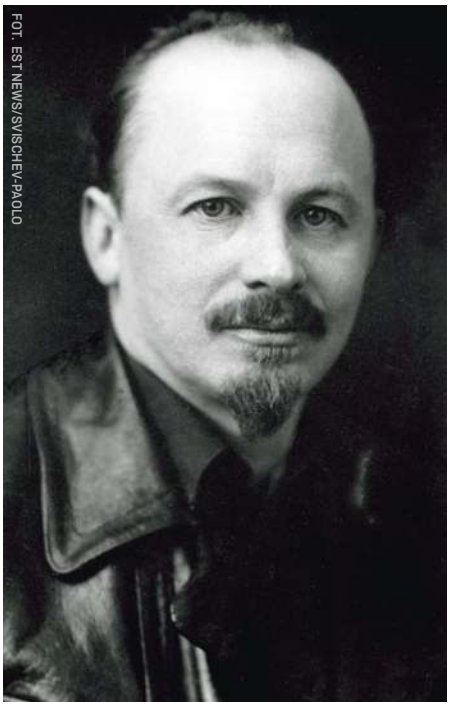

FOT. EST NEWS/SVISCHEV-PAOLO

Nikołaj Iwanowicz Bucharin

Był Bucharin od śmierci Lenina do swej marginalizacji głównym ideologiem partii. Jeszcze w 1920 r. napisał wraz z Jewgienijem Preobrażenskim „ABC komunizmu". Książkę drukowano w wielomilionowych nakładach przez kolejne 10 lat. Był to popularny wykład podstaw ideologii komunistycznej, który został przełożony na kilkadziesiąt języków.

Jednocześnie Bucharin pozostawał w doskonałych stosunkach z Sekretarzem Generalnym KC KPZS Stalinem. Mówił do niego po imieniu. Pomógł mu też uporać się z jego największym rywalem politycznym, czyli Trockim.

Jeszcze w okresie rewolucji Bucharin wypowiadał się, że wszelkie formy rewolucyjnego przymusu – w tym masowe rozstrzeliwania – służą kształtowaniu nowego modelu człowieka. Bucharin był również, po odsunięciu przez Stalina Zinowiewa, przewodniczącym prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu przez trzy lata. Przygotował też projekt nowej konstytucji sowieckiej, który ostatecznie wszedł w życie w 1936 r. jako tzw. konstytucja stalinowska.

Konsekwentny wizerunek partyjnego radykała łagodzi to, że Bucharin był także jednym z głównych zwolenników NEP (Nowej Polityki Ekonomicznej), wprowadzanej od 1921 r., która miała zastąpić bezwzględnie wcielany wcześniej komunizm wojenny. NEP opierała się na założeniu pozostawienia chłopom, rzemieślnikom i handlowcom prywatnej własności oraz umożliwieniu bogacenia się. Miało to ułatwić Związkowi Sowieckiemu wyjście z zapaści gospodarczej po wojnie domowej. Później w 1928 r. Bucharin wystąpił przeciwko przymusowej kolektywizacji wsi, co zresztą przyczyniło się do jego upadku. Stalin nie mógł bowiem tolerować kwestionowania swojej polityki. Z tego powodu Bucharin stracił nie tylko stanowisko redaktora naczelnego głównego organu partii bolszewickiej, ale musiał ustąpić z Biura Politycznego.

Przed swym aresztowaniem w latach 1929–1936 Bucharin wciąż był członkiem KC KPZS. Nawet został przez NKWD aresztowany, wraz z premierem Rykowem, podczas posiedzenia plenum Komitetu Centralnego. Między oskarżeniem a wyrokiem minęło zaledwie 13 miesięcy, a cała historia oskarżeń wobec Bucharina zakończyła się na leśnym poligonie pod Moskwą. Represje objęły też jego najbliższych: drugą żonę Annę Łarinę, która z łagru wyszła w 1956 r., ale także pierwszą żonę wraz z całą rodziną.

Bucharin nie był jednak bez winy poprzez udział przy tworzeniu systemu, który go potem zmiażdżył. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski: „Nie zamordowano by go? To sam by mordował. [...]/ Niechby się inaczej zgięła historii sprężyna,/ A rehabilitowalibyśmy dziś – Stalina". Słowa te jak ulał pasują do życia Nikołaja Bucharina.

eprasa.pl 78b78ef26b

„OPERACJA POLSKA" 1937–1938

O ŚLEDZTWIE W SPRAWIE TZW. OPERACJI POLSKIEJ NKWD Z **ANDRZEJEM POZORSKIM**, ZASTĘPCĄ PROKURATORA GENERALNEGO, DYREKTOREM GŁÓWNEJ KOMISJI ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU, ROZMAWIA MONIKA MAZANEK-WILCZYŃSKA

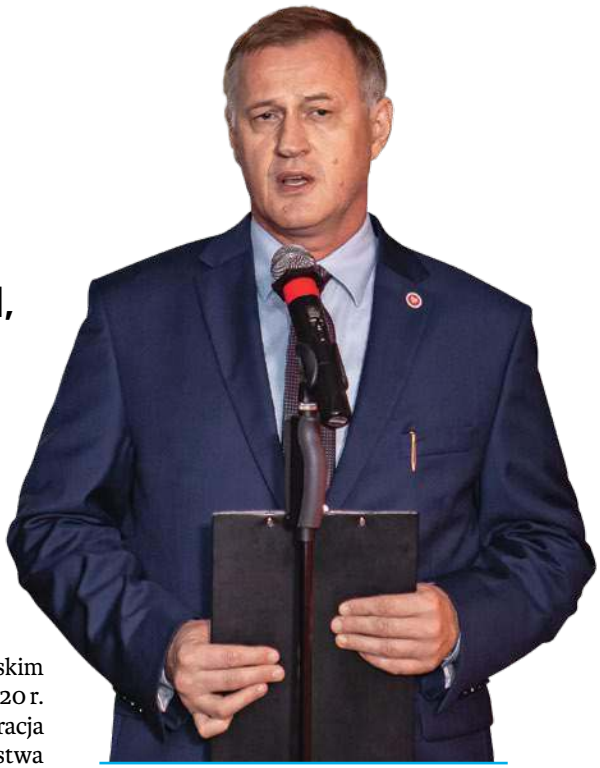

Andrzej Pozorski, zastępca Prokuratora Generalnego: Przeprowadzenie „operacji polskiej" było zorganizowanym i zaplanowanym działaniem organów państwa komunistycznego (ZSRR), skierowanym przeciwko osobom narodowości polskiej

Co to było i na czym polegała „operacja polska"?

Andrzej Pozorski: Sprawa „operacji polskiej" to bez wątpienia temat, który jest mało znany polskiemu społeczeństwu, o którym się bardzo niewiele mówi i pisze, chociaż jest to jedna z największych zbrodni ludobójstwa dokonanych na narodzie polskim.

25 stycznia 2017 r. Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, oddział w Szczecinie, wszczęła śledztwo w sprawie zbrodni komunistycznej, popełnionej między 1937 a 1938 r. przez funkcjonariuszy byłego ZSRR, polegającej na zabójstwie ponad 110 tys. Polaków oraz pozbawieniu wolności, połączonym ze szczególnym udręczeniem, blisko 29 tys. osób narodowości polskiej. Czyn ten uznaliśmy nie tylko za zbrodnię komunistyczną, ale również za zbrodnię przeciwko ludzkości noszącą znamiona ludobójstwa.

Co udało się w tej sprawie ustalić?

Z dokonanych dotąd ustaleń wynika, że przeprowadzenie operacji polskiej było zorganizowanym i zaplanowanym działaniem organów państwa komunistycznego (ZSRR), skierowanym przeciwko osobom narodowości polskiej, które podejrzewano – w większości przypadków zupełnie bezzasadnie – o współpracę z polskim wywiadem oraz z nieistniejącą od 1920 r. Polską Organizacją Wojskową. Operacja polska nosiła znamiona ludobójstwa z uwagi na jej zakres, formę oraz liczbę osób pokrzywdzonych. Zamordowano ponad 110 tys. osób narodowości polskiej. Działania te były przejawem stosowania represji przez stalinowski reżim totalitarny, co wynikało z polityki Związku Radzieckiego wobec II RP oraz polskiej mniejszości narodowej, która zamieszkiwała ZSRR. Stalin był tutaj najważniejszą postacią. Przywódca ZSRR i jego doradcy uważali, że w jakiejś nieokreślonej przyszłości Polacy, którzy zamieszkiwali na terenie ZSRR, mogą stanowić przyczółek dla potencjalnej agresji w przypadku konfliktu z Polską. Taki sposób myślenia doprowadził do wydania przez ludowego komisarza NKWD Nikołaja Jeżowa tajnego rozkazu nr 00485 z 11 sierpnia 1937 r. Sam rozkaz był zainspirowany i zaaprobowany przez Józefa Stalina.

Przygotowano także tzw. tajne pismo o bardzo ciekawym tytule „O faszystowsko-powstańczej, szpiegowskiej, dywersyjnej, defetystycznej i terrorystycznej działalności polskiego wywiadu w ZSRR", które zostało rozesłane do terenowych organów NKWD i zainicjowało starannie zaplanowaną eksterminację osób narodowości polskiej zamieszkujących na terenie tego kraju.

Funkcjonariusze NKWD aresztowali prawie 140 tys. osób narodowości polskiej, z czego skazano na śmierć co najmniej 111 091, a co najmniej 28 744 na pobyt w łagrach. Nie miało to nic wspólnego z wymiarem sprawiedliwości. Po prostu przygotowano listy osób. Akcję przeprowadziło NKWD, a jej celem było wyłącznie stosowanie represji wobec osób narodowości polskiej.

Kogo dotyczyły te prześladowania?

Polaków, mieszkańców dawnego terytorium II RP na wschód od granicy »

eprasa.pl 78b78ef26b

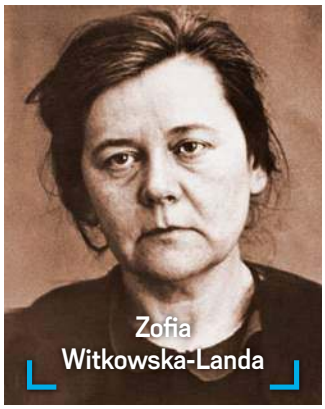
Zofia Witkowska-Landa

Róża Rappel

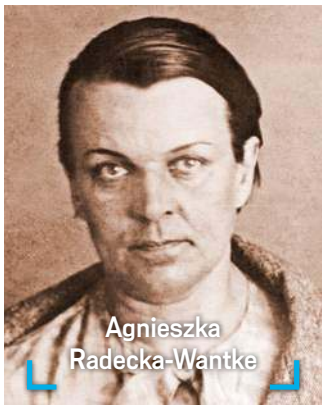
Agnieszka Radecka-Wantke

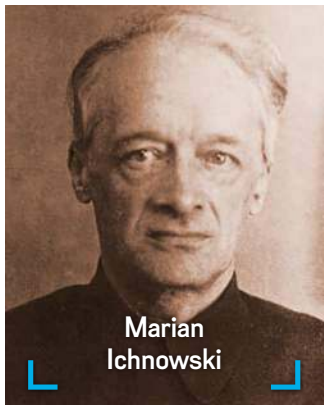
Marian Ichnowski

państwowej ustalonej w 1921 r. traktatem ryskim. Cel był tylko jeden: eliminacja tych ludzi przez wysiedlanie ich w głąb Związku Radzieckiego. Nade wszystko dotyczyło to polskich jeńców, duchownych, nauczycieli, urzędników, wszystkich członków Komunistycznej Partii Polski, PPS, działaczy mniejszości polskich w ZSRR i ich rodzin. Przypisanie mężowi działalności wiązało się jednocześnie ze skazaniem żony, która nie miała z nią nic wspólnego. Ich dzieci były zabierane do domów dziecka. To jest moim zdaniem jedna z największych zbrodni na narodzie polskim.

Od początku wiedzieliśmy, że to śledztwo będzie miało charakter typowo historyczny, ale jednocześnie z uwagi na zmianę ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej uważamy, że jest to niepowtarzalna okazja, aby wyjaśnić okoliczności jednej z najpotworniejszych zbrodni. Założyliśmy, że zgromadzimy dokumenty z prywatnych archiwów po to, by dogłębnie poznać okoliczności tej sprawy: ile osób zostało pokrzywdzonych, ile – z imienia i z nazwiska – skazano na karę śmierci, do których obozów zostali wysłani pozostali. Aby poznać pełny obraz tych represji.

Jakie materiały już zgromadzono?
Sprawa jest bardzo obszerna. Materiał dowodowy gromadzimy bardzo szybko. W tej chwili ustaliliśmy już dane 58 osób, które reprezentują prawa osób pokrzywdzonych. Dotychczas przesłuchaliśmy 46 osób, a w trakcie tych przesłuchań udało nam się np. zabezpieczyć dokumenty z archiwów prywatnych. Prokuratorzy, bo powołano do prowadzenia tej sprawy zespół złożony z prokuratorów i historyka, zlecili przeprowadzenie kwerend w dziesiątkach archiwów, np. w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Archiwum Wschodnim w Warszawie, Archiwum Archidiecezji w Gnieźnie, Archiwum Instytutu Polskiego w Londynie, Archiwum Wojskowego Biura Historycznego w Warszawie, w Akademii Humanistycznej w Pułtusku i innych. Moglibyśmy tych archiwów bardzo dużo wymieniać. Już z nich uzyskaliśmy 150 jednostek archiwalnych. Przeprowadzono oględziny 100. Uzyskano z IPN następnych 250. IPN pozyskuje także z innych państw dokumenty archiwalne dotyczące operacji polskiej.

Wystąpiliśmy do systemu PESEL o dane dotyczące 500 pokrzywdzonych osób. Oczywiście informacje spływają do nas systematycznie.

To potrzebny jest apel, by się zgłaszali krewni ofiar?
Oczywiście. Utworzyliśmy na bieżąco aktualizowaną elektroniczną bazę danych osób, które ucierpiały na skutek tej operacji. W tej chwili mamy w niej już 1,5 tys. nazwisk. Utworzyliśmy również bazę funkcjonariuszy NKWD, którzy byli sprawcami represji. W tej bazie mamy już 216 osób. Skierowaliśmy także wnioski o pomoc prawną do Federacji Rosyjskiej, do Republiki Białorusi, na Ukrainę, do Gruzji i do Kazachstanu. Nie wiemy, kiedy ani skąd uda nam uzyskać wartościowy materiał dowodowy. Następstwem otrzymanych odpowiedzi będzie kierowanie kolejnych wniosków. Będziemy poszukiwali dalszych dowodów w sprawie. Na stronie internetowej IPN i na portalach historycznych znalazła się stosowna informacja o prowadzonym postępowaniu, gdzie rzeczywiście bardzo prosimy, aby osoby pokrzywdzone zgłaszały się i przekazywały kopie dokumentów. To naprawdę ma bardzo duże znaczenie dla prowadzonego śledztwa.

Kto jeszcze ucierpiał w tej sprawie?
Rozkaz nr 00485 wydany 11 sierpnia 1937 r. nie był jedyny. Okazało się, że wydawano kolejne tego typu rozkazy. Natrafiliśmy na pewne dokumenty w czasie wspomnianych kwerend, na podstawie których okazuje się, że wydawano podobne rozkazy, które miały dotyczyć innych narodowości. Kolejnymi grupami, które planowano poddać represji, byli Rumuni, Łotysze i kolejne narodowości zamieszkujące ZSRR. Można mówić o pewnej obsesji władz komunistycznych, w myśl której osoby, które nie są narodowości rosyjskiej, są wrogami systemu komunistycznego i ZSRR.

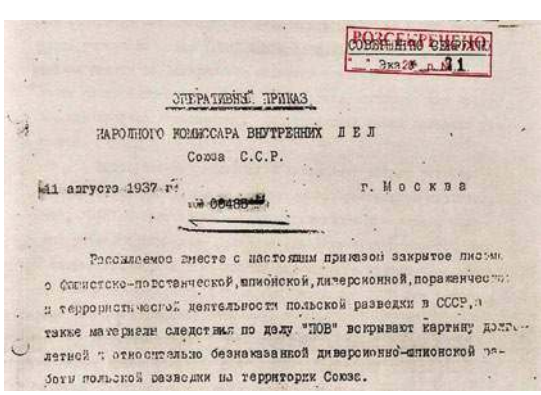
ОТРАТИВНЫЙ ПРИКАЗ

НАРОДНОГО КОМИССАРА ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

Союза С.С.Р.

11 августа 1937 г. г. Москва

№ 00485

Рассылаемое вместе с настоящим приказом закрытое письмо о фашистско-повстанческой, шпионской, диверсионной, пораженческой и террористической деятельности польской разведки в СССР, а также материалы следствия по делу "ПОВ" вскрывают картину длительной и относительно безнаказанной диверсионно-шпионской работы польской разведки на территории Союза.

Tajny rozkaz Jeżowa z 11 sierpnia 1937 r.

Jak mordowano?
Najczęściej ofiara klęczała nad wykopanym dołem. Była zabijana strzałem w tył głowy, metodą katyńską, innych topiono. Niesamowite, że niektóre osoby zakopywano żywcem. Odzież rozstrzeliwanych osób NKWD sprzedawało. Handlowano tymi rzeczami po to, by zarobić. Chciałbym pani przytoczyć fragment wspomnień jednego z oprawców:

eprasa.pl 78b78ef26b

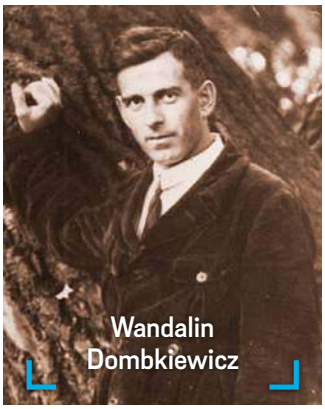
Wandalin Dombkiewicz

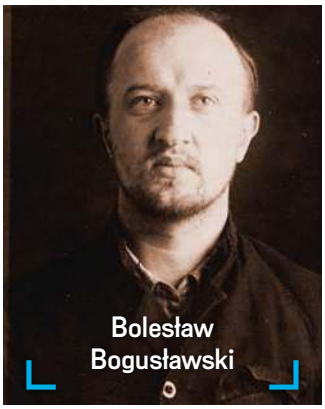
Bolesław Bogusławski

Franciszek Bodziszewski

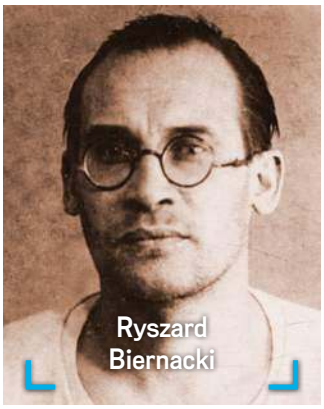
Ryszard Biernacki

FOT. CENTRUM NAUKOWO-INFORMACYJNE „MEMORIAŁ" W MOSKWIE (x7), ARCH. ELEKTRON. CENTRUM NAUK.-INFORMAC. „FUNDACJA JOFE" W PETERSBURGU

„Każesz skazanemu uklęknąć, potem strzał z bliska w głowę, z lewej nad uchem. [...] Mieliśmy pistolety – nagany. Na prawe ucho nie słyszę. [...] Strzela się przecież prawą ręką. [...] Wymogłem na przełożonych dwa razy w tygodniu masaż prawej ręki i prawego palca wskazującego obowiązkowo dla wszystkich. [...] Na końcu wszędzie miałem na sobie krew, krew z rąk wycierałem we własne włosy. [...] czasami dostawaliśmy skórzane fartuchy. [...] Na końcu zmiany przynoszono nam zawsze dwa wiadra, jedno z wódką, drugie z wodą kolońską [...] Wodą kolońską myliśmy całe ciało. Krew ma taki intensywny zapach, [...] bardzo specyficzny zapach [...] podobny do spermy".

Najczęściej do miejsca zamieszkania ofiary przychodziło dwóch lub trzech enkawudzistów. Przeprowadzano przeszukiwanie, czasem bardzo krótkie, a czasami trwające wiele godzin. Zwłaszcza jeżeli w mieszkaniu znajdowano książki lub dokumenty. Sąd wykonywał to, co zostało ustalone przez NKWD. Oczywiście funkcjonariusze NKWD nie mówili, dokąd zabierają aresztowanych mężczyzn. Rodziny nie wiedziały, gdzie te osoby są. Potem oświadczano, że trafiły na 10 lat do łagrów z zakazem prowadzenia korespondencji. Zgodnie z żargonem, którym posługiwały się organy NKWD, skazanie kogoś na 10 lat łagrów bez prawa do korespondencji było synonimem kary śmierci.

Kto był wykonawcą?

Za prowadzenie operacji polskiej były odpowiedzialne trzyosobowe komitety NKWD. Składały się z lokalnych szefów NKWD i prokuratora danego rejonu. Posiedzenia tych trójek odbywały się w nocy, bez wysłuchania oskarżonego, a nawet bez jego udziału. Wysłuchiwało się tylko przedstawiciela NKWD, przeglądano materiały i wydawano wyrok, od którego nie było apelacji.

Początkowo na operację polską przeznaczono trzy miesiące, co by oznaczało, że do końca listopada planowano jej zakończenie. Jednak termin ten kilkakrotnie przesuwano i w końcu trwała ona aż do 26 listopada 1938 r., czyli bez mała ponad 14 miesięcy.

Kierownictwo Komunistycznej Partii Polski, które podczas Wielkiej Czystki zostało wymordowane, było zdaniem Jeżowa ściśle powiązane z Polską Organizacją Wojskową i polskim wywiadem. Szef NKWD, czyli Jeżow, oczywiście „zadbał" o rodziny skazanych i cztery dni po operacji polskiej przesłał do swoich podwładnych rozkaz 00486, który zalecał, aby żony skazanych polskich szpiegów aresztować automatycznie i wymierzać im karę 5–8 lat bez względu na to, czy wiedziały o kontrrewolucyjnej działalności mężów, czy też nie miały o niej pojęcia. To świadczy o wyjątkowo cynicznym, instrumentalnym podejściu.

A co z dziećmi ofiar?

Dzieci miały trafiać do domu dziecka. Operacja polska z technicznego punktu widzenia była niełatwym przedsięwzięciem nawet dla NKWD, dlatego że dla dziesiątków tysięcy nowych więźniów (zatrzymano przecież 140 tys. osób) potrzebne były nowe więzienia, obozy, dodatkowe oddziały służby więziennej i dodatkowe środki na ich utrzymanie. A represje wobec żon i dzieci? Objęły przecież pewnie ok. 300 tys. osób. W stosunku do dzieci nie wydawano wyroków, ale te represje dotknęły również dzieci. Wszystko to przerastało możliwości techniczne, którymi dysponowano. Dlatego kierownictwo NKWD zwróciło się nawet do Biura Politycznego NKWD z prośbą o złagodzenie wspomnianego rozkazu. W efekcie w listopadzie 1937 r. Jeżow za zgodą Stalina złagodził rozkaz nr 00486 dotyczący rodzin. Polecił miejscowym organom wysiedlanie żon wrogów ludu razem z dziećmi do innych regionów kraju.

Według ustaleń prowadzonego przez nas śledztwa władze sowieckie zakazały zwalniania z więzień Polaków skazanych wcześniej za szpiegostwo oraz innych skazanych – mimo upływu terminu wyroku. Okazuje się, że Polacy byli 36-krotnie częściej karani niż inne nacje.

Czy uda się komuś postawić zarzuty?

Nasze śledztwo to bez wątpienia śledztwo historyczne. Zajmujemy się wątkiem prawno-karnym. Musimy poznać stan faktyczny. Prokurator dysponuje w tym celu instrumentami przewidzianymi w Kodeksie karnym. Nawet jeżeli nie dostaniemy oryginalnych dokumentów, można otrzymać ich kopie. Chcemy wyjaśnić tę sprawę choćby po to, by zadośćuczynić ofiarom tej zbrodni. Nawet w polskich szkołach mało mówiło się o Katyniu, o operacji polskiej, a przecież mamy tu do czynienia z liczbą ponad 300 tys. ofiar. To niewyobrażalna tragedia, która wydarzyła się w czasach pokoju. Zginęły niewinne osoby. Motywem zbrodni była chorobliwa nienawiść do osób innych narodowości, wśród których szukano wrogów i pozbawiano ich wszystkiego.

Obowiązkiem naszym jest przede wszystkim wyjaśnienie wszystkich okoliczności zdarzenia. Jesteśmy w początkowej fazie śledztwa. Nie wiemy, co otrzymamy ze wspomnianych archiwów. Sprawa ma wymiar wielowątkowy. Akta zebrane w śledztwie będą wykorzystywane przez historyków. Pozyskamy nowe informacje. Zobaczymy, co uda nam się znaleźć w archiwach, i zobaczymy, jakimi dokumentami dysponują pokrzywdzeni. Jak wspomniałem wcześniej, od samego początku zdawaliśmy sobie sprawę, że śledztwo ma charakter historyczny i postawienie komukolwiek zarzutów ze względu na odległość czasową nie będzie możliwe.

eprasa.pl 78b78ef26b

„NIE MATURA, LECZ CHĘĆ SZCZERA…"

STANISŁAWA ŁYSZKOWSKIEGO KARIERA KOMUNISTY

Stanisław Łyszkowski w 1945 r.

BŁYSKOTLIWA KARIERA TEGO LOJALNEGO SŁUŻBISTY OD POCZĄTKU PORAŻAŁA SWYM TEMPEM, A TAKŻE ZBIOREM TYPOWYCH PARADOKSÓW, CHARAKTERYSTYCZNYCH DLA „BUDOWNICZYCH POLSKI LUDOWEJ"

KRZYSZTOF TRACKI

W chwili zakończenia wojny Stanisław Łyszkowski liczył 22 lata. Miał za sobą ukończenie siedmioletniej szkoły powszechnej i kilka prób kontynuowania nauki, które przerwały wojna i okupacja. Nie miało to stanowić dla Łyszkowskiego przeszkody ku awansom i zaszczytom, tym, jakie na ambitnych towarzyszy czekały w komunistycznej bezpiece.

W 1947 r. przesłuchiwał aresztowanego rtm. Witolda Pileckiego. Ściśle wypełniając nakazy przełożonych, stał się współsprawcą śmierci bohatera. W aktach personalnych deklarował wyznanie rzymskokatolickie. Nie przeszkadzało to jednak Łyszkowskiemu prowadzić działania wrogie Kościołowi. Pozbawiony skrupułów i oddany nowej władzy piął się po szczeblach kariery. Maturę jednak zaliczył dopiero w maju 1961 r. Pełnił wówczas już wysokie funkcje w newralgicznym Biurze „T" (działalność wywiadowcza i kontrwywiadowcza). U szczytu kariery osiągnął stopień generała brygady, a po śmierci spoczął z najwyższymi honorami na Powązkach wojskowych.

Ze wsi do miasta

Na świat przyszedł w 1923 r. we wsi Holendry k. Żyrardowa, w ubogiej rodzinie chłopskiej, której utrzymanie zapewniały ośmiomorgowe gospodarstwo oraz mordercza praca ojca. Względną stabilność unicestwił pożar, który strawił zagrodę Łyszkowskich w 1934 r. Tragedii nie przeżył ojciec (zm. w 1935 r.), pozostawiając rodzinę bez środków do życia. Stanisław zmuszony był wziąć na siebie obowiązek utrzymania bliskich – schorowanej matki i reszty z pięciorga rodzeństwa (14-letnia Józefa była od niego starsza). Mimo trudnych warunków ukończył szkołę powszechną. Dla jej kontynuowania został nawet wyróżniony stypendium gminnym. Położenie rodziny zmusiło go jednak do pozostania w gospodarstwie. Naukę wznowił po roku, tym razem otrzymując stypendium z Wydziału Powiatowego w Grodzisku Mazowieckim.

Z tym epizodem łączą się pierwsze obszary zainteresowania osobą Łyszkowskiego ze strony powojennej bezpieki. W życiorysie pisanym na potrzeby Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wskazywał na brak zainteresowań politycznych w jego domu rodzinnym (ojciec „nie umiał czytać" i „polityką się nie interesował"). W kontynuowaniu nauki pomogły mu jednak względy władz wojskowych. Kolejne stypendium otrzymał dzięki wstawiennictwu płk. Henryka Abczyńskiego, szefa Państwowych Zakładów Lotniczych na Okęciu. Abczyński był jednym z wyżej postawionych oficerów obozu sanacji, pełniącym funkcję zastępcy ds. przemysłu i budżetu w Dowództwie Lotnictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych. Być może za jego radą Łyszkowski napisał prośbę o stypendium wprost do prezydenta Ignacego Mościckiego. Takimi informacjami dysponowała powojenna bezpieka. Ponie-

FOT. AIPN KATOWICE (3X)

eprasa.pl 78b78ef26b

chano jednak dalszego śledztwa na temat przyczyn zainteresowania Abczyńskiego Łyszkowskim.

Wojenne przypadki

Wybuch wojny przerwał edukację Łyszkowskiego w Szkole Lotniczo-Mechanicznej na Okęciu. Stamtąd przeniósł się do Ursusa, w 1942 r. zaś zamieszkał przy ul. Dworskiej w Warszawie. Już kilka miesięcy po rozpoczęciu okupacji znalazł się na tajnych kompletach prowadzonych przez Szkołę Rzemieślniczą im. Michała Konarskiego w Warszawie. Wkrótce trafił w skład uczniów Państwowej Szkoły Budowy Maszyn (Wawelberga i Rotwanda), działającej za zgodą Niemców.

Według ustaleń bezpieki w oddziaływanie ZWZ-AK wszedł jednak w swych rodzinnych stronach wiosną 1940 r. Werbunku do oddziału Benedykta Karlickiego (ps. Piłat) dokonał jego szkolny kolega, Eugeniusz Wacławski ps. Czarny. Łyszkowski (ps. Biały) trafił do plutonu „Pado" dowodzonego przez Władysława Parola (ps. Pado). Łyszkowski brał udział w akcjach sabotażowych. Jedna z nich, przeprowadzona wiosną 1942 r., przyniosła zniszczenie linii telefonicznych łączących okolice Żyrardowa.

„Biały" kontynuował naukę, w marcu 1943 r. zaś podjął pracę w Fabryce Obrabiarek w Pruszkowie. Za samowolne opuszczenie miejsca pracy w lipcu 1943 r. stał się obiektem poszukiwań gestapo. Za pośrednictwem Władysława Parola nawiązał kontakt z Marianem Beckiem (ps. Edward), rozbudowującym struktury Gwardii Ludowej. Kilkunastoosobowy oddział komunistycznej partyzantki (kryptonim Leon) składał się głównie ze zbiegłych z niewoli żołnierzy sowieckich, luźno poddanych pod kontrolę Polskiej Partii Robotniczej. „Biały" włączył się w działania grupy. Jak pisał w życiorysie, aż do nadejścia frontu sowieckiego zajmował się „lokowaniem żołnierzy Armii Czerwonej zbiegłych z niewoli na tamtym terenie". Dwóch z nich przechował w rodzinnym domu w Holendrach. Ponownie też brał udział w akcjach sabotażowych (m.in. na zlewnie mleka dostarczające kontyngenty dla niemieckiego wojska).

Panująca w oddziale aura wrogości wobec Polskiego Państwa Podziemnego definitywnie ukształtowała oblicze Łyszkowskiego jako zadeklarowanego komunisty. Szczególną rolę odegrał tu Władysław Parol, ludowiec lawirujący pomiędzy AK a PPR (syn lokalnego aktywisty SDKPiL i KPP), który powiódł Łyszkowskiego ku zacieśnieniu więzi ze strukturami PPR.

Najpóźniej u progu 1944 r. gestapo wpadło na ślad Łyszkowskiego. Na dwa miesiące trafił do więzienia przy ul. Litewskiej w Warszawie. Po zwolnieniu zdążył otrzymać dyplom technika kolejowego i rozpocząć pracę jako kreślarz w warszawskich Zakładach Lilpopa. W powstaniu nie wziął udziału. „Wyzwolenie" z rąk Armii Czerwonej powitał w rodzinnej wsi.

Nadejście frontu otwierało przed Łyszkowskim nowe perspektywy. Ukrywani w domu sowieccy żołnierze dawali nie tylko gwarancje bezpieczeństwa, lecz także perspektywy kariery.

Budowniczy Polski Ludowej

13 marca 1945 r. Stanisław Łyszkowski skierował podanie o przyjęcie w poczet uczniów Centralnej Szkoły Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi. Placówkę prowadzoną przez awangardę aparatu terroru (tzw. kujbyszewiaków) opuścił 3 czerwca. Na karcie egzaminacyjnej zapisano: „Zdyscyplinowany, spokojny, pilny, politycznie rozgarnięty, sumienny". Do służby wstępował w stopniu podporucznika, obejmując funkcję młodszego oficera śledczego w Wydziale VIII Departamentu I MBP (kontrwywiad).

Bezpieka przeżywała okres największego rozrostu. Popularności nabierały słowa: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera". Atutami kandydata stawały się jego oblicze ideowe, pochodzenie społeczne i młody wiek. Nadto Łyszkowski chlubił się kartą walk w Gwardii Ludowej, co w atmosferze otwartej wojny z Polskim Państwem Podziemnym czyniło go jednym z najbardziej pożądanych funkcjonariuszy w bezpiece. Oddany władzy szybko wspinał się po szczeblach kariery. Łyszkowski w stopniu porucznika został trzykrotnie udekorowany: Medalem Zwycięstwa i Wolności (1945), Srebrnym Krzyżem Zasługi (1946) oraz Odznaką Grunwaldzką (1947). Do tego czasu zdobył zaufanie płk. Józefa Różańskiego, nadzorującego śledztwo Pileckiego. Kilkukrotne, brutalne i wielogodzinne przesłuchania rotmistrza umocniły pozycję Łyszkowskiego w bezpiece. Nadal dekorowany, już w 1950 r. osiągnął stopień majora. »

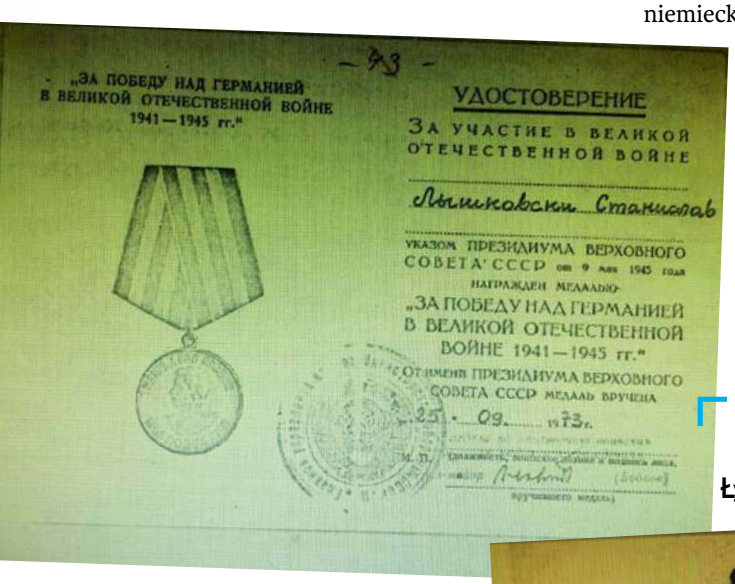

Dokument nadania medalu sowieckiego „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945"

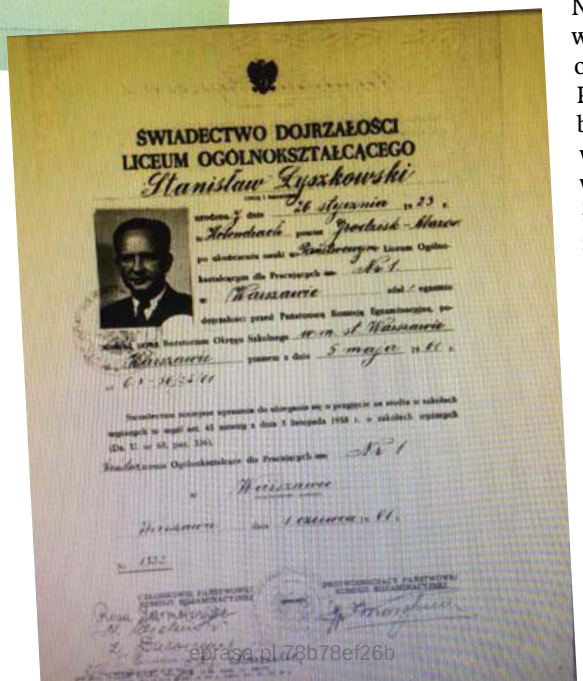

Świadectwo maturalne Stanisława Łyszkowskiego z 1961 r.

epraca.pl/78b78ef26b

Przejściowe problemy

Cieniem na błyskotliwej karierze Łyszkowskiego położyła się sprawa jego brata, Jana, odbywającego służbę wojskową jako wartownik w więzieniu Głównego Zarządu Informacji Wojskowej w Olsztynie. W czerwcu 1952 r. został aresztowany pod zarzutem przenoszenia grypsów od więźnia. Bezpieka dokładniej zaczęła się przyglądać rodzinie młodego oficera. Przedmiotem analiz stała się jego okupacyjna przeszłość. Tym bardziej że na fali czystek do więzienia trafił mjr Marian Beck, dowódca „Białego" z okresu walk w GL.

Łyszkowski pozytywnie przeszedł weryfikację. Za atut uznano jego cechy osobiste. W „Charakterystyce", napisanej przez Różańskiego (29 sierpnia 1951 r.), czytamy: „Politycznie dobrze wyrobiony, bierze aktywny udział w życiu partyjnym i pracuje nad sobą, politycznie pewny, jest szczerze oddany sprawie walki o zbudowanie socjalizmu. [...] W walce z wrogiem wykazuje wiele bojowości i zaciętości. Wśród podwładnych cieszy się dobrym autorytetem. Jest pracownikiem samodzielnym, potrafi podejmować decyzje [...]".

FOT. AIPN KATOWICE

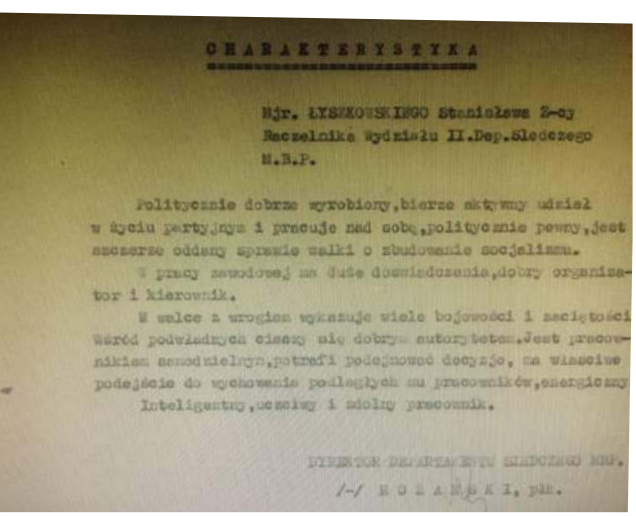

CHARAKTERYSTYKA

Mjr. ŁYSZKOWSKIEGO Stanisława Z-cy Naczelnika Wydziału II.Dep.Śledczego M.B.P.

Politycznie dobrze wyrobiony, bierze aktywny udział w życiu partyjnym i pracuje nad sobą, politycznie pewny, jest szczerze oddany sprawie walki o zbudowanie socjalizmu.

W pracy zawodowej ma duże doświadczenie, dobry organizator i kierownik.

W walce z wrogiem wykazuje wiele bojowości i zaciętości. Wśród podwładnych cieszy się dobrym autorytetem. Jest pracownikiem samodzielnym, potrafi podejmować decyzje, ma właściwe podejście do wychowania podległych mu pracowników, energiczny.

Inteligentny, uczciwy i zdolny pracownik.

DYREKTOR DEPARTAMENTU ŚLEDCZEGO MBP.

/-/ M O Z A N E K I, płk.

Opinia służbowa J. Różańskiego z 1951 r.

Ominęły Łyszkowskiego perturbacje okresu „odwilży". Jako oficer bez matury Łyszkowski nie należał w bezpiece do mniejszości. Jeszcze w 1950 r. szef MBP Stanisław Radkiewicz stwierdzał: „Pod względem wykształcenia ogólnego kadra nasza przedstawia się opłakanie".

Pomimo zmian na szczytach władzy Łyszkowski w 1955 r. został skierowany na kurs specjalny w Wyższej Szkole KGB im. F. Dzierżyńskiego w Moskwie. Wraz z jego ukończeniem, w szczytowym momencie polskiej „odwilży", rozpoczął pracę w obszarze techniki operacyjnej (z wykorzystaniem nowoczesnego sprzętu nasłuchowego). Dopełnieniem etapu uzupełniania kwalifikacji stał się egzamin maturalny. Zaliczył go w 1961 r., po 15 latach służby, w stopniu majora.

Szczyty kariery bezpieczniaka

Użyteczność Łyszkowskiego w aparacie bezpieczeństwa określało jego rosnące doświadczenie. Powołując się na nie, w marcu 1962 r. szef MSW Władysław Wicha zaproponował majora na stanowisko wicedyrektora Biura „T" (prowadzącego w MSW zaawansowaną technicznie działalność wywiadowczą i kontrwywiadowczą). Trzy lata później nowy szef resortu Mieczysław Moczar wysunął Łyszkowskiego do funkcji dyrektora Biura „T". Powoływał się przy tym na opinię służbową: „Zadania stojące przed Biurem szybko opanował i dokłada wszelkich starań, by właściwie wywiązać się z nałożonych obowiązków". Nadto „posiada duży zmysł organizacyjny [...]. Podległych mu pracowników zna i umie ich właściwie ocenić [...]. W stosunku do ludzi często jest szorstki. W postępowaniu jego odczuwa się to jako pewną zewnętrzną pozę przykrywającą dobry charakter i dużo zrozumienia dla ludzi".

Zwierzchnicy Łyszkowskiego zauważali, że nie wykazuje on ambicji politycznych. Zadowalając się karierą wysokiego rangą funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej, nie stanowił zagrożenia dla politycznych aspiracji frakcji walczących w PZPR.

W 1963 r. szef Biura „T" osiągnął stopień pułkownika. Już po wydarzeniach na Wybrzeżu (1970 r.) ekipa Gierka nagrodziła Łyszkowskiego awansem na szefa Departamentu Techniki MSW. Splendoru w skostniałym aparacie partyjnym przydawały mu nadto ordery. Do chwili śmierci zgromadził ich 24!

Dynastia

Nie znaczy to jednak, by Łyszkowski był wolny od osobistych ambicji. W służbowych charakterystykach określany jako „domator", dbał o interes rodziny. W ten sposób pracę w Ministerstwie Hutnictwa znalazła jego siostra Józefa Gabrysiak. Wysokim stopniem funkcjonariuszem MO w Grodzisku Mazowieckim był jego brat Jan. Właściwym kontynuatorem tradycji bezpieczniackich okazał się syn. Lech Łyszkowski służbę w MSW rozpoczął w marcu 1960 r. Z pomocą ojca błyskawicznie piął się po szczeblach kariery, począwszy od funkcji inspektora w Wydziale VII MSW (odpowiedzialnym za nasłuch radiowy przedstawicielstw zagranicznych w Polsce). Pełnił również zadania agenturalne przy polskich placówkach za granicą (m.in. w Pekinie). Sowicie opłacany, ze służbowym mieszkaniem na resortowym osiedlu na Mokotowie, był pracownikiem Wyższej Szkoły Oficerskiej im. F. Dzierżyńskiego w Legionowie. Lech Łyszkowski (ps. Romański, Lechosław Romański) doczekał przemian 1989 r. Pozytywnie zweryfikowany, został dopuszczony do służby oficerskiej w Biurze Ochrony Rządu.

* * *

Stanisław Łyszkowski zmarł w 1978 r. Odchodził w aurze „budowniczego Polski Ludowej", do końca oddany „umacnianiu zdobyczy socjalizmu". Sztampowe wystąpienia na forum Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Biurze „T" ukazują jego osobę jako bezbarwną, pozbawioną indywidualności, do końca życia dźwigającą piętno ograniczonych horyzontów intelektualnych i równie mizernego wykształcenia.

Dokumenty przejęte przez IPN nie pozwalają na przybliżenie wszystkich szczegółów pracy operacyjnej Stanisława Łyszkowskiego. A szkoda. Nie można jednak wątpić, że uznanie ze strony kolejnych ekip rządzących było następstwem ogromnej roli Biura „T" jako „tarczy i miecza komunizmu". Niedługo po wydarzeniach w Ursusie i Radomiu (1976 r.) odbył Łyszkowski jeszcze jeden kurs specjalny pod egidą KGB w Moskwie. Po jego ukończeniu w 1977 r. doczekał się awansu do stopnia generała brygady MO. W oczach zwierzchników dobrze rokował na dalsze lata wiernej służby.

Karierę przerwała nagła śmierć. Generał brygady MO Stanisław Łyszkowski zmarł „podczas wykonywania obowiązków służbowych w Radomiu" w wieku zaledwie 55 lat.

Autopromocja

eprasa.pl 78b78ef26b

STYCZEŃ

MOCNY TYDZIEŃ!

z TELEWIZJĄ W POLSCE PL

PONIEDZIAŁEK

17:05

BARDZO WAŻNA SPRAWA

WTOREK

22:00!

SERIAL SŁUGA NARODU

WŁĄCZ W POLSCE PL

ŚRODA

13:05!

PROSZĘ TO WYJAŚNIĆ

CZWARTEK

17:25

TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA KARNOWSKICH!

PIĄTEK

22:00

BEZ SPINY!!!

eprasa.pl 78b78ef26b

JESIEŃ 1980:
POLAKÓW PORTRET WŁASNY

DO BADAŃ SONDAŻOWYCH Z OKRESU PRL NALEŻY ZE ZROZUMIAŁYCH WZGLĘDÓW PODCHODZIĆ OSTROŻNIE. USTRÓJ PAŃSTWA WPŁYWAŁ ZDECYDOWANIE NEGATYWNIE – ŁAGODNIE RZECZ UJMUJĄC – NA WIARYGODNOŚĆ WYNIKÓW. SYTUACJA MOGŁA WYGLĄDAĆ NIECO INACZEJ W OKRESIE KARNAWAŁU „SOLIDARNOŚCI". ZWŁASZCZA WTEDY GDY SONDAŻ ORGANIZOWALI DZIENNIKARZE I SOCJOLOGOWIE Z FRANCJI

eprasa.pl 78b78ef26b

FOT. EAST NEWS/W. LASKI

Manifestacja na ulicach Warszawy po rejestracji NSZZ „Solidarność", 10 listopada 1980 r.

„GDYBY ROSJANIE INTERWENIOWALI, TO: PODDALIBYŚCIE SIĘ, STAWIALIBYŚCIE OPÓR?". AŻ 66 PROC. RESPONDENTÓW WYBRAŁO TO DRUGIE – CZYLI DOKŁADNIE TYLU, ILU UZNAWAŁO INTERWENCJĘ ZA PEWNĄ LUB MOŻLIWĄ

PATRYK PLESKOT

Po wybuchu „Solidarności" redakcja popularnego francuskiego tygodnika „Paris Match" wpadła na pomysł opisania nastrojów panujących w polskim społeczeństwie po bezprecedensowych wydarzeniach Sierpnia 1980 r. Korzystając z większej swobody politycznej – zarówno w wymiarze rosnącej otwartości granic, jak i stosunkowej swobody wypowiedzi – zdecydowano się na przeprowadzenie w Polsce ankiety socjologicznej. Ankietę rozprowadzano między końcem września a początkiem listopada 1980 r. Ostatecznie wyselekcjonowano – deklarując stosowanie się do zasad metodologii badań socjologicznych – ok. 500-osobową grupę respondentów

Z perspektywy czasu można się zastanawiać, czy owa próba nie była zbyt wąska. Pewne wątpliwości budzą też sformułowane przez Francuzów pytania. Niemniej jednak warto pokazać wyniki badania i uznać, że mogą one powiedzieć coś ważnego o klimacie społecznym w początkowej fazie solidarnościowego karnawału.

Kim byliśmy?

Pierwsze pytanie dotyczyło porozumień gdańskich. Aż 86 proc. respondentów wskazało, że oznaczały one „zwycięstwo robotników", 12 proc. zaś – „zwycięstwo rządu". W drugim, poruszającym kwestie odpowiedzialności za letnie strajki, dano do wyboru kilka opcji (można było wybrać więcej niż jedną). Aż 90 proc. badanych winą za kryzys obarczyło ówczesną ekipę rządzącą, a 51 proc. – system polityczny. Dodatkowo 17 proc. wskazało na przynależność PRL do Układu Warszawskiego. Mało głosów otrzymała odpowiedź „polski charakter" (21 proc.) i „nie mam zdania" (7 proc.). Jednoznaczność opinii nie budzi wątpliwości.

Rozterki Polaków co do reakcji Kremla na „Solidarność" dobrze za to oddają odpowiedzi na kolejne pytanie: „Jeśli sytuacja pozostanie taka, jak jest, Rosjanie waszym zdaniem będą interweniowali w Polsce?". 41 proc. odpowiedziało, że taki scenariusz jest „możliwy", 25 proc. – że „pewny", a 34 proc. – że do interwencji nie dojdzie. Dwóch na trzech Polaków pozostawało zatem pesymistami.

Bardziej jednoznacznie respondenci oceniali postacie, które miały symbolizować ówczesną Polskę. Aż 73 proc. wskazało na Jana Pawła II, a tylko 18 proc. na Lecha Wałęsę (4 proc. na I sekretarza PZPR Stanisława Kanię, a 5 proc. nie miało zdania). Uwidacznia się tu wyraźnie siła władzy symbolicznej, jaką nad rodakami sprawował polski papież.

Następna kwestia ponownie nastrajała pesymistycznie i wiązała się pośrednio z wątkami rosyjskimi. Badanym dano do wyboru trzy opcje dotyczące realizacji porozumień sierpniowych: „będą powoli rozmiękczane przez rząd", „będą do końca realizowane", „nie mam zdania". Aż 65 proc. wybrało pierwszą możliwość, 31 proc. drugą, a tylko 4 proc. trzecią.

Jak Polacy oceniali nowego I sekretarza KC PZPR? Tu pesymizm był również wyraźny: aż 47 proc. badanych uznało, że Stanisław Kania nie będzie niczym różnił się od Gierka, a 26 proc. uznało, że będzie wręcz gorszy. Tylko 22 proc. liczyło na poprawę. Jak widać, porozumienia sierpniowe nie zburzyły bariery nieufności rządzonych wobec rządzących.

Ponownie mieszając wątki, w siódmym pytaniu powrócono do tematyki sowieckiej. Brzmiało ono wręcz prowokująco: „Gdyby Rosjanie interweniowali, to: poddalibyście się, stawialibyście opór?". Aż 66 proc. respondentów wybrało to drugie – czyli dokładnie tylu, ilu uznawało interwencję za pewną lub możliwą. 24 proc. wybrało to pierwsze, a 10 proc. nie miało zdania. Można dopowiedzieć, że na szczęście owe deklaracje nie zostały poddane weryfikacji.

Pytanie nr 8 również opierało się na gdybaniu, a dotyczyło preferencji wyborczych w hipotetycznych wolnych wyborach. Dano do wyboru kilka orientacji politycznych, na które Polacy chcieliby głosować: partia komunistyczna (3 proc. odpowiedzi), partia socjalistyczna (27 proc.), chadecja (34 proc.), partia chłopska (4 proc.), liberałowie (19 proc.), brak zdania (13 proc.). Lista ta rodzi nieco wątpliwości: nie jest pewne, czy respondenci postrzegali takie określenia, jak „chadecja" czy „liberalizm" podobnie, »

eprasa.pl 78b78ef26b

jak francuscy autorzy ankiety. Zabrakło też w ogóle opcji „partia narodowa". Mimo to niski wynik komunistów jest wręcz porażający. „Partii chłopskiej" też dostało się za satelicką rolę Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Co ciekawe, w wolnej Polsce ugrupowania wprost odwołujące się do chadecji nigdy nawet nie zbliżały się do poziomu owych 34 proc.

Następny punkt dotyczył tym razem przeszłości: pytano o najważniejsze wydarzenie z ostatnich 20 lat. Znowu, dość problematycznie, zaproponowano zamkniętą listę możliwości: wybór Karola Wojtyły na papieża (26 proc. odpowiedzi), wydarzenia w Polsce z lata 1980 r. (20 proc.), akt helsiński z 1975 r. (9 proc.), wojna wietnamska (7 proc.), kryzys paliwowy (7 proc.), podbój kosmosu (4 proc.), kryzys bliskowschodni (2 proc.). Respondentów najbardziej interesowały niedawne wydarzenia w Polsce. O tym, że nie do końca odnaleźli się w proponowanym zestawie, świadczy to, że 14 proc. odpowiedziało „nie mam zdania", a 11 proc. wybrało opcję „inne".

Kolejne dwa pytania wiązały się z Kościołem katolickim. Odpowiedzi pokazują duże przywiązanie badanych do tej instytucji i autorytet, jakim się cieszyła w społeczeństwie, niekoniecznie powiązany z postawami opozycyjnymi. Oceniając relacje władza – duchowieństwo, blisko połowa (47 proc.) badanych stwierdziła, że Kościół obierał pozycję neutralną. 26 proc. określiło go jako siłę stawiającą opór władzy, a 20 proc. jako element systemu. Jednocześnie jednak 22 proc. uznało, że Kościół raczej sprzyjał strajkującym latem robotnikom, a dla 6 proc. sprzyjał wręcz za bardzo. Niemniej zdecydowana większość – 65 proc. – oceniła, że duchowieństwo zachowało się tak, jak powinno.

ODPOWIEDZI NA PYTANIA O KOŚCIÓŁ KATOLICKI POKAZUJĄ DUŻE PRZYWIĄZANIE DO TEJ INSTYTUCJI I AUTORYTET, JAKIM CIESZYŁA SIĘ W SPOŁECZEŃSTWIE, NIEKONIECZNIE POWIĄZANY Z POSTAWAMI OPOZYCYJNYMI

Przywiązanie do kraju

Ostatnie dwa pytania, związane z sobą, poruszały wątki międzynarodowe. Na prośbę o wybór innego niż Polska państwa, w którym respondenci chcieliby żyć, najwięcej wybrało opcję „inne" (28 proc.). Pokazuje to, że krótka lista czterech krajów, które zaproponowali ankieterzy, nie okazała się najlepiej trafiona. W tej grupie 19 proc. wskazało na USA (potwierdzając tym samym proamerykańskość części społeczeństwa polskiego), 11 proc. Francję (może był to częściowo efekt kurtuazji wobec autorów badania), 9 proc. RFN, a 8 proc. Szwecję. Zarazem 19 proc. stwierdziło, że nie chciałoby żyć poza Polską, co trudno uznać za wysoki wynik.

Inne opcje zaproponowano w możliwych odpowiedziach na pytanie o najbardziej ówcześnie przyjazne wobec Polski państwo. I to pytanie nie zostało chyba najlepiej sformułowane, trzeba by tu bowiem sprecyzować, co rozumie się pod pojęciem „wobec Polski": czy komunistyczne władze, czy ogół społeczeństwa. W każdym razie najczęściej wybierano najbardziej pesymistyczną możliwość: „żadne" (34 proc.). Poza tym wymieniono Francję (17 proc.), USA (13 proc.), Szwecję (4 proc.) i RFN (2 proc.) oraz „bratnie kraje": Węgry (4 proc.), ZSRR (2 proc.). 14 proc. wskazało na odpowiedź „inne", a 10 proc. – „nie mam zdania".

Jak widać, w ankiecie francuskiego tygodnika „Paris Match" dostrzec można pewne uchybienia, nieścisłości i niekonsekwencje. Warto jednak zapoznać się z jej wynikami, a niektóre dają wiele do myślenia. Cała ta inicjatywa świadczy również o zainteresowaniu zachodnich mediów (i społeczeństw) wydarzeniami w PRL. Zachód próbował zrozumieć, co tak naprawdę dzieje się w Polsce w dobie „Solidarności".

AUTOPROMOCJA

polecamy WSKLEPIKU.PL

Zajrzyj koniecznie na naszą stronę WSKLEPIKU.PL

Niechciane dziedzictwo
Adriana Merta-Staszczak

Dr Adriana Merta-Staszczak zajęła się złożonym problemem powojennych zabytkowych nieruchomości na Dolnym Śląsku, opracowując sumaryny, monograficzny przegląd całości zagadnienia, z jego uwarunkowaniami historyczno-politycznymi, ideologicznymi, psychospołecznymi, administracyjno-prawnymi i ekonomicznymi.

Sprawa honoru
Lynne Olson, Stanley W. Cloud

Pasjonująca historia polskich pilotów, których odwaga i męstwo przyczyniły się do uratowania Anglii w czasie bitwy powietrznej w 1940 r. To także opowieść o zaskakującej zdradzie, jakiej dopuścili się alianci pod koniec II wojny światowej. Źródłami są nieoficjalny dziennik dywizjonu, pełen osobistych relacjami ze starć z nieprzyjacielem, oraz z listy, wywiady, wspomnienia, opowieści i fotografie.

Kobiety despotów
Przemysław Słowiński

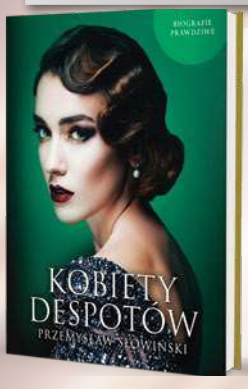

Do szaleństwa oddane i posłuszne. Zazdrosne i żądne władzy. Żony i kochanki. Bite, osamotnione, zdradzane. Za życie z despotami płaciły wysoką cenę – chorowały na nerwicę, ginęły w niewyjaśnionych okolicznościach, popełniały samobójstwa. Kobiety dyktatorów. Od czasów starożytnych do XXI w.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem: 22 836 54 45

eprasa.pl/78b78e126b

FENOMEN BISKUPA „SOLIDARNOŚCI"

POŚRÓD OSÓB DUCHOWNYCH NA TRWAŁE ZAPISANYCH NA KARTACH NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI ZASZCZYTNE MIEJSCE ZAJMUJE OBECNY BISKUP POMOCNICZY SENIOR DIECEZJI SANDOMIERSKIEJ EDWARD FRANKOWSKI. KAPŁAN TEN NAZYWANY BYŁ BISKUPEM „SOLIDARNOŚCI"

MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

Data urodzin biskupa Frankowskiego, 15 sierpnia 1937 r., zbiegła się z początkiem inwestycji podjętych w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), które traktować należy jako akt założycielski Stalowej Woli. Przez ten zbieg okoliczności biskup i miasto są rówieśnikami. Zbieżność ta – pozornie przypadkowa – z dzisiejszej perspektywy nabiera symbolicznego znaczenia. W Stalowej Woli późniejszy duchowny spędził bowiem większość kapłańskiego życia.

Edward Frankowski maturę zdał w 1955 r. W tym samym roku wstąpił do Seminarium Duchownego w Przemyślu. Po sześcioletnich studiach święcenia kapłańskie przyjął 18 czerwca 1961 r. w Przemyślu z rąk bp. Franciszka Bardy. Pierwszą placówką, na którą został skierowany(1961–1964), była parafia pw. Matki Bożej Łaskawej w Hyżnem. Kolejne trzy lata (1964–1967) pracował w charakterze wikariusza w parafii farnej w Jaśle. Podobnie z zaangażowaniem katechizował miejscową młodzież szkolną, sprawował opiekę nad orkiestrą i chórem. W lipcu 1967 r. został skierowany do nowo erygowanej parafii pw. Matki Bożej Różańcowej w Stalowej Woli. W tym samym roku rozpoczął studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

W Stalowej Woli

Pojawienie się nowego kapłana w Stalowej Woli, mieście w założeniach władz państwowych o charakterze laickim, zainteresowało komunistyczne władze i Służbę Bezpieczeństwa. Jednak już pierwsze przygotowania do budowy kościoła, katechizacja, sprowadzenie zakonnic ze Zgromadzenia ss. Służebniczek NMP, opieka nad ministrantami, ewangelizacja Romów, organizacja wieczorów artystyczno-rozrywkowych dla młodzieży – zjednywały nowo przybyłemu kapłanowi zaufanie wiernych. Bardzo szybko SB podjęła działania mające podrywać jego autorytet.

12 listopada 1970r. ks. Frankowski mianowany został rektorem kaplicy pw. Matki Bożej Różańcowej w Stalowej Woli-Chyłach (1970–1974). Postępował wówczas zgodnie z zaleceniami bp. Ignacego Tokarczuka, który stosował w sprawach budownictwa sakralnego i obsady stanowisk kościelnych metodę faktów dokonanych, w myśl zasady: „Najpierw postawić na danym terenie jedną nogę, a potem zdobyć i nie dać się usunąć". Tymczasem zamiarem SB było usunięcie ks. Frankowskiego ze Stalowej Woli.

Studia na KUL zakończył 1 lutego 1971 r. obroną pracy magisterskiej. Przygotowania do obrony pracy doktorskiej przerwała nominacja 16 sierpnia 1975 r. na proboszcza parafii pw. św. Floriana w Stalowej Woli. Dwa lata później (1977) objął obowiązki proboszcza parafii Matki Bożej Królowej Polski. Bez stosownych pozwoleń ks. Frankowski wybudował plebanię (1975–1977), dom katechetyczny (poświęcony 31 stycznia 1987 r.), dzwonnicę, budynek filii KUL, wznoszony jako ochronka dla dzieci. Pod jego patronatem powstało ponad 30 wspólnot oraz ruchów społecznych. Śmiało można mówić o fenomenie Stalowej Woli, a zwłaszcza wspomnianej parafii, na mapie ówczesnego duszpasterstwa.

Jeden z jego byłych wikariuszy, obecnie biskup pomocniczy diecezji kamienieckiej ks. Jan Niemiec, wspomina: „Ks. Edward był naprawdę tytanem »

eprasa.pl 78b78ef26b

» pracy, aż trudno było uwierzyć, że jeden człowiek potrafi ogarnąć tyle inicjatyw. Równocześnie umiał podzielić się z innymi swoim dynamizmem, inspirując ich. Nie tylko nie zazdrościł innym sukcesów duszpasterskich, ale wprost przeciwnie – radował się nimi z całego serca. Parafia tętniła życiem".

Wielokrotnie przyjeżdżająca do Stalowej Woli z pomocą dla represjonowanych działaczy „Solidarności" Zofia Romaszewska wspomina: „Bp Frankowski jest dla mnie niedoścignionym wzorem. Poznałam go, kiedy w Stalowej Woli aresztowano działaczy »Solidarności«. [...] Pamiętam, że jak się przyjeżdżało do ks. Frankowskiego, to odnosiło się wrażenie, że »cała plebania i kościół chodzi«. My zajmowaliśmy się działalnością opozycyjną, obok zaś śpiewali, nieco dalej modlili się, w innym pomieszczeniu recytowali. A do tego wykłady, próby zespołu tanecznego itp. Słowem – cała plebania tętniła życiem. To było coś nieprawdopodobnego. Kręciły się tłumy ludzi, żartując, można powiedzieć, »że ściany prawie się ruszały«. Byłam na wielu plebaniach, ale nigdzie czegoś takiego nie widziałam".

Mąż opatrznościowy

Podejmowane przez ks. Frankowskiego liczne inicjatywy o charakterze duszpasterskim czy kulturalnym mobilizowały miejscową społeczność. Na podstawie powstających wówczas więzi kształtowały się niezależne od władz środowiska kulturalne i społeczno-polityczne. Temu celowi służyły kolejne przedsięwzięcia: Klub Inteligencji Katolickiej (od 1981 r.) i Komitet Organizacyjny Budowy Filii KUL w Stalowej Woli czy organizowane od 1983 r. Katolickie Dni Społeczne. Kolejnymi dziełami były: Duszpasterski Ośrodek Kultury Chrześcijańskiej (od 1983 r.) czy Instytut Wyższej Kultury Religijnej (od listopada 1984 r.). Stanowiły one dla inteligencji i robotników Stalowej Woli realną alternatywę wobec krzewionej powszechnie ideologii komunistycznej, kształtowały wiarę oraz umacniały patriotyzm. Tym samym spychały narzucaną ideologię do defensywy, przygotowując świeckich od strony moralnej, jak również intelektualnej do służby dla demokratycznej i suwerennej Polski.

Podejmowane przez SB działania dezintegracyjne w postaci m.in. akcji ulotkowych szkalujących ks. Frankowskiego utrudniały posługę duszpasterską.

17 stycznia 1989 r. Edward Frankowski otrzymał godność biskupią, zyskując zarazem nieoficjalne miano „Biskupa Solidarności". Uroczysta konsekracja odbyła się 5 marca 1989 r. w Stalowej Woli. Na zdjęciu ulotka, za pomocą której nielegalna „Solidarność" zapraszała na mszę

Według komunistów duchowny należał do grupy księży, którzy głosząc Ewangelię, „nadużywali Słowa Bożego", gdyż krytykowali władze komunistyczne i ich postępowanie. Jako kapłan niezłomny i niepokorny ks. Frankowski był uważany przez komunistów za jednego z głównych przeciwników ustroju nie tylko w Stalowej Woli, ale w całym regionie. 25 sierpnia 1980 r. w kościele pw. Matki Bożej Królowej Polski w Stalowej Woli rozpoczęła się głodówka solidarnościowa ze strajkującymi robotnikami Wybrzeża. Trwała ona aż do podpisania porozumień sierpniowych. Wsparcie udzielane opozycji przez ks. Frankowskiego okazało się wówczas bezcenne. Sam dokumenty powstającej w Hucie Stalowa Wola „Solidarności" dostarczył do Gdańska 13 września 1980 r. i przekazał Lechowi Wałęsie. W okresie stanu wojennego ks. Frankowski odwiedzał internowanych działaczy „Solidarności", organizował dla nich pomoc materialną i duchową. Wagę tych działań tak opisuje Ewa Kuberna: „Ks. Edwarda Frankowskiego poznałam osobiście po zwolnieniu z ośrodka internowania 24 VII 1982 r. Wcześniej, przed Wielkanocą, do wszystkich kobiet z regionu ziemi sandomierskiej internowanych najpierw w Areszcie Śledczym w Nisku, później w Gołdapi dotarły od niego kartki z życzeniami świątecznymi. Czym były kartki, listy, życzenia dla internowanych, aresztowanych, odbywających wyroki z dekretu o stanie wojennym, wiedzą tylko oni sami. Komunistyczne władze i wykonawcy ich poleceń robili wszystko, by ludzie »Solidarności« czuli się sponiewierani, odrzuceni, samotni, zdani tylko na własne siły. Listy od osób, których się nie znało, miały więc ogromne znaczenie, bo świadczyły wprost o tym, że wysiłki komunistów są nieskuteczne. Po zwolnieniu z internowania w Stalowej Woli wszyscy zgłaszali się u ks. Frankowskiego, zgłosiłam się i ja, z Marysią albo Małgosią, tego już nie pamiętam. Dowiedziałam się, że pierwszą listę osób internowanych i aresztowanych w stanie wojennym sporządził właśnie Ksiądz Proboszcz. Ludzie jedni drugich kierowali do kościoła, powtarzali: »Idźcie do ks. Frankowskiego«. W smutnej, pełnej zagrożeń i lęków sytuacji po wprowadzeniu stanu wojennego ks. Frankowski był jedyną osobą, do której mieszkańcy Stalowej Woli mieli pełne zaufanie. Umacniał słowami, przekazywał nadzieję, często powtarzał zdanie: »Ta władza się już kończy, oni już nic nie mogą zrobić. Przegrają, bo kłamstwo zawsze przegrywa z prawdą«. Nie wiem, czy wtedy w to wierzyłam tak na sto procent, ale na pewno chciałam w to wierzyć".

Od stycznia 1982 r. ks. Frankowski celebrował msze św. za ojczyznę. Kierowana przez niego parafia MBKP w Stalowej Woli była oazą wolnego słowa, przystanią dla poszukujących oparcia działaczy „Solidarności", zarówno robotniczej, jak i rolniczej.

Odbudowa „Solidarności"

Fundamentalne znaczenie miało poparcie, jakiego ks. Frankowski udzielił „Solidarności" w trakcie strajku w Hucie Stalowa Wola (22 sierpnia – 1 września 1988 r.). Bez wsparcia Kościoła rzymskokatolickiego i mieszkańców Stalowej Woli strajk ten bliski był załamania. Zasadniczą rolę w tym procesie odegrali

eprasa.pl 78b78ef26b

POD JEGO PATRONATEM POWSTAŁO PONAD 30 WSPÓLNOT ORAZ RUCHÓW SPOŁECZNYCH. PARAFIA TĘTNIŁA ŻYCIEM

ks. Edward Frankowski i współpracujący z nim wikariusze, nad którymi parasol ochronny roztaczał ordynariusz diecezji przemyskiej bp Ignacy Tokarczuk. Po latach ks. Frankowski tak uzasadniał swoją postawę: „I właśnie nadarzył się taki czas w sierpniu 1988 r., kiedy trwały strajki w Stalowej Woli i trzeba było ludzi wesprzeć duchowo, moralnie i modlitewnie, a przede wszystkim być przy nich. Oni mogli i mieli prawo na mnie liczyć, dlatego też chciałem być im wierny".

Kiedy 25 sierpnia 1988 r. strajkujący przesłali do swego kapelana gryps z prośbą o wsparcie i pomoc, ks. E. Frankowski odpisał: „Kochani Bracia i Siostry! Przez żony Stasia Krupki i Franka Chudzika podaję wam wiadomość, że dzwoniłem do Episkopatu i p. mec. J. Ambroziak kazał was wszystkich poinformować, że rozmowy »trójki« rozpoczną się dziś albo jutro bez wstępnych warunków. Jeszcze dziś wieczorem zadzwonią w tej samej sprawie. Myślę, że p. Lechu też dziś poda komunikat. Słuchajcie. Czekajcie cierpliwie. Jeszcze dziś macie ok. 7 godzin na wyczekiwanie. Można o północy zawiesić strajk, jeśli taka będzie konieczność. Myślę, że to samo zrobi Gdańsk. Wspaniałe jest już to, co się stało w Załodze Huty. Najważniejsze, że w sercach prawie całej Załogi »Solidarność« zmartwychwstała! To było referendum za »Solidarnością«. To jest ważniejszy fakt niż cała legalizacja. Jesteście już związkiem, jak kościoły bez zezwolenia wybudowane są kościołami. »Solidarność« w Hucie Stalowa Wola zmartwychwstała!!! Zrobiliście wszystko wspaniale, co tylko dla sprawy mogliście. Pozdrawiam Was, x. Edward. »Solidarność« w hucie jest faktem, z którym wszyscy muszą się liczyć".

Biskup

Już od początku lat 80. XX w. do władz komunistycznych docierały pogłoski o możliwości biskupiej nominacji ks. Frankowskiego. Ostatecznie 17 stycznia 1989 r. otrzymał godność biskupa tytularnego Tigamibeny i przemyskiego biskupa pomocniczego. Zyskał wówczas miano biskupa „Solidarności". Uroczysta konsekracja odbyła się 5 marca 1989 r. w Stalowej Woli. Bp Frankowski został wikariuszem generalnym diecezji przemyskiej, zatrzymując zarazem dotychczasowy status proboszcza parafii pw. Matki Bożej Królowej Polski. Po reorganizacji struktur Kościoła w Polsce, 25 marca 1992 r. bp Frankowski powołany został na urząd biskupa pomocniczego diecezji sandomierskiej. Osiadł wówczas w stolicy diecezji. W 2005 r. uzyskał na Wydziale Nauk Społecznych KUL stopień doktora nauk społecznych. 11 listopada 2006 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył go Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski – „za wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za działalność na rzecz przemian demokratycznych w kraju, za upowszechnianie wiedzy o dziejach".

Zgodnie z normami prawa kanonicznego bp Edward Frankowski 6 października 2012 r. przeszedł na emeryturę. Jako biskup senior kontynuuje posługę duszpasterską w diecezji sandomierskiej. Swoją codzienną pracą, przykładem i głoszonym słowem zyskał powszechne uznanie duchownych oraz wiernych. Na polu patriotycznym widoczne jest jego zaangażowanie w dokumentowanie historii „Solidarności". Pomimo wielu zasług i wyróżnień bp Edward Frankowski pozostał człowiekiem skromnym, przystępnym, potrafiącym zrozumieć innych ludzi i uwarunkowania, w których żyją, odznaczającym się duszpasterską roztropnością. Często odwołuje się do spuścizny abp. Ignacego Tokarczuka, którego nazwał swoim „duchowym ojcem". W jednym z wywiadów przemyski ordynariusz tak scharakteryzował swego podwładnego: „Postrzegałem go jako człowieka niezwykle uzdolnionego, pełnego energii i poświęcenia, ofiarnego i otwartego na sprawy społeczne. Widziałem wielkie potrzeby w Stalowej Woli. To był taki punkt zapalny w rozrastającym się hutniczym mieście. Powiedziałem mu, żeby robił wszystko, co będzie służyło dobru Kościoła, społeczeństwa i Polski, a wszystkie jego inicjatywy będę popierać. A jeśli pojawią się jakieś trudności, to ma zwracać się do mnie. Liczyłem na to, że on się nie cofnie, wiedziałem, że jest odważny i dodatkowo będzie miał we mnie oparcie".

To niezwykle trafna opinia.

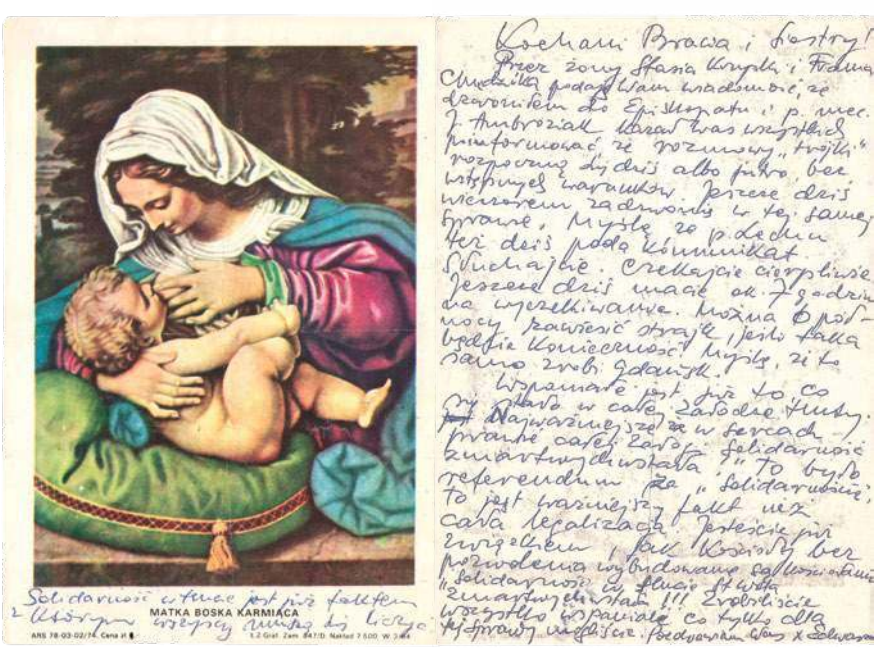

Odpowiedź ks. Frankowskiego na gryps strajkujących związkowców z 25 sierpnia 1988 r. z prośbą o wsparcie i pomoc kapelana

FOT. ZE ZBIORÓW STANISŁAWA KRUPKI (x4)

eprasa.pl 78b78ef26b

PAŁAC W BERLINIE, MAJĄTKI W WIELKOPOLSCE

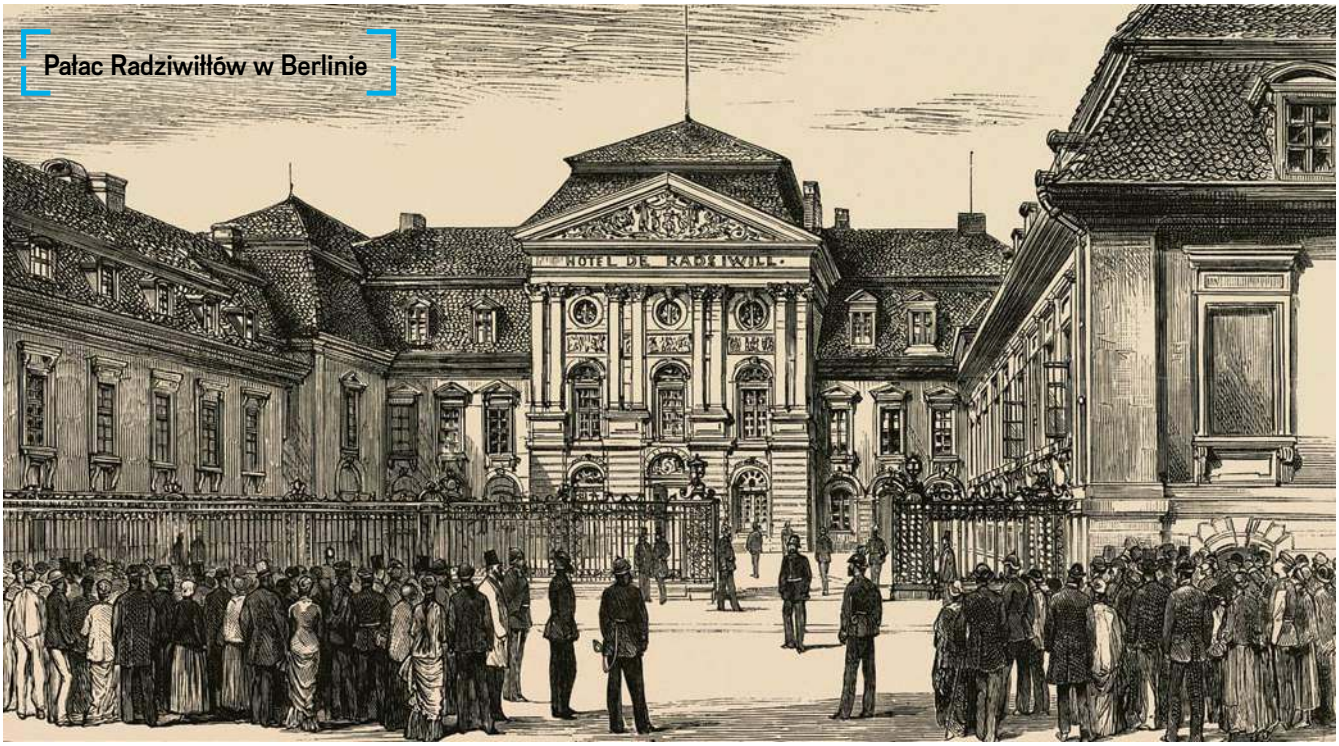

Pałac Radziwiłłów w Berlinie

FOT. EAST NEWS

„RODZINA ODKRYŁA, ŻE RADZIWIŁŁEM JEST SIĘ NAPRAWDĘ W PEŁNI TYLKO NA DAWNYCH ZIEMIACH PAŃSTWA JAGIELLONÓW" – NAPISAŁ MACIEJ RADZIWIŁŁ, ZNANY FINANSISTA I MECENAS KULTURY, ORGANIZATOR WYSTAWY „PAMIĄTKI Z PRZESZŁOŚCI 1796–1945" OPOWIADAJĄCEJ O DZIEJACH TZW. BERLIŃSKIEJ LINII RODU

JAROSŁAW KOSSAKOWSKI

Ekspozycja została przygotowana przy współpracy Muzeum w Nieborowie i Arkadii oraz Fundacji „Trzy Trąby" (herb Radziwiłłów). Prezentowane w pałacu w Nieborowie obiekty zdobiły niegdyś tę i inne radziwiłłowskie rezydencje: w Berlinie, Antoninie, Ciszycy, Nieświeżu i Ołyce.

Muzyka i sztuki piękne

Berlińską linię rodu Radziwiłłów zapoczątkowało zawarte w 1796 r. małżeństwo Antoniego Henryka, syna Michała Hieronima Radziwiłła i Heleny z Przeździeckich, z księżniczką pruską Fryderyką Luizą Hohenzollern, bratanicą króla Prus Fryderyka II Wielkiego. Antoni Henryk ur. w Wilnie w 1775 r. po studiach na Uniwersytecie w Getyndze zajmował ważne stanowiska w rządzie pruskim, m.in. był księciem-namiestnikiem autonomicznego Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Politykiem był jednak nieudolnym i jego sprzeciw wobec germanizacji Wielkopolski nie odnosił właściwie żadnych skutków. Był natomiast człowiekiem sztuki. Rysunku uczył go jeszcze w Polsce wybitny artysta Jan Piotr Norblin,

eprasa.pl 78b78ef26b

jego zaś talent muzyczny – biegle grał na wiolonczeli, harfie i gitarze – zaowocował nie tylko licznymi kompozycjami, ale również znaczącym mecenatem nad wieloma muzykami.

W berlińskim pałacu Radziwiłłów odbywały się cotygodniowe kameralne koncerty, często właśnie z udziałem księcia Antoniego i jego najbliższej rodziny. Uznanie jego talentu jako wiolonczelisty wyrażali najwybitniejsi kompozytorzy epoki. Ludwig van Beethoven poświęcił mu swoją „Uwerturę op. 115", Feliks Mendelssohn zaś „Kwartet fortepianowy op. 1". Także Fryderyk Chopin zadedykował Antoniemu Henrykowi Radziwiłłowi „Introdukcję" i „Poloneza op. 1 na wiolonczelę i fortepian" oraz „Trio op. 8 na skrzypce, wiolonczelę i fortepian". Działalność artystyczna Antoniego znalazła duże wsparcie w małżonce Luizie, która tak zapisała swoje pierwsze z nim spotkanie: „Młody zupełnie człowiek [Luiza była pięć lat starsza – przyp. J.K.] w mundurze maltańskim, bardzo przystojny, z regularnymi rysami twarzy, na której malowała się dobroć i słodycz. Kształty ciała i postawa znamionowały dobre pochodzenie".

Wilhelmstrasse 77 w Berlinie

Ojciec Antoniego Henryka, Hieronim Radziwiłł, przygotowując ślub syna, zakupił w Berlinie w 1795, czyli rok przed głośnym mariażem, efektowny, późnobarokowy pałac wzniesiony w pierwszych latach XVIII w. dla Carla Friedricha Richtera. Był to trzykondygnacyjny budynek o konstrukcji prostokątnej z wewnętrznym dziedzińcem i symetrycznymi skrzydłami połączonymi z kutym ogrodzeniem i dwiema wjazdowymi bramami. Bardzo szybko po wprowadzeniu się młodej pary do nowej siedziby pałac przy Wilhelmstrasse zyskał nazwę „pałacu Radziwiłłów" i na wiele lat stał się ośrodkiem życia muzycznego, naukowego, literackiego i teatralnego polskiej kultury.

Częstymi gośćmi u Radziwiłłów byli tak wybitni twórcy jak Johann Wolfgang Goethe, Fryderyk Chopin, Wilhelm i Aleksander Humboldtowie, Feliks Mendelssohn-Bartholdy, Karl Friedrich Schinkel. Spotykali się tu też polscy politycy z parlamentu pruskiego, prowadząc gorące dysputy poświęcone trudnej pozycji polskiej społeczności w pruskim zaborze. W pałacu przy Wilhelmstrasse wychowały się kolejne trzy pokolenia Radziwiłłów. Intercyza zawarta przy małżeństwie Antoniego Henryka Radziwiłła i księżniczki Luizy Hohenzollern głosiła, że ich córki mogą przyjąć wyznanie ewangelickie, natomiast synowie muszą być wychowani w wierze katolickiej.

W 1875 r. Radziwiłłowie sprzedali pałac przy Wilhelmstrasse Rzeszy Niemieckiej i po pewnej przebudowie stał on się siedzibą kanclerza Ottona von Bismarcka. W latach 30. XX w. pałac przejęli narodowi socjaliści, ostatnim zaś jego najemcą był Adolf Hitler, który po wybudowaniu nowej siedziby urzędu kanclerskiego urządził w byłym pałacu Radziwiłłów swoje prywatne mieszkanie. Znalazły się tu takie pomieszczenia jak salon Bismarcka, ogród zimowy i salon przyjęć nazywany „damskim" (Damen Salon). Były też sale posiedzeń, konferencyjne i apartamenty prywatne. W 1935 r. pod pałacem zbudowano „przeciwpancerne piwnice", których grubość ścian określił sam Hitler. W czasie bitwy o Berlin w kwietniu 1945 r. pałac przy Wilhelmstrasse został mocno zniszczony i w 1949 r. ruiny rozebrano na cegły.

PAŁAC PRZY WILHELMSTRASSE ZYSKAŁ NAZWĘ „PAŁACU RADZIWIŁŁÓW" I NA WIELE LAT STAŁ SIĘ OŚRODKIEM ŻYCIA MUZYCZNEGO, NAUKOWEGO, LITERACKIEGO I TEATRALNEGO POLSKIEJ KULTURY

Powroty do polskości

Pierwsze niesnaski i niechęci pomiędzy berlińskimi Radziwiłłami a pruską arystokracją wywołał nieszczęśliwy romans Elizy, córki Antoniego Henryka Radziwiłła, z księciem Wilhelmem, późniejszym cesarzem Niemiec. Obustronna wielka miłość mogła się zakończyć małżeństwem, gdyby nie dynastyczne obiekcje i opór pruskich polityków. Urażeni Radziwiłłowie nie wzięli udziału w zaślubinach Wilhelma z księżniczką wirtemberską i na kilka lat wynieśli się z Berlina do wielkopolskich majątków, m.in. w Ciszycy. Chora na gruźlicę Eliza Radziwiłłówna niedługo potem zmarła. Synowie Antoniego Henryka i jego wnuki z czasem odziedziczyli też niezwykle ważne dla rodu Radziwiłłów a leżące na terenach rosyjskiego zaboru dobra m.in. w Nieświeżu, Ołyce, Dawidgródku. W kolejnym pokoleniu wnuk Antoniego Antoni Wilhelm ożenił się z francuską arystokratką Marią de Castellane, która to będąc osobą niezwykle energiczną i zaradną, poważnie zajęła się radziwiłłowskimi, mocno zaniedbanymi zamkami i pałacami na Kresach Wschodnich. Dzięki swoim szerokim znajomościom na dworze cara Rosji Mikołaja II udało się jej odzyskać dziesiątki cennych dzieł sztuki i obiektów rzemiosła artystycznego zrabowanych przez Rosjan w 1813 r. Znaczna część tych właśnie eksponatów znajduje się dziś w Zamku Królewskim w Warszawie, gdzie stanowi liczący się fragment kolekcji Fundacji Ciechanowieckich.

„Kilka czynników spowodowało, że berlińscy Radziwiłłowie zaczęli nawiązywać coraz mocniej do dawnej tradycji rodziny związanej z I Rzecząpospolitą i dawnym Wielkim Księstwem Litewskim" – pisze Maciej Radziwiłł w katalogu wystawy w Nieborowie. „Elita pruska, z czasem niemiecka zazdrośnie spoglądała na bliskie relacje Radziwiłłów z dynastią Hohenzollernów i na wysoką pozycję rodziny, której tytuł książąt Rzeszy był znacznie starszy niż tytuły wielu innych ważnych rodzin niemieckich".

Związani z Kościołem rzymskokatolickim berlińscy Radziwiłłowie w kolejnych pokoleniach coraz częściej identyfikowali się z polską ludnością Wielkopolski, gnębioną przymusową germanizacją i pruskim kulturkampfem. Urodzony w 1880 r. jeszcze w Berlinie Stanisław Wilhelm Radziwiłł, by nie stracić wschodnich majątków, przyjął obywatelstwo rosyjskie i walczył w czasie I wojny światowej po stronie rosyjskiej. Pod koniec wojny poznał Józefa Piłsudskiego, którego osobowość go zafascynowała i którego został najbliższym »

eprasa.pl 78b78ef26b

>> adiutantem. Z całą mocą zaangażował się w odzyskiwanie przez Polskę pełnej niepodległości, potem bohatersko walcząc w wojnie polsko-bolszewickiej, poległ żołnierską śmiercią w 1920 r. w czasie bitwy pod Malinem. Pośmiertnie odznaczony został przez marszałka Józefa Piłsudskiego Krzyżem Virtuti Militari.

„Rodzina odkryła, że Radziwiłłem jest się naprawdę w pełni tylko na dawnych ziemiach państwa Jagiellonów, z którymi wiązały ją długie i bliskie relacje" – pisze dalej Maciej Radziwiłł. „Odradzająca się w 1918 r. Polska była, mimo ograniczeń, dziedzicem tej tradycji".

Myśliwski pałacyk w Antoninie

Do trwałych śladów działalności artystycznej Antoniego Henryka Radziwiłła należy dopisać wzniesiony myśliwski pałacyk w Antoninie (woj. wielkopolskie), w którym do dziś odbywają się imprezy Międzynarodowego Festiwalu „Chopin w barwach jesieni" upamiętniające koncertującego tu kilkakrotnie Fryderyka Chopina. Dwa parotygodniowe pobyty Chopina w Antoninie dziś przypomina także salonik muzyczny z instrumentami z epoki, obrazami i litografiami oraz odlewem dłoni naszego wybitnego kompozytora.

Niecodzienny drewniany budynek w głębi lasów zaprojektował słynny berliński architekt Karl Friedrich Schinkel (1781–1841), twórca m.in. pałacu arcybiskupów w Gnieźnie i licznych kościołów na Dolnym Śląsku. Budowla wzniesiona w latach 1821–1823 została skonstruowana na rzucie ośmiokąta, stanowiącego podstawę czterokondygnacyjnego korpusu głównego, od którego odchodziły cztery niższe, boczne skrzydła. Na wystawie w Nieborowie pokazany był m.in. staloryt na papierze z lat 1836–1837, przedstawiający wnętrze pałacu w Antoninie z monumentalną, stojącą na środku centralnego pomieszczenia budynku kolumną, podtrzymującą znajdujące się na wysokości trzeciego piętra sklepienie. Kolumna dekorowana myśliwskimi trofeami ukrywała w sobie przewód kominowy, trzypiętrowe wnętrze zaś obiegały balkonowe galerie z wejściami do niewielkich gościnnych apartamentów.

Ostatnim przedwojennym właścicielem Antonina był urodzony w Berlinie w 1870 r. Michał „Rudy" Radziwiłł, przez rodzinę uznany za niezrównoważonego, hazardzistę i człowieka bez większych zasad moralnych. Oprócz licznych głośnych romansów trzykrotnie się żenił, nie mając sądowych rozwodów i nawet myśląc w związku z tym o zmianie wyznania. Mieszkał głównie za granicą, a do jego najgłośniejszych wyczynów należało ofiarowanie myśliwskiego pałacyku w Antoninie... Adolfowi Hitlerowi. Hitler jednak daru nie przyjął, uważając, że i tak majątek Radziwiłła zostanie skonfiskowany na rzecz III Rzeszy. Po wojnie Michał „Rudy" Radziwiłł wrócił do jednej z wcześniejszych żon i zamieszkał w jej posiadłości na Teneryfie. Zmarł w wieku 85 lat.

Pałacyk w Antoninie

Wystawa w Nieborowie

Piękny, zawsze zadbany, barokowy pałac w Nieborowie k. Łowicza, wzniesiony został w latach 1690–1696 według projektu wybitnego architekta Tylmana z Gameren dla prymasa Polski Michała Radziejowskiego. W ręce rodu Radziwiłłów przeszedł w 1774 r. i w posiadaniu tej rodziny pozostał aż do końca II wojny światowej. Dziś jest tam muzeum, które stanowi oddział Muzeum Narodowego. Prezentowana w Nieborowie latem br. wystawa zatytułowana „Pamiątki z przeszłości 1796–1945" zgromadziła obszerny zbiór różnej rangi dzieł sztuki, rzemiosła artystycznego, fotografii i archiwalnych dokumentów związanych z ważnymi postaciami rodu Radziwiłłów oraz z należącymi do nich licznymi majątkami i rezydencjami.

Pałac w Nieborowie

Ekspozycja została tak zaaranżowana, by jej eksponaty wtopiły się w bogate wnętrza pałacowe i tworzyły atmosferę codziennego życia ich dawnych właścicieli. Dominowały oczywiście efektowne portrety różnych postaci rodu Radziwiłłów, niemniej można było zobaczyć i bogate zastawy stołowe, także ciekawe w formie tłoki pieczętne z radziwiłłowskimi herbami. Prawie wszystkie pokazane dzieła sztuki wypożyczone zostały od obecnie żyjących potomków dawnych właścicieli zamków i pałaców w Nieświeżu, Ołyce, Jadwisinie, Nieborowie. Część dzieł nabył w antykwariatach i domach aukcyjnych całej Europy główny organizator wystawy, wspomniany Maciej Radziwiłł. Cała wystawa w swoim zamyśle przypominała udział przedstawicieli rodu Radziwiłłów w odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (2X)

eprasa.pl 78b78ef26b

Koniec (pewnego) świata

MAREK JUREK

Upadek Konstantynopola niektórzy historycy przyjmują za cezurę odgraniczającą średniowiecze od czasów nowożytnych. Za przyjęciem tej daty nie przemawiają względy polityczne. Cesarstwo Wschodnie u końca swej historii było mało znaczącym państewkiem zhołdowanym przez Turcję. Jego upadek nie zmienił tak historii Zachodu i świata jak reformacja, odkrycie Ameryki czy wynalazek druku. Jednak był znakiem końca wieków wiary, w których Europa była zdolna do wielkich aktów solidarności chrześcijańskiej. Dla nas zawsze poruszające będzie wspomnienie Władysława III, który na ratunek wschodniego chrześcijaństwa poprowadził polsko-węgierską krucjatę.

Ten przełomowy wymiar upadku Konstantynopola dobrze ukazała Zofia Kossak-Szczucka w „Puszkarzu Orbano". W istocie bowiem jest to powieść o końcu świata, końcu pewnego świata i świata w ogóle. W perspektywie wiary każda bowiem cywilizacyjna katastrofa, począwszy od zburzenia świątyni jerozolimskiej, ma wymiar eschatologiczny: pokazuje kruchość bytu społecznego, zapowiada koniec historii, przypomina o Sądzie Ostatecznym i odpowiedzialności przed Bogiem. W tym sensie „Puszkarz Orbano" pokazuje zarodki upadku nowożytnego świata zawarte w samym jego początku, gdy obalał poprzednią epokę. W tym sensie ta książka jest jak glossa do „Syllabusa" błogosławionego Piusa IX.

Benedykt XVI mówił, że katolicyzm jest dziś nie tylko rzecznikiem prawdy o Bogu, ale również kompetencji ludzkiego rozumu, jego zdolności do refleksji nad tym, co uniwersalne, i do zrozumienia samego siebie, własnych granic. Tylko taki rozum jest w stanie twórczo rozwijać naukę. Oderwana od moralnej odpowiedzialności, zafascynowana swoimi kompetencjami, żyjąca w świecie abstrakcji, nauka staje się bowiem narzędziem swoich sponsorów, czyli najczęściej tyranów. To oni doceniają jej magiczne możliwości, chcą niemożliwego najpierw fizycznie, a potem i moralnie, więc – niedopuszczalnego. Nauka, zafascynowana własną prometejską wolnością, im to daje.

Katolicyzm jest rzecznikiem kompetencji ludzkiej rozumu, jego zdolności rozpoznawania przyczyny i celowości naszego istnienia, jego wspólnego celu, dobra wspólnego poszczególnych narodów i również ich wspólnot. Tę problematykę znajdziemy także w bizantyjskiej powieści Zofii Kossak-Szczuckiej. Pokazuje ona świat, który znamy: z jednej strony naród, który nie chce się bronić, przekonany o doskonałości własnej cywilizacji, wierzący, że życie toczy się siłą bezwładu. Z drugiej – rodzące się egoizmy polityczne, politykę w służbie siły, głuchą nie tylko na cudze nieszczęścia, ale również na rosnące zagrożenia. I wreszcie islam. Silny swymi naturalnymi, a właściwie naturalistycznymi właściwościami, spragniony władzy, gotów zdobywać świat. Czy nas to wszystko raz jeszcze czeka?

Znakiem nadziei, nigdy niegasnącej, jest Kościół. Nie ten socjologiczny, reprezentowany przez zaślepionych antyzachodnią obsesją greckich mnichów. Ale Kościół Powszechny, modlący się, broniący ludu, reprezentowany w powieści przez patriarchę Sergiusza i kardynała Izydora, dwie piękne typiczne postaci dawnych biskupów, z czasów kiedy dla książąt i baronów Kościoła były jedynie dwie praktyczne drogi: mistyka i polityka, najlepiej realizowane łącznie.

Kardynał, widząc narastającą grozę islamskiego najazdu, nie odwraca oczu od rzeczywistości, nie wzywa do dialogu, nie wykręca się „posługą jednania". Po prostu przygotowuje obronę, przypomina o niej w porę i nie w porę, nawet w chwilach złudnej nadziei na pokój uczy o jej moralnej konieczności. Nie dystansuje się od nieuchronności fizycznej walki, towarzyszy jej i płaci jej cenę.

„Upadek Konstantynopola" – fragment panoramy w Muzeum Wojska w Stambule

Patriarcha w chwili końca swego świata odprawia mszę, w jedności z Kościołem Powszechnym. „Nie dojrzał nikt chwili jego zgonu. Nie wiadomo, czy [...] z tymi dłońmi błogosławiącymi uleciał w niebo istotnie lub może ściana się za nim rozwarła i pochłonęła, ściana, na której wyobrażona była Mądrość Boża".

Literatura niewiele może. Ale może otwierać oczy i budzić sumienia. Jeśli trafi do właściwych czytelników. Warto ocalać ją od zapomnienia.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 78b78ef26b

Eliminacje do mistrzostw świata w Szwecji 1958, mecz Polska–ZSRS (0:2), Lipsk, 24 listopada 1957 r. Lucjan Brychczy w starciu o piłkę

FOT. EUGENIUSZ WARMINSKI / EAST NEWS

BOLSZEWIKA BIJ!

W OKRESIE POLSKI LUDOWEJ ZMAGANIA SPORTOWE DAWAŁY POLAKOM SZANSĘ NA ZADEMONSTROWANIE SWEGO STOSUNKU DO SĄSIADÓW ZZA BUGA, CZYLI ZWIĄZKU SOWIECKIEGO. BYŁ ON OCZYWIŚCIE ZUPEŁNIE INNY NIŻ „BRATNIA PRZYJAŹŃ" OPIEWANA W PEERELOWSKIEJ PROPAGANDZIE

eprasa.pl 78b78ef26b

GRZEGORZ MAJCHRZAK

Sowieci – delikatnie rzecz ujmując – nie byli darzeni specjalną sympatią. Nic zatem dziwnego, że np. wszyscy tak chętnie uwierzyli w legendę, iż znakomity kolarz Stanisław Królak miał w czasie jednego z etapów Wyścigu Pokoju – imprezy wręcz kultowej przed 1989 r. – potraktować kolarzy reprezentacji Wielkiego Brata pompką w tunelu prowadzącym na stadion, na którym znajdowała się meta. Nic też dziwnego, że podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. polscy kibice – zresztą wcześniej specjalnie dobrani, wyselekcjonowani – mieli w manifestacyjny wręcz sposób dopingować przeciwników Związku Sowieckiego. Czasami zresztą dochodziło z powodu tej niechęci do sytuacji wręcz kuriozalnych. Tak było np. podczas eliminacji do piłkarskich mistrzostw Europy w 1984 r. we Francji. 28 października 1983 r., nieco ponad trzy miesiące po formalnym zniesieniu stanu wojennego, kiedy Polska grała na stadionie olimpijskim we Wrocławiu z Portugalią, większość widzów (o dziwo) dopingowała gości. Powód był prosty – zwycięstwo zespołu portugalskiego zmniejszało szansę na awans Związku Sowieckiego, który musiał wygrać mecz wyjazdowy w Porto, a Polacy po fatalnych kwalifikacjach o występie we Francji nie mieli nawet co marzyć... Do dziś zresztą wiele osób jest przekonanych, że nasi – zresztą wbrew ich zapewnieniom – przegrali wówczas z Portugalczykami celowo.

Piłka i boks

Duże emocje towarzyszące zmaganiom polsko-sowieckim owocowały również listami do polskich mediów, w których je komentowano. Tak było np. w 1953 i w 1957 r., w dwóch można rzec krańcowo różnych przypadkach. Pierwszym były mistrzostwa Europy w boksie, które odbywały się od 17 do 24 maja 1953 r. w Warszawie i do dziś pozostają największym sukcesem w historii tej dyscypliny w naszym kraju. Drugim – mecz barażowy reprezentacji Polski ze Związkiem Sowieckim w ramach eliminacji do mistrzostw świata w piłce nożnej w 1958 r. w Szwecji, rozgrywany na „neutralnym" terenie w Lipsku, czyli w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Polacy, którzy wcześniej niespodziewanie pokonali „Sborną" u siebie – dzięki dwóm bramkom „śląskiego łącznika", czyli Gerarda Cieślika – po porażce 0:2 w dniu 24 listopada 1957 r. pożegnali się z marzeniami o występie w mundialu. W obu przypadkach kibice napisali do Polskiego Radia przynajmniej kilka listów. Listów utrzymanych – ze względu na wyniki – w różnym tonie. Łączyły je dwa szczegóły. Po pierwsze, były one – z jednym wyjątkiem – anonimowe. Po drugie, przebijał z nich co najmniej dystans do sowieckich czempionów, których zresztą określano m.in. mianem bolszewików.

Podczas mistrzostw Europy w boksie rozgrywanych w Hali Gwardii reprezentanci Polski wywalczyli medale: pięć złotych, dwa srebrne i dwa brązowe, a jedynie jednemu naszemu bokserowi nie udało się stanąć na podium. Polacy wygrali też klasyfikację drużynową, wyprzedzając Związek Sowiecki, którego pięściarze zdobyli „zaledwie" dwa złote, dwa srebrne i trzy brązowe medale. Mimo tego polska prasa dzień po zakończeniu imprezy komentowała: „Zwycięstwo radzieckiej szkoły boksu"... Do tego odnosił się nadawca listu ze Szczecina z 30 maja 1953 r., który podpisał się krótko „Patriota". Pisał on – w imieniu własnym i zapewne większości Polaków – „Jesteśmy szalenie zadowoleni z naszych bokserów, mamy przecież pięciu mistrzów Europy". I dodawał: „Sukces ten prasa ocenia, jako sukces szkoły radzieckiej. A czy to jest faktem?". Od razu zresztą odpowiadał na swoje pytanie: „Boks w Polsce był na pierwszym miejscu w Europie i do 1939 r., i teraz. Nie jest to wcale szkoła radziecka. Jest to szkoła polska, jest to szkoła [Feliksa] Stamma". I ponownie pytał: „Dlaczego nie widzimy sukcesów, naszych tradycji, czyż nie mamy u nas zdolnych ludzi?". I dodawał ironicznie: „Każdy sukces Polaka w życiu kraju to szkoła radziecka. W krótkim czasie będzie prasa pisać, [że] M[ikołaj] Kopernik, [Adam] Mickiewicz to szkoła radziecka"...

Chychła lepszy...

Inne osoby odnosiły się do konkretnych pojedynków polsko-sowieckich i do werdyktów, jakie później zapadały. Autor listu z Gliwic z 29 maja, który – jak twierdził – pisał w imieniu pracowników Huty 1 Maja w tym mieście – był wyraźnie wzburzony werdyktem, jaki zapadł w przypadku walki sprzed tygodnia. W półfinale mistrzostw spotkali się Aleksy Antkiewicz (wicemistrz olimpijski z Helsinek sprzed roku) oraz reprezentujący Związek Sowiecki Władimir Jengibarian. Sędziowie przyznali zwycięstwo temu drugiemu. Autor listu pytał: „Ciekaw jestem, jacy to byli sędziowie, co wygrali ten mecz. Co za narodowości i czy to partyjni[a]ki? Może ci sami, co ukradli zwycięstwo [Laszlo] Pappowi. Czemu nie sędziowali spotkań Polaków z bolszewikami Francuzi, Włosi, Szwajcarzy czy Irlandczycy?". Krytykował on Polskie Radio za nietransmitowanie momentu ogłaszania werdyktu. Przyczyna była dla niego oczywista. „Baliście się tych protestów publiczności, żeby nie słyszała i Polska i zagranica". Jak zresztą dodawał, po poinformowaniu o porażce Polaka „cała grupa przy głośniku miała łzy w oczach". Na koniec – w imieniu swoim i kolegów – stwierdzał: „My, cała Huta 1 Maja, proletariusze – sportowcy, domagamy się, aby Jengibarianowi dać zwycięstwo, jak sobie zasłuży, a to, które otrzymał, niech czym prędzej odda i niech Antkiewicz walczy w finale". Oczywiście tak się nie stało – reprezentant Związku Sowieckiego zdobył ostatecznie złoty medal, a Polak musiał się zadowolić brązowym.

Propagandowa lipa

Z kolei autor, który podpisywał się jako „Rozgoryczony" i wysłał swój list z Warszawy 3 czerwca 1953 r., stwierdzał, że oburzyła go „do głębi" notatka „Expressu Wieczornego" z 25 maja. Stwierdzano w niej: „Mamy zastrzeżenia do zwycięstwa [Zygmunta] Chychły..., naszym zdaniem rzeczywistym zwycięzcą był zawodnik radziecki – [Siergiej] Szczerbakow". Tak na marginesie podobnego zdania byli polscy działacze, którzy zaraz po walce mieli bezskutecznie zaprotestować... Nie trzeba chyba dodawać, że Polacy obserwujący walkę bezpośrednio lub słuchający transmisji radiowej, byli odmiennego zdania. Wracając do „Rozgoryczonego", to twierdził on: „Odniesione przez naszych pięściarzy sukcesy były wielkim przeżyciem dla każdego Polaka, posiadającego odrobinę chociażby patriotyzmu". I dodawał: „Jestem robotnikiem, pracuję w produkcji, ponadto [jestem] członkiem PZPR »

eprasa.pl 78b78ef26b

>> i przodownikiem pracy. Nie mogłem się zdobyć na bezpośrednią obserwację zawodów ze względów materialnych. Siedziałem więc w domu, z głową w radioodbiorniku i łykałem chciwie każdy meldunek... Aż wreszcie doczekałem się ostatniej walki pomiędzy Chychłą i Szczerbakowem... Nie uroniłem ani jednego słowa sprawozdawcy radiowego z przebiegu tej decydującej walki. Ze sprawozdania tego wynikało (co zgodne jest zresztą z wypowiedziami naocznych świadków tego spotkania), że Chychła przez cały czas górował nad swoim przeciwnikiem technicznie i taktycznie... Sędziowie orzekli zdecydowane zwycięstwo naszego boksera". Stwierdzał przy tym: „Byłem i jestem dumny z wielkiego sukcesu odniesionego przez polskich pięściarzy i oto znalazł się ktoś, kto usiłuje wmówić w żyjący jeszcze myślą o tym sukcesie naród, że sukces ten jest niesprawiedliwy, że zwycięstwo polskich sportowców było połowiczne, a przewaga nasza nieznaczna". I dodawał: „Wiem, że narodowi radzieckiemu i jego armii zawdzięczamy wiele..., ale nie możemy być przesadni w uznawaniu narodu radzieckiego jako narodu »nadludzi«. Śmieszne jest wspominać, że odnosimy sukcesy w boksie dzięki socjalistycznemu doświadczeniu radzieckich bokserów, od których się »uczymy«. Znaczy to mniej więcej, że uczeń wyprzedził mistrza, a mistrz zamiast iść naprzód, »cofa się wstecz«". Jak przy tym twierdził: „Sukcesy naszego boksu to zasługa nie boksu radzieckiego, lecz zasługa Państwa otaczającego troskliwą opieką naszych sportowców, zasługa naszych trenerów i wreszcie ambicja i patriotyzm naszych reprezentantów". I zauważał: „Nieopatrzne śpiewanie hymnów pochwalnych radzieckiemu przodownictwu przynosi w tym wypadku szkodę pięściarzom radzieckim, a nam niesmak i rozgoryczenie... Wiem, że stwierdzicie, że stawianie pierwszeństwa narodu radzieckiego przed innymi ma cel propagandowy. Ale nie sprzyja on pogłębieniu pochlebnego stosunku do Związku Radzieckiego. Przyzwyczailiśmy się już dostrzegać poza reklamą rzeczywistość. Ta trąba propagandy, nieprzemyślanej, a gorliwej, chwilami dziecinnie naiwnej, sprawiła, że każde posunięcie naszych i radzieckich czynników politycznych i społecznych przyjmowane jest przez nas prosty, lecz niegłupi naród machnięciem ręki i określeniem »lipa«".

Tak na marginesie list ten – zapewne ze względu na końcowe uwagi – wysłano do Stefana Staszewskiego, kierownika Wydziału Prasy, Wydawnictw i Radia Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

„BALI SIĘ STRZELAĆ BRAMKI BOLSZEWIKOM, BO STRZELĄ IM Z TYŁU W ŁEB, TAK JAK STRZELALI DO OFICERÓW POLSKICH W KATYNIU"

„Kłamstwo szyte tak znacznymi nićmi"

W innym tonie utrzymane były listy wysłane pod koniec 1957 r., ale jest to zrozumiałe. Tym razem polscy sportowcy – w tym przypadku piłkarze – przegrali ze Związkiem Sowieckim. Temu spotkaniu towarzyszyły kontrowersje – od wyboru miejsca rozegrania po postawę naszych reprezentantów, trenerów i działaczy. Tą pierwszą kwestią zajął się – w liście z 27 listopada – Józef Kraskowski z miejscowości Pokrzywnica. Pisał: „Radio informowało o rozpoczęciu się rozmów w sprawie wyznaczenia miejsca trzeciego spotkania piłkarskiego Polska – ZSRS. Późnym wieczorem radio zakomunikowało, że narady się przedłużają, że nie można rozstrzygnąć, czy spotkanie odbędzie się w Belgradzie czy w Lipsku. W świetle poprzednich informacji prasowych jasnym było, że Polska obstaje przy Belgradzie, a ZSRS przy Lipsku. Gdy zapadło rozstrzygnięcie na korzyść Lipska, każdemu było wiadomo, że Polska ustąpiła Zw[iązkowi] Radzieckiemu. Nic w tym nie było ubliżającego dla Polski, ani ZSRS". I pytał: „Po co więc był potrzebny kłamliwy komentarz, że na wybór Lipska wpłynęły niezadowalające warunki finansowe, oferowane przez Jugosławię? Komu potrzebne to kłamstwo i to szyte tak znacznymi nićmi?" [pisownia oryginalna – przyp. red.].

Z kolei nadawca listu z Legnicy, podpisujący się „Grono", informował: „Jako nauczyciel jestem zobowiązany odpowiadać młodzieży na pytania. Pytań tych jest dużo i o różnych tematach". I dodawał, że wśród nich było m.in.: „Ile piłkarze polscy wzięli rubli od piłkarzy radzieckich, za to by dać wygrać mecz piłki nożnej w Lipsku drużynie radzieckiej?". Zaznaczał, że jego uczniowie mówią, iż „Lipsk – to targowica, że piłkarze polscy zdradzili swój naród za pieniądze. Inni mówią, że się bali strzelać bramki bolszewikom, bo za strzelenie bramki strzelą im z tyłu w łeb, tak jak strzelali do oficerów polskich w Katyniu". A nawet: „Dalej [mówią], że w takiej wolnej Ojczyźnie jak Polska, szkoda uczyć się i pracować, bo cały dorobek narodu szedł i idzie do dyspozycji pierw [Józefa] Stalina, obecnie [Nikity] Chruszczowa". I prosił – w imieniu swoim, swoich uczniów oraz uczniów z innych szkół Dolnego Śląska – „o wyjaśnienie co było powodem przegrania meczu i jak wygląda sytuacja w chwili obecnej".

Podobny w wymowie był list „Kibica ze Śląska" z 28 listopada 1957 r. Pytał on: „Dlaczego myśmy tak darmo ten mecz sprzedali?". Przy czym oskarżał nie tyle samych piłkarzy, ile raczej trenerów, działaczy sportowych, a nawet władze PRL: „Dlaczego nie dopuścili tych dwóch chłopaków ze Śląska – to jest [Romana] Lentnera i [Ernesta] Pohla, bo u nas to już w tej Polsce Ludowej tak jest, że nie dość żeśmy ZSRS dawali węgiel za darmo i inne materiały, to nareszcie żeście się dali przekupić, żebyśmy ten mecz przegrali. To było już naprzód zrobione". I na zakończenie stwierdzał: „Na następny mecz nie damy Wam żadnego gracza, szkoda naszych chłopców, co wam pokazał Baśka [Krzysztof Baszkiewicz – przyp. autora], na pewno Lentner by zrobił 100 procent więcej, ale kap. [Henryk] Reyman [trener reprezentacji – przyp. autora] się bał, żeby Polska [nie] wygrała".

Cóż, w przypadku każdego sportowca i jego trenerów obowiązuje bezwzględna zasada – jesteś tak dobry, jak twój ostatni wynik. A kibice zwycięzców – szczególnie prestiżowych pojedynków – noszą na rękach, w przypadku zaś porażek zaczynają szukać przyczyn i rozliczać winnych... ■

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

eprasa.pl 78b78ef26b

Klaudiusz Hrabyk

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

W KOŃCU WRZEŚNIA 1959 r. KLAUDIUSZ HRABYK, ZNANY PUBLICYSTA I DZIAŁACZ EMIGRACYJNY, WRÓCIŁ NA STAŁE DO POLSKI. PO POWROCIE DO KRAJU SPECJALIZOWAŁ SIĘ W OSZCZERCZYCH ATAKACH NA WYCHODŹSTWO

KRZYSZTOF TARKA

Klaudiusz Hrabyk urodził się w 1902 r. we Lwowie. W wieku 18 lat wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej, a następnie jako ochotnik w III powstaniu śląskim. Podczas studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim związał się z ruchem narodowym. Był działaczem Młodzieży Wszechpolskiej, Obozu Wielkiej Polski i Stronnictwa Narodowego. Na łamach endeckiego „Słowa Polskiego" i „Kuriera Lwowskiego" »

PASZKWILANT HRABYK

eprasa.pl 78b78ef26b

namiętnie krytykował działania sanacji. W 1934 r. dokonał politycznej wolty i wraz z grupą działaczy Związku Młodych Narodowców przystąpił do obozu rządowego. Podczas II wojny światowej przebywał w Warszawie. Był jednym z przywódców konspiracyjnego Obozu Polski Walczącej. Kierował Wydziałem Propagandy i Prasy tej piłsudczykowskiej organizacji. W styczniu 1945 r. wyruszył do Niemiec w poszukiwaniu żony, wywiezionej po powstaniu warszawskim do obozu pracy.

Ostateczna wolta

Przez kilka lat redagował tygodnik „Kronika" wydawany we Frankfurcie n. Menem, został również prezesem piłsudczykowskiej Ligi Niepodległości Polski na terenie Niemiec Zachodnich. W 1949 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Za oceanem był współzałożycielem LNP w USA i niezwykle płodnym publicystą politycznym. Pisał do „Dziennika Polskiego" w Detroit i „Nowego Świata" w Nowym Jorku. Sam redagował dwutygodnik „Sprawa Polska". Jego artykuły pojawiały się również na łamach paryskiej „Kultury" czy londyńskich tygodników „Orzeł Biały", „Wiadomości" i „Życie". Hrabyk jako orędownik akcji zjednoczeniowej stał się jednym z najbliższych współpracowników gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Opowiadał się też za współpracą z emigracją ukraińską.

Postępujący kryzys i wewnętrzne rozbicie wychodźstwa, rozczarowanie polityką Zachodu oraz nadzieje na liberalizację sytuacji w kraju doprowadziły go do kolejnej wolty politycznej. W połowie lat 50. Hrabyk coraz wyraźniej opowiadał się za zmianą stosunku wychodźstwa do krajowej rzeczywistości. Jesienią 1956 r. zerwał z emigracją niepodległościową i nawiązał kontakt z ambasadą PRL w Waszyngtonie. Niejasne są również jego powiązania z komunistycznymi tajnymi służbami. W latach 1957–1959 dwukrotnie przez kilka miesięcy przebywał w Polsce. Ostatecznie we wrześniu 1959 r. wrócił do kraju na stałe. Został redaktorem naczelnym Krajowej Agencji Informacyjnej. Choć nigdy nie wstąpił do PZPR, oddał swoje cięte pióro na potrzeby walki propagandowej z emigracją. Pod własnym nazwiskiem i różnymi pseudonimami atakował wychodźstwo na łamach prasy krajowej, ale przede wszystkim w wydawanym w Szwecji piśmie „Nasz Znak" i londyńskiej „Kronice". Oba tytuły udawały czasopisma emigracyjne, w rzeczywistości finansowane były przez wywiad komunistyczny, a Hrabyk stał się jednym z ich najważniejszych publicystów.

Mikołajczyk – samo zło

Pod pseudonimem Tadeusz Mateja Hrabyk opublikował w wydawnictwie „Nasz Znak" w Szwecji dwie broszury szkalujące prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego Stanisława Mikołajczyka i redaktora „Kultury" Jerzego Giedroycia. Redaktor „Naszego Znaku" Waldemar Sobczyk, początkowo był działaczem PSL w Szwecji. Po nawiązaniu współpracy z wywiadem PRL stał się jego zajadłym krytykiem. Paszkwil na Mikołajczyka miał dyskredytować prezesa PSL i podważać jego autorytet w szeregach ludowców na emigracji.

W liście do Hrabyka z początku listopada 1963 r. Sobczyk sugerował: „Dobrze byłoby, gdyby broszura zawierała silne podkreślenie zdrady przez Mikołajczyka ideałów chłopskich, jego przejście (jeśli w ogóle takie było) z pozycji ludowych na pozycje obrony wielkich kapitałów. Niech to chłopski czytelnik sobie przetrawi". Broszura „Dzieje grzechu Stanisława Mikołajczyka" ukazała się ostatecznie na początku 1964 r. Sobczyk był bardzo zadowolony z dziełka. Pisał do Hrabyka: „Całość opracował Pan wspaniale". Planował też zwiększenie nakładu z 3 do 5 tys. egz.

Na tle emigracyjnych polityków – przekonywał w broszurze Hrabyk – Mikołajczyk był postacią szczególnie pożałowania godną. „Drogą karygodnych matactw" ten „nieuk polityczny, wzorowy ignorant i parafialny prezes kółek rolniczych" w okresie II wojny światowej dostał się na sam wierzchołek polskiego kierownictwa politycznego: „działacz nieposiadający najmniejszej praktyki politycznej o szerszym zasięgu przynajmniej polskim przed wojną; niemający żadnego doświadczenia w dziedzinie rządzenia państwem i niestykający się nigdy przedtem z poważnymi problemami ogólnopaństwowej polityki, a tym bardziej z wielkimi zagadnieniami polityki międzynarodowej, nagle – na najtrudniejszym i najcięższym zakręcie okresu drugiej wojny światowej – zostaje premierem rządu i partnerem Churchilla, Roosevelta i Stalina".

Hrabyk sugerował, że już przed II wojną Mikołajczyk miał „dziwne koneksje" z sanacyjnym reżimem, kompromitujące opozycyjnego polityka. Jeszcze w końcu lat 20. miał kupić po znacznie zaniżonej cenie należące do skarbu państwa poniemieckie gospodarstwo w Wielkopolsce, a kilka lat później rozpoczął budowę luksusowej willi w Poznaniu „i nikt z ówczesnych sanacyjnych rządców Polski nie interesuje się tą zawrotną, finansową i majątkową karierą bądź co bądź działacza partii opozycyjnej". We wrześniu 1939 r. – pisze Hrabyk – Mikołajczyk „wspólnie z dygnitarzami sanacyjnymi, ucieka z kraju, pozostawiając chłopów polskich ich własnemu losowi". Nieszczęście i tragedia Polski otworzyły przed nim widoki, o których „dotychczas nie śniło się temu prowincjonalnemu groszorobowi, żerującemu na ruchu ludowym".

Autor broszury przekonywał, że po katastrofie w Gibraltarze to Anglicy narzucili Polakom kandydaturę Mikołajczyka na premiera. Nie działali jednak pod wpływem zachwytu nad jego geniuszem: „Po prostu wytypowali go jako najbardziej powolne i podatne narzędzie dla swoich planów, dostatecznie już przedtem wypróbowane i gwarantujące polityce brytyjskiej niezawodne poparcie. Stawiając na tego konia, Anglicy bez pudła wiedzieli, że pójdzie on posłusznie pod brytyjskim dżokejem i dojdzie do celu przez niego zamierzonego".

Winien wszystkiemu

W 1945 r. Mikołajczyk wrócił do kraju jako „agent polityczny Churchilla". Próbował oszukać Stalina, usiłując go „podejść i zastosować dywersję w nowo utworzonym państwie". Oszukał również społeczeństwo polskie, „bałamucąc je wizją konfliktu i wojny, która zmieni rzekomo sytuację w Polsce i doprowadzi do usunięcia komunistów". Także za terror UB odpowiadał prezes PSL: „Gdyby nie ówczesna akcja Mikołajczyka – tłumaczył Hrabyk – bezpieka nie posiadałaby aż tylu motywów do swojej kontrakcji". Przywódca ludowców „świadomie przyłożył rękę do tego, aby rozpętać awanturę i wpędzić społeczeństwo w wojnę domową". Ale to jeszcze nie koniec ciemnych plam na życiorysie Mikołajczyka. Hrabyk wytykał mu również „szalbierstwa, matactwa i kradzież publicznych pieniędzy". Prezes nie rozliczył się z blisko 400 tys. dolarów przeznaczonych na działalność PSL. Jako polityk „nie chciał i nie potrafił uszanować zasad demokracji". Ten „niepoha-

eprasa.pl 78b78ef26b

mowany, bezwzględny uzurpator", pełen „nienasyconej żądzy władzy" traktował nawet swoich najbliższych współpracowników jak „chłopców na posyłki".

Mikołajczyk zdradził także demokrację, stając się „najmitą koncernów kapitalistycznych". Przez kilkanaście lat oszukiwał nawet swoich amerykańskich chlebodawców. Posługując się tytułem „rzekomego rzecznika mas chłopskich w Polsce, a także polskiego społeczeństwa, nie posiada od dawna żadnego zaplecza ani wśród chłopów, ani wśród reszty narodu w kraju". W działalności publicznej „interesowały go tylko pieniądze, a nie ludzie, a tym bardziej nie cele polityczne i zasady". W biografii Mikołajczyka nie zabrakło również afery o erotycznym charakterze.

Jeden z rozdziałów broszury Hrabyk poświęcił działalności dwóch „asów gangu Mikołajczyka": Stanisława Kota i Franciszka Wilka. Prezes PSL – konkludował Hrabyk – „jak zły duch i widmo namazane piętnem rozkładu i powszechnego przekleństwa straszy na rozdrożach losu polskiego i takim utonie w niepamięci pokoleń". Obszerne fragmenty broszury na emigracji przedrukowała sympatyzująca z władzami PRL prasa „prokrajowa": redagowana przez Bolesława Świderskiego „Kronika" oraz „Oblicze Tygodnia" Karola Lewkowicza. Mimo prób ośmieszania i zohydzania Mikołajczyk pozostał jednak jednym z najbardziej znanych polityków emigracyjnych.

Przeciw Giedroyciowi

W pierwszych dniach marca 1965 r. Sobczyk otrzymał maszynopis nowej broszury Hrabyka, tym razem atakującej redaktora „Kultury" paryskiej Jerzego Giedroycia. „Całość przeczytałem – dobra, bardzo dobra! Niewątpliwie będzie to istna bomba dla poniektórych" – pisał zadowolony redaktor „Naszego Znaku". Planował wydanie broszury na początku kwietnia.

Sensacyjny tytuł opracowania „Podwójne życie Jerzego Giedroycia" miał działać na emocje i wzbudzać zainteresowanie potencjalnego czytelnika. „Prześwietlając" biografię Giedroycia z okresu, gdy był prywatnym sekretarzem ambasadora Rogera Raczyńskiego w Bukareszcie (1939–1940), Hrabyk oskarżył go o „dwójkarskie" powiązania i rolę sanacyjnej „wtyczki". Najpoważniejszy zarzut dotyczył jednak udziału Giedroycia we „wręcz niewiarygodnych, kryminalnych aferach organizowanych na terenie Rumunii" i „grabieży mienia państwowego". Dramatyczna dla kraju i tysięcy uchodźców sytuacja posłużyć miała grupie aferzystów z Giedroyciem na czele do „zorganizowania dochodowych interesów i przysporzenia sobie znacznych fortun". Hrabyk zarzucił Giedroyciowi, że ten wykorzystując swoją pozycję i stworzoną przez wojnę koniunkturę, pośredniczył w sprzedaży za pieniądze tzw. not werbalnych, ułatwiających ich posiadaczom uzyskanie zagranicznych wiz. W tym celu założyć miał „regularny gang". Jeszcze większe profity przynosić miały „prowizje" z pieniędzy przesyłanych na rzecz konspiracji w kraju. Władze rumuńskie nieprzypadkowo aresztowały również kilku urzędników ambasady w Bukareszcie, którzy orientowali się w przestępczej działalności Giedroycia. Dla uwiarygodnienia oskarżeń Hrabyk odwoływał się do rządowych dokumentów. Z cytowanych fragmentów nie wynika jednak, aby Giedroyc zamieszany był w „aferę", a zwłaszcza aby osobiście czerpał jakiekolwiek korzyści finansowe. Brak „twardych" dowodów przestępstwa miał wynikać z zakulisowych metod działania bohatera broszury, który skupiając faktycznie w ręku wszystkie nici „afery", otoczył się innymi osobami chroniącymi go przed odpowiedzialnością. Hrabyk nie miał jednak wątpliwości, że Giedroyc „był na pewno genialnym organizatorem sieci aferzystów i przestępców żerujących na żywym ciele masy uchodźczej w Rumunii". Zarzuty natury kryminalnej kompromitować miały pod względem moralnym redaktora paryskiej „Kultury". Autor paszkwilu nie ukrywał zresztą rzeczywistego celu, jakiemu służyć miało odsłonięcie kulis „afery" sprzed lat. W zakończeniu broszury Hrabyk pytał retorycznie: „Czy rzeczywiście człowiek, który – przez cały czas prowadząc podwójne życie – ma na sumieniu poważne zarzuty natury przestępczej [...] może i powinien zajmować w życiu emigracyjnym tak wysoki szczebel społeczny? Konkretnie, czy może i powinien Jerzy Giedroyc być wydawcą i redaktorem »Kultury«?".

PASZKWIL NA MIKOŁAJCZYKA MIAŁ GO DYSKREDYTOWAĆ I PODWAŻAĆ JEGO AUTORYTET NA EMIGRACJI

Fiasko paszkwilu

Nowy paszkwil Hrabyka nie wywołał już takiego zainteresowania jak broszura o Mikołajczyku. Redaktor „Naszego Znaku" liczył się nawet z finansową stratą. Na emigracji temat podjęło jedynie „Oblicze Tygodnia". Pośrednio do zarzutów Hrabyka odniósł się również Juliusz Mieroszewski, wspominając o nagonce w prasie i broszurach przeciwko „Kulturze". Publicysta paryskiego miesięcznika dodał: „Walka przeciw nam [„Kulturze"] ostatnio wzrosła na sile, nie cofając się przed użyciem kalumnii". Natomiast przemilczenie „afery" przez samego Giedroycia bardzo irytowało Hrabyka.

W artykule wstępnym w ostatnim numerze „Naszego Znaku" z maja 1967 r. Hrabyk, wracając do „sprawy Giedroycia", ponownie utyskiwał, że mimo „szerokiego zainteresowania" opinii publicznej oskarżony zbył jego broszurę milczeniem i nie zamierzał się tłumaczyć. Taka postawa była bolesnym ciosem dla paszkwilanta. W niezamierzony sposób Hrabyk oddał też swego rodzaju hołd redaktorowi „Kultury": „Jeżeli p. Giedroyc nie jest ani pisarzem, ani dziennikarzem, jeżeli ma ograniczoną niezdolność do pisania – a mimo to redaguje pismo przez lat dwadzieścia, i to pismo, jak zapewnia p. Mieroszewski, niemające równego na całej kuli ziemskiej – to kim właściwie jest Jerzy Giedroyc? Cudotwórcą? Geniuszem? Osobistością mającą pomazanie boże? Szamanem czy zaklinaczem wężów?".

Sam Hrabyk był niewątpliwie utalentowanym publicystą i zaangażowanym działaczem emigracyjnym, jednak po powrocie do kraju stał się tubą propagandy komunistycznej. W następnych latach solidaryzując się z władzami PRL, potępiał studencką rewoltę w marcu 1968 r., z aprobatą wypowiadał się też na temat stanu wojennego. Zmarł w wieku 87 lat w końcu grudnia 1989 r. w Warszawie.

eprasa.pl 78b78ef26b

ULICE PORUSZAJĄ WSZYSTKICH...

ULICE PORUSZAJĄ WSZYSTKICH, ALE TEŻ KAŻDEGO INACZEJ, HISTORYK MA NA PRZYKŁAD POWODY PORUSZENIA SZCZEGÓLNE

JAN NAŁĘCZ

Większość mieszkańców miasta zauważa nazwę ulicy, przy której mieszka, dopiero w kontekście konieczności podania adresu do korespondencji klasycznej albo wpisu w dokumentach. Na co dzień tabliczka na budynku nie wzbudza większego zainteresowania ani zadumy, nie skłania też raczej do przemyśleń; wygrywają przyzwyczajenie i niechęć do zmian, czyli wygoda. Po co komu te zmiany? To kłopot tylko, biurokracja i koszty nowych tablic, wymiany dokumentów, a teraz również zmian w licznych systemach elektronicznych i lokacyjnych. Raz na jakiś czas temat wraca jednak jak bumerang. Ponieważ zaraz obok pomników upamiętnienie w formie nazwy ulicy, placu, patronowanie szkole lub instytucji, w naszych realiach jest uważane za formę nobilitacji pozwalającą uhonorować zasłużoną osobę lub organizację i spowodować przyczynek do zachowania takowej w pamięci społeczności.

Może mniej byłoby problemów, gdybyśmy przyjęli model amerykański lub anglosaski, gdzie liczba nazw imiennych jest proporcjonalnie mniejsza na rzecz numerowanych alej lub nazw całkowicie neutralnych, np. pochodzących od kolorów, kwiatów, pór roku. Mieszkamy jednak w Polsce i musimy raz na jakiś czas zmierzyć się z problemem patronów ulic w kontekście historycznym.

FOT. EAST NEWS/ROMAN WIONCZEK

Uczestnicy obchodów święta uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, 22 lipca 1952 r., plac Feliksa Dzierżyńskiego w Warszawie

W warunkach spokoju

Trzeba przyznać, że łatwiej zmiany nazw przychodzą na fali dużych zawirowań i przełomów, tak jak miało to miejsce zaraz po odzyskaniu niepodległości w 1918 r., po upadku PRL w 1989, nie mówiąc już o roku 1945. Ten ostatni w kontekście zmian nazw był bardzo ciekawy, gdy jedne znienawidzone nazwy znikały na rzecz innych, dziś z kolei znienawidzonych. Nikt raczej nie miał wątpliwości, że jak najszybciej zniknąć mają place Carów, Adolfa Hitlera, a później po 1989 r. także pomniki i ulice Dzierżyńskiego czy Świerczewskiego. Towarzyszyły im widowiskowe zrzucania symboli, burzenie pomników tyranów przy wiwacie tłumów. Rozpadająca się swastyka, walący się Dzierżyński, rozbierany budynek Soboru (choć z kilkuletnim opóźnieniem) to ikony upadku tyranii i zakończenia ucisku. Gorzej, jeśli trzeba „coś dokończyć" i do zamiany nazw dochodzi z opóźnieniem, w warunkach względnego spokoju społecznego i stabilności ustrojowej, kiedy do gry wchodzi polityka historyczna – jest wtedy czas na dyskusje i niekończące się spory. Dobrze, kiedy są one poparte argumentami wynikającymi z rzetelnej analizy wiarygodnych materiałów archiwalnych, dokumentów i porównania życiorysów patronów proponowanych i obecnych. To powinien być punkt wyjścia do oceny słuszności danej zmiany.

eprasa.pl 78572ef26b

Warszawski niepokój

Rozumiem doskonale argumenty o niezgodności z prawem decyzji administracyjnej, jednak nie wdając się w dyskusje czysto prawne, dla większości mieszkańców taka przepychanka sądowo-kompetencyjna wygląda jak walka Kaczyńskiego z Armią Ludową lub „Inki" (Danuty Siedzikówny) z Małym Frankiem (Franciszkiem Zubrzyckim). I tu niestety dla tych poprzednich patronów, obronionych przez sąd w literze prawa, moralna konfrontacja w większości przypadków wygląda blado. No bo czy można mieć jakieś większe wątpliwości, patrząc na życiorysy niewinnie skazanej na śmierć młodej sanitariuszki, a z drugiej strony GL-owskiego bojownika, który walczył, czy też gotów był walczyć, nie tylko z Niemcami, ale i Polakami z AK? Nikt tu nie neguje tego, że ów bojownik zginął z rąk okupanta niemieckiego (zastrzelony podczas próby ucieczki na dworcu w Tomaszowie Mazowieckim), tak jak nikt nie neguje tego, że członkowie Armii Ludowej ginęli w walce. Problem w tym, kim członkowie AL czy GL stawali się po wojnie, jeśli przeżyli. Bardzo często zasilali szeregi oprawców, którzy wykonywali wyroki na takich bohaterach podziemia antykomunistycznego jak właśnie „Inka". Jeśli zgadzamy się, że Sowieci byli również okupantami, to wspieranie ich oznacza kolaborację i niestety nie zaciera tej kolaboracji wcześniejsza walka z poprzednim hitlerowskim okupantem. Na patronów ulic, placów, a szczególnie szkół powinni być wybierani na pewno bohaterowie niebudzący wątpliwości lub dokonujący czynów heroicznych w obliczu zastanej sytuacji, a nie tylko po prosu walczący z jednym lub drugim okupantem. Jeśli honorowalibyśmy tylko za walkę, to ulice powinni mieć wszyscy żołnierze – zarówno sowieccy za walkę z Niemcami, jak i niemieccy za walkę z Sowietami – a tego chyba sobie nie wyobrażamy. Patronem ulicy powinni zostawać bohaterowie wyjątkowi, czyści w swych intencjach i niebudzący wątpliwości, jeśli chodzi o postępowanie i dokonane wybory na żadnym etapie swego życia.

Mam wrażenie, że ta walka nie toczy się jednak tylko „w obronie" litery prawa ani nawet pamięci tych lub innych bohaterów i osobistości, ale o polityczne „zasługi" i jest pochodną zacietrzewienia polityków. Możliwy przyszły scenariusz moim zdaniem zakłada, że partia rządząca w mieście stołecznym zatwierdzi jednak większość nowych patronów, uznając ostatecznie słuszność wcześniejszej decyzji wojewody co do kierunku zmian (nie procedur). Przypisując tylko sobie zasługę obrony litery prawa, decydenci warszawscy być może doprowadzą do korekty i doboru jeszcze słuszniejszych patronów. Zapewne część proponowanych wcześniej przez wojewodę propozycji polegnie w bitwie, ale część zapewne zastąpi tak czy siak, prędzej czy później, poprzedników z PRL i będziemy mieli ulice KOR, Kaczmarskiego czy Herberta, bo to naprawdę odpowiedni i godni patroni, szeroko uznawani przez obywateli bez względu na poglądy polityczne.

Ponieważ mieszkam od urodzenia na warszawskiej Woli, ulica „Inki" Siedzikówny lub, jak kto woli, Małego Franka, jest dla mnie najbardziej interesująca. W okolicy, w której znajduje się rzeczona ulica, podczas powstania warszawskiego 1 sierpnia 1944 r. toczyły się walki, w których uczestniczyli żołnierze zarówno AK, jak i AL. Jednak dowódcy tej pierwszej po wojnie trafiali do więzień i byli poddawani represjom przez dowódców tej drugiej, którzy zasilili szeregi funkcjonariuszy UBP, jak porucznik „Stach" (Zbigniew Paszkowski) z magazynu broni przy ul. Obozowej. Niestety, wyklucza to możliwość gloryfikowania całej AL jako formacji, ale nie wyklucza moim zdaniem pamięci o szeregowych żołnierzach, w formie tablic czy grobów, podobnie jak w przypadku berlingowców czy kościuszkowców. Sam byłem nieraz jako rekonstruktor na Płycie Czerniakowskiej, składając wieńce i zapalając znicze w rocznicę heroicznego desantu we wrześniu 1944 r. Dla większości obserwatorów aleja Armii Ludowej wygrała więc w sądzie z Lechem Kaczyńskim i nie dziwota, wszak to człowiek mikrej postury, mimo że wielki duchem, a Armia Ludowa wielka i niepokonana była. Może gdyby było ich dwoje: Lech i Maria, kto wie, może by wygrali całość batalii? Obawiam się, że sam Lech może nie dać rady...

Demontaż pomnika Feliksa Dzierżyńskiego na placu Bankowym w Warszawie, 16 listopada 1989 r.

FOT. EAST NEWS/ELŻBIETA OYRZANOWSKA

Kozłówka ulic

Na koniec przychodzi taka refleksja, mamy skansen komunizmu w Kozłówce, gdzie stoją zdemontowanie pomniki, dlaczego nie mielibyśmy mieć w Warszawie takiego kwartału kontrowersyjnych ulic z patronami z minionej epoki? Może taki element stałby się atrakcją turystyczną? Wszak mamy już w centrum stolicy budynek PKiN, który jest chyba najtrwalszym skansenem PRL. Co do nazw ulic w takim kwartale, to może niekoniecznie z tymi najkrwawszymi patronami typu Świerczewski, Dzierżyński, Marchlewski; z nimi pożegnaliśmy się na dobre (mam nadzieję!). Do przemyślenia w takim skansenie byłyby ulice żołnierzy AL (nie samej AL), może kilku naukowców (przykładem może być patron ulicy na Ursynowie, Henryk Raabe – zoolog i zarazem działacz komunistyczny) i artystów, którzy jednocześnie wspierali partyjnym działaniem rządy komunistów, ale nie przyczyniali się bezpośrednio do śmierci lub krzywdzenia fizycznego innych, może właśnie kilku bojowników PPS czy AL, którzy mieli „szczęście historyczne" nie dożyć momentu objęcia posad w UBP, bo zginęli w walce z Niemcami. Może wilk byłby syty i owca cała, a zgoda narodowa w kwestii nazw ulic zakwitłaby jak kwiat jednej nocy, chociaż jednej.

ŚWIĘTA KINGA, KSIĘŻNA KRAKOWSKA, PANI SĄDECKA

KINGA BYŁA OSOBĄ POBOŻNĄ I ZASŁUŻONĄ DLA KOŚCIOŁA. BARDZO PRĘDKO PO JEJ ŚMIERCI ROZPOCZĘTO STARANIA O UZNANIE JEJ ŚWIĘTOŚCI

MAREK BARAŃSKI

Niestety, beatyfikowana została dopiero w XVII w., a kanonizacja nastąpiła w 1999 r. Beatyfikacji doczekały się też dwie siostry Kingi, Małgorzata i Jolenta, księżna wielkopolska, a także jej szwagierka Salomea. One też, choć w przekonaniu ich współczesnych były świętymi, na oficjalne uznanie musiały poczekać. Wszystkie te panie, naśladując w swym życiu świętego Franciszka i świętą Klarę, nie tylko oddawały się ascezie, lecz także starały się pomagać biednym i chorym.

Nasza dzisiejsza bohaterka urodziła się w 1234 r. Jej ojcem był potężny król węgierski Bela IV, a matką – Maria, córka Teodora I cesarza Nikei. Kinga miała liczne rodzeństwo, jej siostry powychodziły za mąż za książąt Bawarii, Rusi Halickiej, Wielkopolski, mężem jednej z nich był ban Maczwy. Jej brat Stefan został po śmierci ojca królem Węgier.

Kinga wyszła za mąż w 1239 r. za Bolesława, w owym czasie księcia sandomierskiego. W chwili zawarcia małżeństwa panna młoda miała pięć lat, a pan młody 13. W średniowieczu zdarzało się, że zawierano małżeństwa między dziećmi, jednak nie był to jeszcze związek nierozerwalny, lecz tylko bardzo mocne zaręczyny. Małżeństwo takie nabierało mocy dopiero, gdy dzieci dorosły i mogło nastąpić fizyczne dopełnienie ślubu. Na tym mariażu bardzo zależało matce Bolesława Gryfinie. Związek z córką potężnego króla Węgier wzmacniał szanse jej syna na osiągnięcie sukcesu życiowego. Ale nie tylko ona była nim zainteresowana. Również książę krakowski Henryk Pobożny, który sprawował opiekę nad Bolesławem i jego księstwem, dążył do nawiązania sojuszu z Węgrami. Zainteresowany był także ojciec Kingi, król Bela IV. Widział on nadciągające ze wschodu zagrożenie mongolskie i szukał sojuszników.

Kinga wychowywała się w Polsce. Niedługo jednak mogła przebywać w swej nowej ojczyźnie. W 1241 r. na Polskę uderzyli Mongołowie, przed tym niebezpieczeństwem młoda księżniczka wraz z mężem uciekli na Węgry. Choć i to królestwo zostało zaatakowane przez Mongołów, polscy uchodźcy przetrwali burzę w bezpiecznym miejscu. Nie od razu po ustąpieniu najeźdźców Kinga i Bolesław mogli wrócić do Polski, gdyż Kraków i Sandomierz zajął książę Konrad Mazowiecki. Dopiero gdy Klemens Gryfita zorganizował powstanie i przy pomocy wojsk węgierskich usunął Konrada z Małopolski, Bolesław wrócił do kraju i zasiadł na krakowskim tronie. U jego boku księżną krakowską został Kinga.

Św. Kinga

Kinga była lojalną małżonką, gdy tylko trzeba było, wspierała swego męża. Ponieważ Bolesław nie miał pieniędzy, a potrzeby państwa były wielkie, Kinga przekazała mu swój posag. Ponieważ Bolesław nie mógł zwrócić długu, w zamian nadał jej ziemię sądecką. Za życia męża Kinga nie akcentowała swej pozycji, nie tytułowała się panią sadecką, zaczęła natomiast zagospodarowywać podległe jej ziemie.

Kinga i Bolesław nie mieli dzieci. Istnieje sięgająca XIII w. tradycja, która mówi, że Kinga ślubowała, mimo zawarcia małżeństwa, pozostawać w dziewictwie. Na tej tradycji oparły się starania o kanonizację księżnej. Jest jednak także przekaz, zgodnie z którym para książęca pragnęła mieć potomka. I ten przekaz wydaje się bardziej prawdopodobny. Brak dziedzica panującego władcy mógł stworzyć rozliczne problemy polityczne. Gdyby rzeczywiście Kinga złożyła śluby czystości, zapewne pierwszy protestowałby biskup krakowski. Wydaje się więc, że było to po prostu bezdzietne małżeństwo.

W 1279 r. zmarł Bolesław Wstydliwy i Kinga znalazła się w niebezpieczeństwie. Następca Bolesława na krakowskim tronie, Leszek Czarny, starał się odebrać jej ziemię sądecką. Księżna obroniła swój stan posiadania, w konflikcie z księciem wsparł ją biskup krakowski Paweł z Przemankowa. Zapewne też, aby ratować swą własność, Kinga w 1280 r. ufundowała w Sączu klasztor klarysek uposażony dużą częścią dóbr sądeckich. W 1288 r. osiadła w Sączu wdowa po Leszku Czarnym Gryfina. Do śmierci Kingi, która nastąpiła w 1292 r., obie panie rządziły ziemią sądecką.

Kinga dobrze zapisała się w pamięci Polaków. Czcili ją zwłaszcza górnicy z kopalni soli w Wieliczce i Bochni, do których powstania zapewne Kinga się przyczyniła.

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 78b78ef26b

FELIETONY

Czynnik śmierci żony

PIOTR SKWIECIŃSKI

Powszechnie przyjęta teza brzmi: I wojny światowej nie było można uniknąć, bo pchały do niej potężne siły gospodarcze i kulturowe.

Ale nawet jeśli to prawda, to bardzo ogólna. Wielkich, przełomowych wydarzeń nie da się uniknąć, ale jednostka może sprawić, że wprawdzie one nastąpią, lecz w formie, która z naszego punktu widzenia bardzo wiele zmienia.

I wojna być może istotnie była nie do uniknięcia, bo świat pędził ku niej po równi pochyłej. Ale nawet jeśli, to gdyby nie wybuchła w sierpniu 1914, tylko rok, dwa lub trzy lata później, to byłaby zupełnie inną wojną. Rosja potężniała i rozwijała się znacznie szybciej od innych mocarstw, Austria słabła. Z drugiej strony – mogłaby się toczyć w innej konfiguracji, bo relacje rosyjsko-angielskie w 1914 r. pogarszały się. W efekcie starcie, być może istotnie nieuniknione, mogłoby przynieść inny rezultat...

Kto zaś przede wszystkim mógł w 1914 r. powstrzymać wybuch? Niemcy, bo bez ich zgody Austria nie zaryzykowałaby próby zniszczenia Serbii. Kto latem 1914 r. miał decydujący wpływ na politykę Berlina? Kanclerz Theobald von Bethman-Hollweg, który w poprzednich latach w czasie międzynarodowych kryzysów ze wszystkich sił i skutecznie przeciwstawiał się „partii wojennej", w 1914 r. zaś zachował się inaczej.

Dlaczego?

Ówczesne decyzje Hollwega spowodowane były tym, że udzielił on wówczas sobie skrajnie pesymistycznej, z punktu widzenia Niemiec, odpowiedzi na kilka pytań dotyczących rozwoju sytuacji w ciągu najbliższych lat. Te same kwestie krótko wcześniej widział inaczej.

„Wiele lat temu znałem wnuczkę Bethmanna" – pisze brytyjski historyk Dominic Lieven. „Zawsze podkreślała, że jej dziad był wówczas w stanie głębokiej depresji po bardzo niedawnej śmierci żony. Wielu historykom okoliczność ta wyda się niepoważnym i powierzchownym wytłumaczeniem katastrofy 1914 r. Ale nie ma nic niepoważnego w sugestii, że kiedy człowiek traci osobę, która nie tylko nadawała sens jego życiu, ale też była dla niego źródłem wsparcia w jego niezmiernie stresującej pracy, może to mieć przemożny wpływ na jego sądy i sposób postrzegania świata".

Innymi słowy – kanclerz stał się wtedy skłonny do postrzegania świata jako miejsca gorszego i bardziej niebezpiecznego niż rok, dwa czy trzy lata wcześniej. I dlatego uznał położenie Niemiec za gorsze, niż uznawał wcześniej. I dlatego zgodził się z tymi, którzy proponowali wojnę...

Wojnę, która rozpoczęta kilka lat później, mogłaby się skończyć inaczej. Ale skończyła się tak, jak się skończyła – bo przedtem w Berlinie umarła pewna pani.

POLSKIM OKIEM

Trzy wzruszenia Polaka

RYSZARD CZARNECKI

Mam już swoje lata i nie wzruszam się zbyt często. Mój zawód też raczej skłania do dystansowania się od emocji.

A jednak... Ostatnio wzruszyłem się trzykrotnie. W trzech całkiem różnych sytuacjach i w trzech różnych krajach.

Dubaj, Zjednoczone Emiraty Arabskie. Szpital. Przywożą mnie tu karetką w nocy. Pacjentów mężczyzn obsługują wyłącznie mężczyźni. Wkłuwa mi się w żyłę, mierzy ciśnienie, robi EKG młody Filipińczyk; tu takie prace (i wiele innych) wykonują niemal zawsze cudzoziemcy, zwykle kiepsko opłacani. Przy kolejnym badaniu, już ośmielony, pyta, skąd jestem. Gdy słyszy, że z Polski, dopytuje, czy znam „Karol Hotel". Zaprzeczam. Bardzo się dziwi. Dopytuje, czy na pewno jestem z Polski. Potwierdzam, też już trochę zdziwiony. Filipińczyk nie posługuje się zbyt dobrze angielskim, ja zwijam się z bólu. Powtarza raz jeszcze i tym razem słyszę już nie „hotel", tylko „wojtel". Doznaję olśnienia. Nie „Wojtel", mówię, tylko „Wojtyła". Tak, tak – przytakuje. „John Paul Second" – teraz już nie ma mowy o pomyłce. Filipiński katolik w muzułmańskim kraju, w islamskim otoczeniu odruchowo ścisza głos, gdy mówi o naszym wspólnym papieżu. I ja to czynię – wyjdę z kliniki, wyjadę stąd, wrócę do Polski, a pielęgniarz, brat w Chrystusie Panu, który też wierzy w Matkę Boską i Trójcę Świętą – zostanie tutaj. I będzie chciał pracować, wysyłać rodzinie to, co zarobi.

Bagdad, Irak. Siedziba parlamentu. Spotkanie europosłów z irackimi deputowanymi. Słucham młodej i pięknej posłanki z Kirkuku. Jest chrześcijanką, należy do licznej wspólnoty chrześcijan zamieszkujących miasto od wieków; dla islamskich radykałów była zwierzyną łowną. Jedyną chrześcijanką w prestiżowej Komisji Spraw Zagranicznych. Mówi po aramejsku, słucham w symultanicznym tłumaczeniu na angielski. Uświadamiam sobie nagle, że przecież w tej izbie podczas oficjalnych obrad mówi się poza arabskim także kurdyjskim i... aramejskim. Tak, językiem Chrystusa. Wiem, że aramejski Pana Jezusa różnił się od tego dzisiejszego, ale mimo to jestem głęboko poruszony.

Warszawa, Polska. Druga niedziela listopada. Idę wśród setek tysięcy moich rodaków, w morzu, ba, oceanie biało-czerwonych flag. I powtarzam słowa poety (odnoszące się skądinąd do roku 1970): „W wielkiej rzece żywych i młodych dzielących się połówką papierosa łykiem gniewu dreszczem niepokory tchnieniem nadziei ja też byłem z bruku tego". Marsz Niepodległości – tak, to był czas wzruszenia...

eprasa.pl 78b78ef26b

FOT. MATERIAŁY WŁASNE

Stefan Żeromski otrzymał w Rapperswilu niepowtarzalną szansę odciśnięcia piętna na polskiej kulturze emigracyjnej, którą zdyskontował z naddatkiem

OKRĘŻNE DROGI ŻEROMSKIEGO

STEFAN ŻEROMSKI W KOŃCU XIX w. ZOSTAŁ PRACOWNIKIEM BIBLIOTEKI MUZEUM POLSKIEGO W RAPPERSWILU. SZWAJCARSKI WĄTEK BIOGRAFII PISARZA OBFITUJE JEDNAK W CIEKAWSZE WYDARZENIA NIŻ KATALOGOWANIE

WOJCIECH OSIŃSKI

Kilka lat temu polskie media obiegła niepokojąca informacja, że Muzeum Polskie w Rapperswilu zniknie ze średniowiecznego zamku, w którym znajduje się od niemal 150 lat. Wskutek stopniowej prywatyzacji obiektu i wedle planów nowych właścicieli ta nieoceniona perła polskiej kultury emigracyjnej miała ustąpić miejsca zwykłej restauracji. Sprawa ciągnie się od wielu lat i mimo wzmożonych starań prezydenta Andrzeja Dudy oraz marszałka Senatu Stanisława Karczewskiego pozostaje nierozstrzygnięta. Muzeum na północnym brzegu Jeziora Zuryskiego istnieje od 1870 r., a w jego bogatych zbiorach znajdują się m.in. dzieła Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego i Józefa Brandta, a także cenne relikwie historyczne, np. zegarek Tadeusza Kościuszki, fotel Henryka Sienkiewicza oraz instrumenty Ignacego Jana Paderewskiego. W zamku mieszkali znani twórcy polskiej kultury, spośród których najznamienitszym był bez wątpienia Stefan Żeromski. Ten wybitny powieściopisarz i mistrz języka polskiego walnie przyczynił się do rozkwitu muzeum pod Zurychem. Dziś szwajcarski wątek w życiu i twórczości autora „Wiatru od morza" sam w sobie stanowi precjozum rapperswilskiej wystawy. Myli się jednak ten, kto uważa, jakoby głównym zadaniem Żeromskiego w latach 1892-1896 było jedynie opracowanie katalogu i bibliografii starych druków muzealnej biblioteki. Owszem, funkcję bibliotekarza pisarz wypełniał z nieskrywaną namiętnością, ale jego pobyt w Szwajcarii obfituje w znacznie więcej ciekawych wydarzeń, niż sugerują niektórzy historycy literatury i myśli politycznej. Jedno jest pewne: gdyby Żeromski dziś usłyszał o tym, co dzieje się z „polskimi" pomieszczeniami w zamku, wstałby zapewne z grobu i zrobił porządek.

Nieszczęsny diarysta

W końcu XIX w. Żeromski był już dobrze zapowiadającym się prozaikiem, choć jeszcze dalekim od literackich laurów, które miały nań spłynąć w przededniu

eprasa.pl 78b78ef26b

II RP. Przez jego diarystykę z tamtego okresu przewija się przeto znana młodości nuta lamentu. „Wielem w Szwajcarii wycierpiał, ale też nauczył się i zdobył w samotności. Ludzie tu o mnie nie pamiętają. Może kiedyś przyjdzie czas, że sobie przypomną" – ubolewał przed wyjazdem w 1896 r. Na szczęście Żeromski nie został ukarany zapomnieniem, a będąc w Rapperswilu, dostał od historii niepowtarzalną szansę odciśnięcia piętna na kulturze emigracyjnej, którą wykorzystał z naddatkiem. Nad Jezioro Zuryskie pisarz przyjechał w styczniu 1892 r., jeszcze nie wiedząc, że za dziewięć miesięcy będzie tu pracował. Podróż miała raczej charakter kształcąco-poznawczy i miała również położyć kres zmaganiom z odziedziczoną po matce gruźlicą, przyspieszoną częściowym głodowaniem w okresie studenckim. Żeromski upajał się urokliwym widokiem XIII-wiecznego zamku, z jednej strony odbijającym się w tafli jeziora, z drugiej natomiast przysłoniętym wyjątkowym pejzażem Alp. Nie był on bynajmniej pierwszym „sumieniem narodu" znad Wisły na tym skrawku szwajcarskiej ziemi. W 1829 r. znaleźli się w tym samym miejscu poeci Adam Mickiewicz i Edward Odyniec, jakby w przeczuciu ważkiej roli, jaką zamek ów za 40 lat miał odegrać w historii Polonii. Bo dopiero wtedy została tam wzniesiona słynna kolumna Barska ze spoczywającym na niej orłem, skierowanym w stronę północną-wschodnią, czyli ku ziemiom nadwiślańskim. Po 1870 r. muzeum rychło stało się miejscem kultu i licznych pielgrzymek polskich emigrantów, rozsianych po całym świecie. Pięć lat po otwarciu placówki przybył tu arcymistrz polskiej powieści historycznej, Józef Ignacy Kraszewski. Z okazji 100-lecia obchodów Konstytucji 3 maja bawiła w Rapperswilu także Maria Konopnicka, a cztery lata później Bolesław Prus, który chciał odwiedzić rodzinę... Żeromskich. Autor „Lalki" był wcześniej uroczystym świadkiem ceremonii zaślubin swojego przyjaciela. Z Oktawią Rodkiewicz Żeromski zaręczył się w październiku 1891 r. w Nałęczowie, gdzie pracował jako nauczyciel. Ślub był odwlekany m.in. z powodu szokującej dla Oktawii lektury „Dzienników". Obok opisów wyskoków erotycznych wybrańca narzeczona znalazła jednak też miłe fragmenty o sobie, co pozwoliło jej zmienić decyzję i poślubić nieszczęsnego diarystę. Lecz na początku 1892 r. jeszcze nic nie było pewne, a wyjazd studyjny do Szwajcarii dawał Żeromskiemu nadzieję, że przyszła małżonka nieco za nim zatęskni. W listach do Oktawii zachwycony kronikarz opisywał swoje pierwsze wrażenia „w zamku nad jeziorem". Niemal każdy z jego późniejszych sławnych gości próbował utrwalić te atrakcyjne krajobrazy w rysunkach. Ku uciesze potomności przetrwały także obrazy samej Oktawii, która pobierała w Zakopanem lekcje u Stanisława Witkiewicza i posiadała zdolności artystyczne. Wtedy jednak jeszcze nie było mowy o przeniesieniu się do Rapperswilu. Ale kiedy Żeromski stwierdził, że serce polskiej emigracji bije mocniej w Szwajcarii niż we Francji (zapoznał się wtedy już z rozpolitykowaną kolonią polskich studentów w Zurychu) i że alpejski klimat ma dobroczynny wpływ na jego drogi oddechowe, zwrócił się do swojego szkolnego kolegi i pisarza Zygmunta Wasilewskiego, ówczesnego bibliotekarza w zamku. Wasilewski, z którym łączyły Żeromskiego nie tylko sympatie do endecji, zaproponował swojemu przyjacielowi posadę pomocnika w bibliotece Muzeum Polskiego. Wkrótce się okazało, że pobyt w Alpach nie tylko miał korzystny wpływ na zdrowie dążącego do pisarskiej popularności nowelisty, lecz ułatwił mu najzwyklej egzystencję, ożywiając tym samym jego twórczy potencjał. Pomysły dla wszystkich późniejszych i najistotniejszych dzieł Żeromskiego rodziły się wraz z poprawą zdrowia tutaj – w Szwajcarii.

Żeromski upajał się urokliwym widokiem zamku, z jednej strony odbijającym się w tafli jeziora, a z drugiej przysłoniętym pejzażem gór

FOT. WEB.DE

Praca i poświęcenie

Czas pobytu w Rapperswilu, oficjalnie zapoczątkowany 1 października 1892 r., bywał często dla rodziny Żeromskich trudny. Zaraz po przyjeździe pisarz dostał krwotoku, a jego stan był chwilowo bardzo ciężki. Musiał jednak szybko wyzdrowieć, w bibliotece Muzeum Polskiego było bowiem mnóstwo pracy. Jako bibliotekarz miał Żeromski pod swoją pieczą 92 tys. tomów oraz ok. 20 tys. rękopisów, w tym teksty z okresu powstania styczniowego oraz autografy gen. Henryka Dąbrowskiego, Joachima Lelewela i Seweryna Goszczyńskiego. Żeromski urządził także pokój poświęcony Mickiewiczowi. O jego wielkim podziwie dla wieszcza świadczy choćby istniejący do dziś w muzeum zasób pamiątek – obok rękopisów i cennych wydań znajdziemy takie relikwie jak fajka, kałamarz, orle pióro, blacha z trumny, posążek Matki Boskiej, a nawet włosy polskiego romantyka. Dzięki wysiłkom autora „Dziejów grzechu" powiększył się również katalog kościuszkowski i została urządzona Sala Przyjaciół Polski. Oprócz uporządkowania biblioteki oraz »

eprasa.pl 78b78ef26b

sporządzenia katalogów na barkach młodego archiwisty spoczęła też obsługa czytelników i żmudne załatwianie korespondencji. Mimo takiego poświęcenia chorowity pisarz zarabiał grosze. Sytuację rodziny ratowali zamożni rodzice Oktawii, dosyłający co jakiś czas środki na utrzymanie. Niemniej swoją pracę bibliotekarską Żeromski wykonywał z namiętnością gorliwego polskiego patrioty. Lecz bywało także stresująco: przez cztery lata regularnie spierał się z kustoszem i konserwatorem zbiorów muzeum, Włodzimierzem Rużyckim, który w Monachium nauczył się podrabiać starożytności i w Rapperswilu w ten sposób na potęgę wytwarzał fałszywe relikwie narodowe. Muzeum Polskie było więc częstokroć zalewane zbędnymi „upominkami" jego autorstwa, z czym nie zgadzali się zatrudnieni w bibliotece polscy pisarze. Dzieje starć Żeromskiego i Wasilewskiego z Rużyckim przetrwały w emocjonalnych listach, a także w powieści „Ludzie bezdomni" (1899), w której postać Krzywosąda miała wiele z cech rapperswilskiego kustosza. Zresztą Rużycki nieustannie utrudniał Żeromskiemu pracę. Jego zazdrość wywoływały błyskotliwość i talenty ambitnego pisarza, sięgające poza zakurzone archiwa. Po wyjeździe Wasilewskiego z Rapperswilu Żeromski zajął wprawdzie jego posadę, otrzymując wyższe uposażenie, ale z kustoszem musiał się już użerać sam, czego w końcu nie wytrzymał i w 1896 r. złożył rezygnację, podjąwszy decyzję powrotu z rodziną do Nałęczowa. „Kiedym ujrzał to stare zamczysko, serce po dawnemu zadrżało. Tyle trudów, uniesień, zapałów..." – pisał Żeromski, kiedy w 1906 r. jeszcze raz odwiedził to miejsce.

W życiu rodziny Żeromskich na ziemi Helwetów nie brakowało również przyjemnych chwil. W okresach świątecznych Oktawia i Stefan podróżowali po kraju, a także zwiedzali Francję i Włochy. W 1895 r. odwiedził ich Bolesław Prus, który w liście do swojej żony odnotował: „Rapperswil to wieś, ale murowana jak nasze miasta i mająca prawie przy każdym domu ogródek. Wszystko tu kąpie się w różach". Żeromscy uczestniczyli także w życiu zuryskiej Polonii. W świecie kawiarnianym pobliskiej metropolii pisarz otarł się m.in. o Józefa Piłsudskiego, Gabriela Narutowicza i Bolesława Limanowskiego, a także o polskich socjalistów i przyszłych rewolucjonistów, Różę Luksemburg i Juliana Marchlewskiego, którzy w przeciwieństwie do pierwszych trzech polityków nigdy nie wysiedli z „czerwonego tramwaju". Lecz to czołowi ideolodzy Narodowej Demokracji mieli wpłynąć najmocniej na kształtującą się dopiero świadomość polityczną Żeromskiego. W Szwajcarii spotkał się on z Zygmuntem Balickim i Romanem Dmowskim, założycielami Ligi Narodowej. 28-letni pisarz czerpał z różnych politycznych nurtów niepodległościowych, które przedkładały ideę polskiej suwerenności nad klasowe przepaście. Żeromski żywił sympatię do przedstawicieli lewicy patriotycznej, a nie do rosnącej już wtedy w siłę międzynarodowej komuny. Wbrew pretensjom, jakie miano do Żeromskiego w okresie międzywojennym po ukazaniu się „Przedwiośnia", był on również całkowicie wolny od rusofilii.

Literacka płodność

Mimo wyczerpującej pracy w bibliotece, powracającej choroby, zatargów z Rużyckim oraz rozlicznych spotkań Żeromski znajdował czas na twórczość literacką i publicystyczną. Autor „Snobizmu i postępu" miał doskonałych szwajcarskich lekarzy, którzy zalecili mu specjalną dietę sprowadzającą się do jedzenia wyłącznie sera i mięsa (!). Zdaniem ówczesnych medyków osobliwy jadłospis miał doprowadzić do zwapnienia ognisk gruźliczych w płucach. W zestawieniu z porzuceniem palenia i alkoholu stan zdrowia pisarza z czasem się znacznie polepszył, a alpejski klimat wpłynął także ozdrowieńczo na pisarską kondycję. W 1895 r. – rok przed powrotem do Nałęczowa – Żeromski miał już w szufladzie mnóstwo wartościowych tekstów, głównie opowiadań. W Rapperswilu powstały takie pierwszorzędne utwory jak „Oko za oko", „Zmierzch", „O żołnierzu tułaczu", „Rozdziobią nas kruki, wrony", a także pierwsza wersja „Syzyfowych prac". To dzięki możliwości dostępu do źródeł archiwalnych w Muzeum Polskim Żeromski mógł zdyskontować swoje „szwajcarskie zapiski" w historycznych powieściach, takich jak „Popioły". Natomiast jego twórczość nowelistyczna, która nabierała rozmachu właśnie w Rapperswilu, wzbudza nadal żywe zainteresowanie nie tylko wśród filologów. Choć nawet dla nich problematyka gatunkowa utworów Żeromskiego na przełomie wieków jest trudna do rozwikłania. Łączenie formy narracji pamiętnikarskiej z reporterską, ubarwionej składnikami, by tak rzec, „secesyjnymi", oddala jego prozę od pozytywistycznych wysiłków Sienkiewicza, Prusa czy Orzeszkowej, przybliżając ją do eksperymentatorów Młodej Polski. Żeromski jest modelowym przykładem pisarza pomiędzy dwiema epokami. Wynikało to jednak po części z przyziemnego pragmatyzmu zawodowego. W dziejach literatury polskiej autor „trylogii nadmorskiej" („Wisła", „Wiatr od morza", „Międzymorze") pozostaje nieodmiennie żywym egzemplum pisarza na emigracji, tworzącego na użytek polskich czytelników w trzech różnych zaborach. Secesyjne (i często z wątkami erotycznymi) teksty były przeznaczone dla publiczności w liberalnej Galicji, a materiały utrzymane w duchu klasycznym ukazywały się na rynku w Warszawie. Pisząc nowatorskie teksty w okresie fin de siècle, Żeromski nie odrzucał jednak sprawy narodowej na rzecz „sztuki dla sztuki", jak inni jego koledzy po piórze z krakowskiej cyganerii. Nie naginał krnąbrnej i bolesnej pamięci o Polsce do wymogów nowych czasów jedynie ze względu na „modne nurty". Ale był na tyle zdolny i wyrafinowany, że zdołał je wykorzystać dla zaszyfrowania treści patriotycznych. Tematykę jego szwajcarskich opowiadań zdominowały przeto trzy zagadnienia: problematyka narodowa, sprawy społeczne i erotyka. O ile rozmaite przygody miłosne mogły zostać przezeń zarysowane dość nieskomplikowanie i przejrzyście, o tyle tematy narodowo-społeczne były we wszystkich zaborach na indeksie cenzuralnym i wymagały artystycznych okrężnych dróg. Toteż prozaik usiłował poprzez powikłaną i wielogłosową kompozycję oraz impresjonistyczne niedomówienia przemycić w swoich dziełach polityczną refleksję, ba – niepodległościowe przesłanie. Szwajcarski wątek w biografii Stefana Żeromskiego kryje zatem – zarówno w jego opowiadaniach i nowelach, jak i działalności społeczno-politycznej – jeszcze wiele rozmaitych niespodzianek i tajemnic dla publicystów i historyków. Muzeum Polskie, które było dotąd utrzymywane przez Szwajcarów i tamtejszą Polonię z pasją godną autora „Syzyfowych prac", nie przyzwoliło na to, by jego pobyt nad Jeziorem Zuryskim poszedł w niepamięć. Szkoda, gdyby owa placówka, tak obecna w naszej historii, dzisiaj zniknęła z oczu Polaków i Polonii.

eprasa.pl 78b78ef26b

Rycerze, nie żołnierze

TOMASZ KARPOWICZ

„O, gdybym miał taką jazdę: z moją piechotą obozowałbym tego roku w Konstantynopolu" – pisał o polskich husarzach król Szwedzki Adolf Gustaw.

Skrzydlaci rycerze od lat są tematem zażartych sporów historyków i obiektem podziwu, głównie młodszych, fanów opowieści o I Rzeczypospolitej. Ich historia stała się przedmiotem wielu kontrowersji. Husarze stali się też popkulturowym symbolem patriotyzmu. Ich wizerunki czy nawet elementy strojów pojawiają się podczas imprez sportowych, na wielkich stadionach, w halach widowiskowych. Nieraz postać skrzydlatego jeźdźca była inspiracją dla powstających dzieł sztuki, a nawet tatuaży. Husarza sprowadzono do symbolu całej historii szlacheckiej Polski, robiąc z niego postać niemalże mityczną.

Jak naprawdę wyglądały życie i walka towarzyszy husarskich? Radosław Sikora w swojej książce „Husaria. Duma oręża polskiego" stara się krok po kroku, fragment po fragmencie wyjaśnić, o co z husarią chodzi. Na kilkuset stronach tekstu, popartego licznymi ilustracjami, autor odpowiada na najważniejsze pytania, rozwiewa mity związane z husarią, oraz mity na temat tychże mitów. Tłumaczy, skąd wzięły się husarskie skrzydła i kiedy naprawdę ich używano, a także... że naprawdę ich używano. Pisze o genezie tej formacji, tłumacząc, skąd w szeregach wojsk polskich tego typu rodzaj broni. Mówi o zawiłościach uzbrojenia i umundurowania, o wygranych bitwach i malowanych koniach.

„Dobrze wymierzony cios kopią potrafił przebić nawet sześciu nienoszących zbroi piechurów naraz".

Poznajemy wzloty i upadki najsłynniejszej chyba formacji w historii polskiej wojskowości. Równolegle z opowieścią o tych wyjątkowych rycerzach (bo, jak udowadnia Sikora, nie byli to żołnierze) przedstawia czytelnikowi historię I Rzeczypospolitej. Sikora tłumaczy, skąd brały się sukcesy husarzy na polu bitwy i co motywowało ich do walki. Poznajemy fakty i najróżniejsze szczegóły: od kwestii majątku husarza po szczególną rolę społeczną szlacheckiego wąsa. Dowiadujemy się, skąd brał się powszechny strach przed Polską skrzydlatą i jak naprawdę wyglądał husarz. To prawdziwe kompendium wiedzy o najlepszej w historii formacji jazdy, która przez z górą dwa wieki pozostawała niepokonana na polu walki i której dzieje splotły się nierozerwalnym węzłem z losem I Rzeczypospolitej.

Radosław Sikora, „Husaria. Duma polskiego oręża", wyd. Znak, 2018

REKLAMA

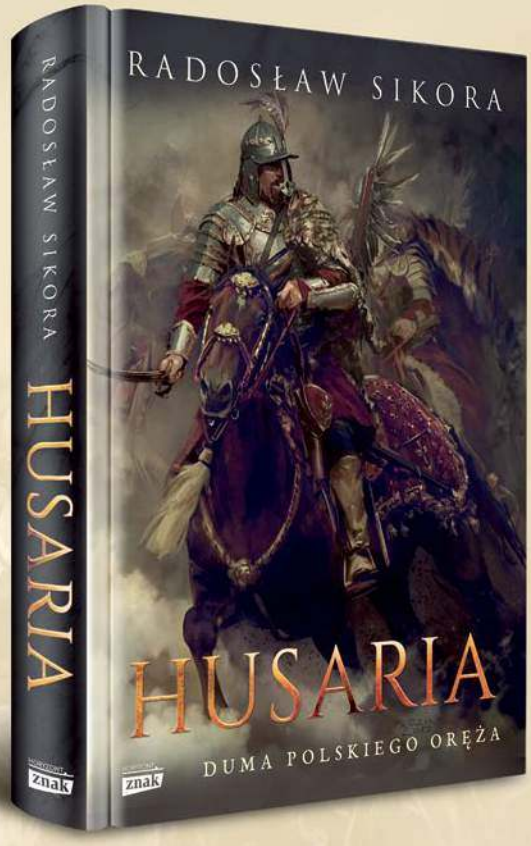

DUMA POLSKIEGO ORĘŻA

CAŁA WIEDZA O HUSARII ZEBRANA PRZEZ NAJWYBITNIEJSZEGO ZNAWCĘ TEMATU RADOSŁAWA SIKORĘ

JUŻ W KSIĘGARNIACH!

eprasa.pl 78b78ef26b

RAFAŁ ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Daniel Wicenty, „Zgniłe jabłka, zepsute skrzynki i złe powietrze. Dysfunkcje w Służbie Bezpieczeństwa w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku", IPN, Gdańsk 2018

Patologie funkcjonowania SB w okresie PRL były już kilkukrotnie opisywane przez historyków, zawsze jednak na modłę publicystyczną lub tylko wycinkowo, ale brakowało całościowego oglądu tej problematyki do czasu książki dr. Daniela Wicentego. Autor przebrnął przez tysiące stron dokumentacji aparatu bezpieczeństwa i poddał je naukowej analizie, stosując metody warsztatu historyka i socjologa. Dzięki interdyscyplinarnemu podejściu powstała książka w sposób pełny obrazująca dysfunkcje panujące w SB w dwóch ostatnich dekadach PRL. Obraz, jaki się wyłania z tych rozważań, jest niezwykle ciekawy. Wicenty rozpoczyna od przedstawienia kłopotliwych jednostek i sposobu radzenia sobie kierownictwa SB z takimi problemami wśród funkcjonariuszy jak: defraudacje funduszu operacyjnego, wykorzystywanie stanowiska do załatwiania rozmaitych przysług (na czele z największym siedliskiem patologii, czyli sprawami paszportowymi), przez pijaństwo, nieobyczajne zachowania, aż po ucieczki za granicę (ten ostatni przypadek omówiony na przykładzie Eligiusza Naszkowskiego). Następnie autor przechodzi do grupowych patologii, wskazując na powstawanie w ramach SB sieci klientystycznych, aż do tworzenia się całych „brudnych wspólnot" wykorzystujących aparat bezpieczeństwa do własnych interesów. Szczególną uwagę warto zwrócić na opis funkcjonowania „folwarku" płk. Mariana Mozgawy w Radomiu. Trzecia część książki obejmuje opis struktur MSW i mechanizmów mających za zadania dyscyplinowanie funkcjonariuszy. Autor udowadnia, że były one w dużej mierze mało efektywne. Szczególnie widać to na przykładzie Zarządu Ochrony Funkcjonariuszy, powołanego przez szefa MSW gen. Czesława Kiszczaka, który mimo szerokich kompetencji nie był w stanie skutecznie zwalczać najważniejszych patologii w pracy SB. Ostatni rozdział książki dotyczy wpływu dysfunkcjonalnego otoczenia, z punktu widzenia aparatu bezpieczeństwa, na pracę jego funkcjonariuszy. Jednym z głównych problemów okazuje się tzw. religianctwo, czyli praktyki religijne pracowników SB i ich rodzin. Warto również zwrócić szczególną uwagę na przedstawienie prób tworzenia związków zawodowych w MSW w 1981 r. w okresie „karnawału Solidarności". Końcowy podrozdział książki zatytułowany został „Tonący okręt" i dotyczy 1989 r. Szkoda, że autorowi nie udało się tego tematu szerzej przedstawić, ale jest poniekąd usprawiedliwiony szczupłością źródeł archiwalnych.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Anna Grześkowiak-Krwawicz, „Dyskurs polityczny Rzeczypospolitej Obojga Narodów", Wydawnictwo UMK, seria: Monografie FNP, Toruń 2018

Pod koniec 2018 r. ukazała się niezwykle ciekawa praca autorstwa Anny Grześkowiak-Krwawicz poświęcona głównym pojęciom politycznym składającym się na dyskurs Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Autorka wykonała pogłębione badania nad traktatami przygotowanymi przez polskich pisarzy politycznych w okresie od zawarcia unii lubelskiej aż do upadku I Rzeczypospolitej. Jest to dzieło wyjątkowe, gdyż precyzyjnie przybliża siatkę pojęciową polskiego narodu szlacheckiego. Wśród kluczowych zagadnień Grześkowiak-Krwawicz wyróżniła takie jak: Rzeczpospolita, Prawo, Wolność, Od Forma Mixta do podziału władz, Zgoda, Cnota Radą dla Rzeczpospolitej, Patriotyzm, Dawność. Każdemu z wyżej przytoczonych pojęć poświęciła osobne rozdziały, w których w pogłębiony sposób przedstawiła, jak je wówczas rozumiano. Ostatni rozdział dotyczy kwestii, które pozostawały poza głównym horyzontem rozważań polskich pisarzy politycznych (wśród nich na pierwszy plan wysuwa się Własność). Jedynym drobnym mankamentem książki jest brak klasycznego podsumowania, zbierającego całościowe wnioski autorki. Liczę jednak, że „Dyskurs polityczny Rzeczpospolitej Obojga Narodów" będzie tylko pierwszym krokiem Grześkowiak- Krwawicz do przedstawienia stylu myślenia polskiego narodu szlacheckiego.

eprasa.pl 78b78ef26b

Piotr Kardela, Marcin Kruszyński, „Generał Gustaw Orlicz-Dreszer 1889–1936", IPN, Warszawa 2018

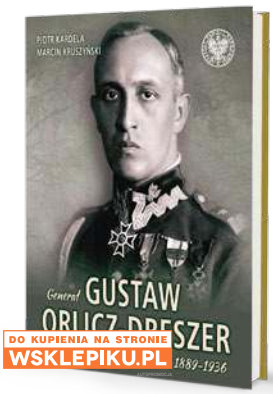

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Instytut Pamięci Narodowej z okazji setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości wydał serię albumów dotyczących postaci, które przyczyniły się do powrotu naszej Ojczyzny na mapy Europy. Obok dzieł poświęconych największym i najbardziej zasłużonym, jak Dmowski czy Piłsudski, pojawiły się również prace dotyczące osób z drugiego szeregu. Wśród nich warto zwrócić uwagę na biografię gen. Gustawa Orlicz-Dreszera Piotra Kardeli i Marcina Kruszyńskiego. Autorzy przybliżyli nam losy wojskowego, który wykazał się sprawnością bojową i sprawdził się jako dowódca w czasie I wojny światowej, walk z bolszewikami oraz już w II RP jako członek korpusu oficerskiego. Wiele miejsca zajmuje również przedstawienie roli Orlicz-Dreszera w czasie zamachu majowego oraz w okresie kierowania Ligą Morską i Kolonialną.

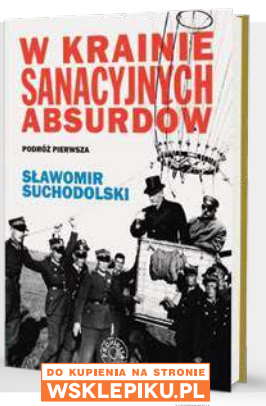

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Sławomir Suchodolski, „W krainie sanacyjnych absurdów. Podróż pierwsza", Prohibita, Warszawa 2018

W opisie rządów sanacyjnych do dzisiaj dominują uproszczone sądy oparte na sentymentach. Wynika to w znacznej mierze z porównywania z okresem PRL, na tle której II RP miała się jawić jako państwo niemal wymarzone. O tym, że tak nie było, szczególnie po zamachu majowym, przekonuje nas kolejna książka Sławomira Suchodolskiego. Autor opisał w niej wiele absurdów biurokratycznych z okresu rządów sanacji, od niezwykle sztywnej polityki paszportowej (bardziej represyjnej niż w okresie rządów Edwarda Gierka), przez restrykcyjny obowiązek meldunkowy, aż po politykę „estetyzacji i higienizacji Narodu" wdrażaną przez premiera Sławoja-Składkowskiego. Szczególnie interesujące są uwagi autora na temat absurdalnej polityki celnej oraz kultu marszałka Piłsudskiego, który przybrał charakter niemal bałwochwalczy.

Roman Bartnicki, „Korzenie UKSW. Z dziejów uczelni na warszawskich Bielanach", UKSW, Warszawa 2018

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego jest jedną z najmłodszych polskich uczelni. Jego korzenie sięgają początku lat 50. XX w., gdyż wywodzi się bezpośrednio z powstałej w 1953 r. Akademii Teologii Katolickiej. Uczelnia, która powstała z inicjatywy władz komunistycznych jako narzędzie do tworzenia podziałów wśród duchowieństwa, z czasem stała się ważnym dla Kościoła w Polsce narzędziem edukacji naukowej duchowieństwa. Ksiądz Roman Bartnicki, dawny rektor UKSW, szczegółowo opisał jej korzenie, poczynając od nakreślenia najstarszych tradycji nauczania teologii w Warszawie, aż do 2005 r., gdy zakończył swoją drugą rektorską kadencję. Autor przedstawił nie tylko dzieje instytucjonalne ATK, a następnie UKSW, ale nakreślił również sylwetki najważniejszych wykładowców, wśród których nie brakowało badaczy o uznanej międzynarodowej renomie. Pracę ks. Bartnickiego należy traktować jako syntetyczny przewodnik po dziejach uczelni, w którym czytelnik znajdzie najważniejsze fakty z zakresu jej historii. Przy czym należy podkreślić, że zostały one przedstawione w interesujący sposób i uzupełnione o ważne dokumenty źródłowe.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak, „Artyści PRL i bezpieka", Księży Młyn, Łódź 2018

Zagadnienie relacji w PRL między artystami a bezpieką było już przedmiotem studiów kilkunastu badaczy, na czele z Bohdanem Urbankowskim i jego klasyczną „Czerwoną mszą". Sebastian Ligarski i Grzegorz Majchrzak w swojej najnowszej książce udowadniają, że jest to problematyka, która wymaga dalszych pogłębionych badań. Autorzy w przystępny sposób omawiają kilkanaście interesujących historii dotyczących tytułowego zagadnienia. Warto zwrócić szczególną uwagę na opis reakcji władz PRL na Nagrodę Nobla dla Czesława Miłosza; podejścia środowisk twórczych do zmian 1989 r.; rozmów wywiadu komunistycznego ze Zbigniewem Herbertem czy też inwigilacji przez SB Jacka Kaczmarskiego. Warto również dodać, że autorzy nie ograniczają się tylko do środowiska literackiego, ale podejmują także tematykę teatralną i muzyczną, szczególnie ciekawa jest analiza poświęcona wrocławskim festiwalom teatralnym.

REKLAMA

POLECAMY KSIĘGARNIĘ
W-wa ul. Marszałkowska 7
tel. (22) 405 66 30, 501 037 074
e-mail. ksiazkicomax@op.pl

10/0119/F

eprasa.pl 78b78ef26b

Państwowy Instytut Wydawniczy

Węgierski geniusz, który pokochał Polskę

ELŻBIETA BRZOZOWSKA

Żyjący w XIX w. wybitny węgierski kompozytor i pianista, twórca poematu symfonicznego, jeden z najwybitniejszych wirtuozów epoki, przyjmowany entuzjastycznie na tournée – taki oto encyklopedyczny skrót towarzyszy na ogół hasłu „Franciszek Liszt". Suche informacje nie oddają uroku tej wyjątkowej, nawet na tle tamtych czasów, postaci.

Stanisław Dybowski – wyborny znawca życia i twórczości Franciszka Liszta, któremu poświęcił wiele lat badań, gromadząc fascynujące i unikatowe zbiory – wybrał perspektywę, z jakiej jeszcze nikt dotąd na wielkiego Węgra nie spojrzał. Sięgając do licznych źródeł – wspomnień współczesnych mu postaci, recenzji, wzmianek, listów, biografii, w końcu twórczości samego Liszta – wydobył z nich urzekającą opowieść o uczuciu, jakim wielki artysta darzył naszych rodaków i samą Polskę – wymazaną z map Europy, ale żywą dzięki patriotom, którzy polskość podtrzymywali i pielęgnowali.

Była to zresztą miłość w pełni odwzajemniona, poczynając od tłumów zachwyconych jego grą melomanów po postacie, które znacząco zaważyły na losach kompozytora – Karolinę Sayn-Wittgenstein de domo Iwanowską oraz Fryderyka Chopina. Księżna przyczyniła się do rozkwitu geniuszu twórczego Liszta, Chopin rozszerzył jego horyzonty muzyczne. Przyjaźniąc się z Chopinem, poznał też Liszt wielu wybitnych Polaków, a w czasie występów w Polsce manifestacyjnie grywał wariacje na temat „Jeszcze Polska nie zginęła" – co nie uszło uwadze agentów tajnej policji carskiej. Powszechna wiedza o polskich sympatiach Liszta sprawiła, że stracił on przychylność cara Mikołaja I, zyskując tym samym w Petersburgu nowych wielbicieli. Przyczyniły się do tego też anegdoty, jak ta o koncercie na carskim dworze, gdy monarcha rozpoczął rozmowę, Liszt zaś przerwał grę i zapytany o powód odparł: „Gdy car mówi, wszyscy powinni milczeć". Innym razem indagowany o poglądy polityczne stwierdził, że nie ma ich i mieć nie będzie, póki nie zgromadzi na ich użytek 300 tys. bagnetów.

Sympatia, jaką Franciszek Liszt okazywał naszej ojczyźnie i muzyce, zasługuje na wdzięczność i pamięć, a książka Stanisława Dybowskiego jest ich pięknym dowodem.

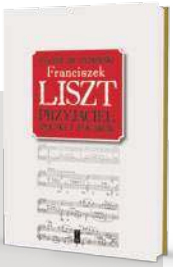

Stanisław Dybowski, „Franciszek Liszt. Przyjaciel Polski i Polaków", Państwowy Instytut Wydawniczy 2018

Powstanie dla wnucząt

GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

Grudniowe mroźne dni kojarzą nam się ze świąteczną krzątaniną i zapachem choinki. Wielkopolanom jednak przynoszą także inne wspomnienia – to dni, w których ich przodkowie chwycili za broń i w zwycięskim powstaniu przyczynili się do tego, że Wielkopolska stała się częścią odrodzonej Polski. Ta historia jest głównym tematem książki Magdaleny Podbylskiej „A u nas powstanie!".

Poznajemy ją dzięki opowieści dziadka, który pewnego dnia informuje rodzinę, że napisał książkę. Wnuki – Ola i Wojtek – zareagowały bez entuzjazmu. Jednak nastolatkowie, początkowo zmuszeni do słuchania dziadkowej historii, z każdą chwilą coraz bardziej się w nią wciągają. Okazało się, że opowieść dziadka to historia ich rodziny, a jeden z bohaterów, czteroletni Kazik, to nikt inny, tylko on sam.

Główna akcja książki dzieje się w grudniu 1918 r., mieszkańcy Poznania oczekują przyjazdu Ignacego Jana Paderewskiego. Wśród nich są Grześkowiakowie – polska rodzina, zaangażowana od wielu lat w działalność niepodległościową. Ojciec Kazika – nauczyciel, został zwolniony ze szkoły za wywieszenie polskiej flagi, dzieci uczęszczają na tajne lekcje, w domu czyta się „Ogniem i mieczem". U Grześkowiaków jest gwarno, wiele się tam dzieje – z frontu powraca najstarszy syn, który od razu angażuje się w działalność powstańczą. Jego młodszy brat na strychu przechowuje broń, siostry szyją biało-czerwone wstążki na mundury powstańcze, a najmłodszy Kazik zostaje mianowany przez mamę „szefem kuchni polowej". Bohaterowie pokazują, jak ważne dla nich w codziennym życiu są słowa: „Bóg", „Honor", „Ojczyzna", a świadczą o tym chociażby szacunek do drugiego człowieka, dbałość o porządek czy wypełnianie jak najlepiej domowych obowiązków.

Zastosowany przez autorkę pomysł połączenia dwóch narracji – współczesnej rzeczywistości Oli i Wojtka z wspomnieniami ich dziadka – pozwolił na porównanie życia codziennego młodych ludzi w dwóch różnych rzeczywistościach. Czasem takie proste zabiegi potrafią nauczyć więcej niż szkolny podręcznik. I po raz kolejny sprawdza się to, że opowieści snute przez dziadków są dla wnuków najlepszą lekcją historii.

Magda Podbylska, „A u nas powstanie!", Wydawnictwo Bis, Warszawa 2018; wiek 8+

eprasa.pl 78b78ef26b

Wojna z „obcymi"

„DUNKIERKA" Z 2017 r. NIE JEST TYPOWYM FILMEM WOJENNYM NA MIARĘ XXI w.

KAROL MAZUR

O ile większość produkcji o II wojnie światowej to heroiczne spektakle z pokazem wyrafinowanych komputerowych efektów specjalnych, o tyle obraz Christophera Nolana zaskakuje swoją powściągliwością i nowatorstwem narracji. Można powiedzieć, że film ten to dzieło na wskroś artystyczne, gdzie obok kina realistycznego mamy do czynienia z kreacyjną sztuką montażu i osobliwą grą w czasoprzestrzeni.

„Dunkierka" opowiada o wydarzeniach z przełomu maja i czerwca 1940 r. Kiedy siły niemieckie niepodziewanie uderzyły na Francję, przez belgijskie Ardeny i dalej w kierunku kanału La Manche, zgrupowanie aliantów w sile blisko 400 tys. żołnierzy francuskich, brytyjskich i belgijskich znalazło się w okrążeniu. Kocioł obejmował niewielki rejon wokół niedużego miasta i portu Dunkierka. Okrążone wojska nie były w stanie podjąć akcji zaczepnych i zostały zmuszone do obrony. W końcu dowództwo brytyjskie podjęło decyzję o ewakuacji jednostek do Anglii drogą morską. Operacja ta, która przeszła do historii pod nazwą „Dynamo", odbywała się w dramatycznych warunkach. Porzuciwszy ciężką broń i sprzęt, żołnierze stali na plaży głodni i wyczerpani, oczekując w kolejce na ewakuację. Próbowali dotrzeć do Anglii niemal wszystkim, co mogło pływać – nie tylko okrętami i łodziami marynarki wojennej, ale także cywilnymi żaglówkami i rybackimi kutrami. W tym czasie Niemcy utrudniali ewakuację ciągłymi atakami Luftwaffe i łodzi podwodnych. Pomimo tych trudności i ciężkich strat (głównie w sprzęcie) operacja zakończyła się sukcesem. 338 226 żołnierzy zostało uratowanych, co pozwoliło aliantom przegrupować siły w dalszej walce przeciwko III Rzeszy i jej sojusznikom.

Film brytyjskiego reżysera przedstawia dramat operacji „Dynamo" z kilku perspektyw. Głównym bohaterem jest brytyjski szeregowy Tommy, który wraz z towarzyszami na różne sposoby próbuje się wydostać z francuskiej plaży. Pojawiają się też inne postacie. Ewakuacją w porcie kieruje komandor Bolton, który bacznie obserwuje sytuację z molo i wydaje rozkazy. Na pomoc żołnierzom rusza z południowej Anglii na swoim jachcie pan Dowson, który odpowiada na wezwanie brytyjskiego rządu o ratunek, oraz eskadra myśliwców pod dowództwem Farriera, która ma zapewnić osłonę wycofującym się jednostkom. Wszystkie te wątki zostały pokazane z właściwą dynamiką, zazębiają się i wzajemnie uzupełniają.

„Dunkierka" to na pewno bardzo dobre kino artystyczne. Nolan w sposób bardzo plastyczny przedstawia zmagania bohaterów z wszelkimi przeciwnościami podczas ewakuacji. Siłą tego filmu są przede wszystkim obraz i ścieżka dźwiękowa. Każdy kadr i dźwięk wydają się perfekcyjnie dopieszczone. Dzięki zastosowaniu kamer IMAX widz może się poczuć świadkiem wydarzeń, a odgłos spadającej bomby u niejednego powoduje ciarki na plecach. Dodać należy, że wszystkie te ujęcia zostały zrealizowane w plenerze z minimalnym zastosowaniem technik komputerowych. Inną uderzającą cechą „Dunkierki" jest ubóstwo dialogów. Bohaterowie Nolana wygłaszają krótkie komunikaty między sobą, unikając długich wypowiedzi i komentarzy. W efekcie postacie nie zostały dogłębnie sportretowane psychologicznie i niekiedy wydają się pozbawione emocji. Nie oznacza to jednak, że film traci wymiar heroiczny. Nolan przedstawia zbiorowe doświadczenie Brytyjczyków (w mniejszym zakresie Francuzów czy Belgów) jako pewną traumę, z której jednak jako naród wyszli zwycięsko.

To, co budzi największe wątpliwości w „Dunkierce", to brak namacalnego wroga. Bohaterowie walczą z okolicznościami, a nie siłami Adolfa Hitlera. Wydaje się nawet, że oglądamy film nie tyle wojenny, ile katastroficzny. Głównymi przeciwnikami stają się żywioły: morze, rozlana ropa, skądś spadające bomby i pociski. Niemcy pojawiają się dopiero pod koniec filmu. Przy czym nie widzimy ich twarzy, tylko sylwetki. Można nawet odnieść wrażenie, że mamy tu do czynienia z jakimiś „obcymi" rodem z filmu SF. Zabieg ten – oczywiście uzasadniony ze względów artystycznych – musi budzić opory u nas, Polaków, jednych z głównych ofiar niemieckiego bestialstwa podczas II wojny światowej. Z naszej perspektywy wróg miał wtedy jasno określoną przynależność narodową, mówił określonym językiem i reprezentował zbrodniczą ideologię niemieckiego totalitaryzmu.

FOT. MAT. PRASOWE WARNER BROS. PICTURES

eprasa.pl 78b78ef26b

Bezprawie, czyli normalność PRL

WACŁAW LESZCZYŃSKI

W styczniu 1963 r. zaproszono mnie do Komitetu Zakładowego PZPR, nieoficjalnie zwanego „Białym Domem". Czekał na mnie I sekretarz Oddziałowej Organizacji Partyjnej (wydziału), dr inż. Czesław K., adiunkt jednej z katedr.

Nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, może tylko w przelocie. Od początku wizyty on wciąż „ogromnie się cieszył", że zostałem na uczelni – „taki świetny student!". Zapewne wiedział o mej roli przy wyborze prof. Wojtysiaka na posła w latach 1956–1957. Mógł też wiedzieć, że byłem dobrym studentem i że w wyniku tego Senat przyznał mi na kursie magisterskim jedyne na wydziale stypendium im. Benedykta Dybowskiego. Ja o nim wiedziałem, że był jednym z tych, których komitet partii na początku lat 50. kierował do poszczególnych katedr, by zastąpili „reakcyjnych" profesorów. Wiedziałem też, że był działaczem byłej „czerwonej" Organizacji Harcerskiej i przed paru laty interesował się drużyną akademicką ZHP, którą wtedy tworzyłem. Dr K. pytał o moje osiągnięcia naukowe: „A, będzie już kolejna pana publikacja, to świetnie!". Pytał też o moją sytuację mieszkaniową: „Bo w razie czego to pomożemy". W rękach trzymał wniosek o awansowanie mnie na stanowisko starszego asystenta „po raz pierwszy" (na trzy lata, potem można było przedłużyć na następne trzy lata). „Oczywiście podpiszę się pod nim oboma rękami!". Życzył mi „dalszej owocnej pracy", odprowadził do drzwi, pożegnał i gdy już byłem na korytarzu, nagle zakrzyknął: „Ach, bym zapomniał! Miałem pana jeszcze spytać, czy nie działa pan w jakiejś organizacji religijnej?". Odpowiedziałem, że nie. „A do Klubu Inteligencji Katolickiej pan nie należy?". „Tak, ale jestem członkiem, nie działaczem". „No tak, ale jednak... to musimy jeszcze porozmawiać".

Wróciliśmy do środka, a on zaczął mówić, że w Polsce jest tolerancja religijna, ale „działalność", bo tym jest jednak członkostwo KIK, to inna sprawa, że „mogą to zobaczyć studenci", a to niedobrze! (czyżby im to miało zaszkodzić?!). Potem zaczął mówić, jaka to strata dla młodego człowieka, który ma już osiągnięcia, a musi zmienić charakter swej pracy. Ja mu wpadłem w słowo, mówiąc, że ma rację i że to by była działalność antypaństwowa. „Jak to?" – zaperzył się. „Młody człowiek, przychodząc do pracy, jeszcze wiele nie umie, dopiero w jej trakcie nabiera wiedzy i umiejętności. W tym czasie państwo płaci za to zdobywanie doświadczenia. Dopiero po jakimś czasie zaczyna on przynosić państwu korzyści. Jeżeli w tym czasie zmieni rodzaj pracy, to państwo ponownie, od początku płaci na jego dokształcanie się, zamiast odnosić korzyści w pracy poprzedniej". Trochę to go zbiło z tropu, ale znowu zaczął mówić „w kółko to samo", a to jego powtarzanie się trwało dość długo.

FOT. EAST NEWS/BOGDAN SARWINSKI

Wiedziałem, że kilkoro pracowników naszej uczelni, członków KIK, zwolniono z pracy pod różnymi pozorami. Byłem też już pewien, że właśnie to moje członkostwo KIK było faktyczną przyczyną zaproszenia do komitetu. Wobec tego przerwałem jego perorę i spytałem: „Rozumiem, że mam do wyboru – albo wystąpię z KIK, albo muszę odejść z uczelni, czy tak?!". „No pan to tak brutalnie ujął, ale w zasadzie, to tak". Ja na to: „Nie ma sprawy, praca jest ważniejsza od przynależności do jakiegoś klubu. Ja się z niego wypiszę! Prosiłbym tylko pana doktora o takie pismo, że mam się z KIK wypisać, ja z nim pójdę do wiceprzewodniczącego KIK od spraw personalnych, posła Mazowieckiego, on mnie na tej podstawie skreśli i już". Tadeusz Mazowiecki formalnie, dla podniesienia rangi Klubu, był jego wiceprzewodniczącym, ale nigdy na zebraniach klubu go nie widziałem. Tym bardziej nie zajmował się sprawami personalnymi, ale liczyłem na to, że tow. K. o tym nie wie. A on na to aż podskoczył do góry: „Ja takiego pisma panu dać nie mogę!". Jasne, że nie mógł, bo to, co robił, było przestępstwem. KIK był legalną organizacją i formalnie, zgodnie z prawem, nie wolno było dyskryminować jego członków. W dodatku to przypomnienie, że tam działa poseł na Sejm! Widząc jego zmieszanie, drążyłem dalej: „No to na jakiej podstawie mam się wypisać z KIK, co mam powiedzieć posłowi Mazowieckiemu, żeby mnie skreślił ?" (specjalnie powtórzyłem wersję z posłem). Towarzysz K. był już całkiem skołowany: „No... no musi pan coś wymyślić!". Mając inicjatywę w ręku, „wpadłem" na „genialny pomysł". Powiedziałem: „Wie pan co? Ja tam nie będę chodził na zebrania i oni mnie na podstawie braku frekwencji sami skreślą!" (są ponoć organizacje, co tak robią). Towarzysz K. był zachwycony: „O tak, tak, niech pan tak zrobi!". Jeszcze mnie namawiał, bym się zaangażował w pracę w ZMS, i na tym rozmowa się skończyła.

Poszedłem potem do prof. Suskiego, prezesa KIK, on mi radził się wypisać, nie narażać się. Ale jak przyszło pismo o awansowaniu mnie na starszego asystenta (od 1 stycznia 1963 r.), pomyślałem, że mam trzy lata czasu i nie wypisałem się z KIK, zwłaszcza że władze ograniczały zezwolenia na zebrania „otwarte", na które mogli przychodzić również nie-członkowie.

eprasa.pl 78b78ef26b

Trzy lata później, gdy kończył mi się pierwszy, trzyletni okres zatrudnienia na stanowisku starszego asystenta, odwiedził mnie w katedrze dr inż. Mieczysław D., adiunkt jednej z katedr, pełniący wówczas funkcję I sekretarza Oddziałowej Organizacji Partyjnej. Rozmawiając ze mną, chodził po laboratorium, a w pewnej chwili zapytał: „Panie Wacku, a jak tam z tym KIK?". Wydawało mi się, że było mu głupio mówić o tym, był porządnym człowiekiem, ale musiał usłyszeć moją deklarację na ten temat. Ja mu odpowiedziałem, że „mi bardzo przykro", ale mam bardzo dużo zajęć dydaktycznych, muszę się też śpieszyć z badaniami do pracy doktorskiej, więc nie mam czasu chodzić do KIK („tłumaczyłem się" z tego). A on na to: „To bardzo dobrze, niech pan nadal nie ma czasu!". I poszedł. Jako I sekretarz OOP PZPR musiał podjąć decyzję, czy wydać zgodę na przedłużenie mi angażu na stanowisku starszego asystenta na kolejne trzy lata – i wydał. Otrzymałem więc zatrudnienie na kolejny okres. Więcej się nikt mnie o nic nie pytał, miałem z tym spokój przez długi czas. Bez kłopotów ze strony PZPR awansowano mnie na adiunkta po uzyskaniu stopnia doktora. Że z nich zakpiłem i jestem nadal w KIK, zorientowali się chyba dopiero, gdy habilitowałem się w 1977 r. Bo wtedy starano się unieważnić moją habilitację w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej ds. Kadr Naukowych. Ale to już inna historia.

Mozół tworzenia

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Adaptacja „Burzy" w Teatrze Narodowym rozrosła się do rozmiaru eseju o wszystkim, zatem o niczym. Paweł Miśkiewicz chyba przesadził z wiarą w pojemność Szekspirowskiej opowieści.

Kłopot z tym przedstawieniem rozpoczyna się, jeszcze zanim zasiądziemy, by je obejrzeć. Chyba każdy chciałby rozszyfrować sekret dziwnie skompilowanego tytułu, którym Paweł Miśkiewicz opatrzył inscenizację. Otóż to nie „Burza" Szekspira i nawet nie „Burza" według czy na podstawie autora, jak czasem uczciwie – choć nadal za rzadko – określa się na afiszu daleko idące zmiany wobec oryginału tekstu, lecz „Burza Williama Szekspira". Co to oznacza? Przed samym spektaklem powinno to dawać nadzieję, że zobaczymy teatr nad wyraz wierny temu, co napisał mistrz, ale dość szybko się okazuje, iż to paradoks, żart, zgryw, a może wabik na widza – nie wiem. Realizacja Miśkiewicza jest bowiem sztandarowym przykładem tzw. przepisywania na scenie.

Wcale nie stawiałbym na to, że tak miało być od samego początku. Pierwsze 20 minut u Miśkiewicza wydaje się otwarciem, kluczem do dalszej historii; przynajmniej relacja między Prosperem (Jerzy Radziwiłowicz) a Arielem (Mariusz Benoit) wskazuje, że interpretacja skupi się tym razem na niezaspokojonej ambicji Prospera, który tonie w resentymentach i pała żądzą zemsty za swe nieszczęście, nie oszczędzając sługi Ariela (który zlał się tu w jedną postać z Kalibanem).

FOT. KRZYSZTOF BIELINSKI/TEATR NARODOWY

Ciekawe zatem, dlaczego tak szybko ta adaptacja zaczyna się rozpadać na epizody, coraz bardziej wielopiętrowe i coraz bardziej zagmatwane. Postaci tracą swój status i jeśli w przypadku Ariela oraz Kalibana jest w tym sens, to tak nagłe odcięcie się od zdarzeń zapisanych przez Szekspira staje się dla widza zabójcze (kuriozalne choćby tylko muśnięcie wątku ślubu Mirandy i Ferdynanda). A przecież niemal zawsze tworzenie eseju wokół „Burzy" tłumaczy się świetnie, bo dramat ten pozwala rozważać o samotności artysty, ułudzie sztuki oraz teatru, który nie ma szans wobec rzeczywistości: dość przypomnieć wybitne „Morze i zwierciadło" (2002) Jerzego Grzegorzewskiego według poematu Wystana Hugh Audena, jedno z ostatnich dzieł tego reżysera na scenie narodowej.

Paweł Miśkiewicz też korzysta z tekstu Audena, ale jednocześnie chce mówić o wszystkim innym: o jakimś dorzuconym jako temat kryzysie męskości, o niemożności wyjścia z traumy, o bezcelowości dialogu między przeciwnikami. Jako punkt odniesienia wykorzystuje także książkę „Wyspa skazańców" Stiga Dagermana, w której kilkoro rozbitków wylewa z siebie lęki nagromadzone przez całe życie. To ważne w kontekście „Burzy", jednak u Miśkiewicza natychmiast traci ostrość i rozmywa się w potoku słów. Całości nie ratuje kilka scenograficznych perełek Barbary Hanickiej. Cóż, przedstawienia nie można jedynie rozpocząć. Trzeba wiedzieć, jak potem się nie pogubić.

„Burza Williama Szekspira", reż. Paweł Miśkiewicz, Teatr Narodowy (Sala Bogusławskiego), premiera: 1 grudnia 2018 r.

eprasa.pl 78b78ef26b

WSZYSTKIE PSY KRÓLOWEJ ELŻBIETY

POŁĄCZENIE LISA Z JAMNIKIEM. BARDZIEJ ORYGINALNEJ RASY BRYTYJSKA RODZINA KRÓLEWSKA NIE MOGŁA SOBIE WYBRAĆ

MAGDALENA SZCZEPANIAK

Dynastia welsh corgi pembroke w rodzinie Windsorów nastała w 1933 r. za panowania Jerzego VI, ojca Elżbiety II. Ponoć przyszła monarchini pokochała tę rasę za niewielkie rozmiary corgi, dzięki czemu jako mała dziewczynka mogła nosić psy na rękach. Król Jerzy wsławił się także hodowlą żółtych labradorów, ale to corgi po dziś dzień jest ulubioną rasą Elżbiety II. W 1944 r. na 18. urodziny dostała suczkę Susan, od której w prostej linii wywodziło się 30 psów, których panią była przez całe swoje życie. Susan towarzyszyła Elżbiecie i Filipowi w podróży poślubnej w 1947 r.

Jeśli ktoś nie widział krótkiego filmu z odtwórcą roli Jamesa Bonda Danielem Craigiem, kiedy ten przyjeżdża do Pałacu Buckingham, aby zabrać królową Elżbietę na ceremonię otwarcia Letnich Igrzysk Olimpijskich w Londynie w 2012 r., czas nadrobić zaległości. Oprócz dawki angielskiego humoru możemy podziwiać w klipie trzy corgi – Holly, Willow i Monty'ego. Niestety, żadnego z nich nie ma już na świecie. Pierwszy zdechł Monty jeszcze w roku igrzysk, Holly w 2016 i Willow w 2018 r. Królowa po śmierci pierwszego zdecydowała, że nie będzie mieć nowych psów, ponieważ czuje się za stara na opiekę nad nimi i nie chce pozostawić żadnego w wypadku swojej śmierci. Willow była przedstawicielką 14. pokolenia psów tej rasy w otoczeniu monarchini. Została pochowana w ogrodach pałacowych, a na kamieniu wyryto napis: „Wierna towarzyszka królowej".

Dla monarchini psy były przyjaciółmi i towarzyszami, ale też terapią nieśmiałości. Elżbieta miała problem ze swobodną rozmową z obcymi ludźmi, ale gdy w jej otoczeniu znajdowały się zwierzęta, pomagały jej nawiązać kontakt lub przerwać ciszę. Psy miały własny pokój w Pałacu Buckingham i spały w wysokich, wiklinowych koszach. Pałacowy szef kuchni przygotowywał dla nich posiłki oparte na specjalnie ułożonej diecie. Jeździły limuzynami, latały helikopterami. Generalnie – arystokratyczne czworonogi.

Kilka razy corgi pokazały zęby. W 1959 r. królewski zegarmistrz został ugryziony przez Susan, a policjant na służbie przez innego psiaka tej rasy. W 1989 r. zatrudniono psychologa zwierzęcego, ponieważ psy miały zwyczaj szczypania rodziny królewskiej i personelu. W tym samym roku Ranger poprowadził bandę corgi do ataku i zagryzły one ukochanego dorgi królowej – Chippera (dorgi to rasa powstała ze skrzyżowania corgi z jamnikiem). Zaledwie dwa lata później Elżbieta ucierpiała, kiedy próbowała rozdzielić swoją dziesiątkę walczących psów. Założono jej trzy szwy na lewej ręce. Do smutnego wydarzenia doszło w 2003 r., kiedy Pharos (dziesiąte pokolenie od Susan) musiał zostać uśpiony po tym, jak pokiereszował go bulterier księżniczki Anny, która przyjechała w odwiedziny do swojej matki na święta Bożego Narodzenia do Sandringham w hrabstwie Norfolk. Dottie rozszarpała Pharosa, połamała mu tylną łapę w trzech miejscach.

Podobno welsh corgi jest w Walii od zawsze. Pierwsze oficjalne wzmianki o rasie corgi pochodzą z 920 r., gdzie w Kodeksie walijskim ówczesny król Howell Dha oszacował wartość niektórych zwierząt, w tym corgi. Zajmowały się one przez lata asystą przy wypasaniu stad owiec, bydła i koni, w czym pomocny był im niewątpliwie niski wzrost. Dzięki niemu mogły podgryzać pęciny zwierząt, unikając przy tym przypadkowego kopnięcia. W 1934 r. podzielono je na dwie rasy: welsh corgi pembroke (z krótkim ogonem) i welsh corgi cardigan (z długim). Ich nazwa wywodzi się najprawdopodobniej z języka staroceltyckiego, gdzie cor oznacza mały, a gi – pies.

Corgi mają wspaniały charakter. Są niezwykle przyjacielskie, posłuszne, łagodne i zrównoważone. Są bardzo towarzyskie i przywiązują się do właścicieli. Lubią też ruch, szczególnie na świeżym powietrzu. Ten nieduży pies jest dobrze umięśniony, krępy i ma silnie zbudowaną sylwetkę.

Królowa od lat hodowała też labradory retrievery i spaniele. Wszystkie jej psy zostały przez nią osobiście wyszkolone i wytresowane – ma ona opinię wybitnego szkoleniowca. Królowa posiada również psy myśliwskie, które regularnie biorą udział w polowaniach. O ile jednak spaniele i labradory są szkolone do wykonywania poleceń i biorą udział w polowaniach, o tyle corgi to zupełnie inna bajka sięgająca dzieciństwa i serca księżniczki, która została królową.

eprasa.pl 78b78ef26b

„SMAROWNICA", CZYLI PISTOLET MASZYNOWY M3

KACPER GROCHOCKI

TEJ BRONI AMERYKAŃSKA ARMIA UŻYWAŁA PRZEZ NIEMAL PÓŁ WIEKU

Podstawowym pistoletem maszynowym US Army w momencie wybuchu II wojny światowej był Thompson wz. 1928. Była to broń niezawodna i dobrze wykonana, jednocześnie jednak droga i czasochłonna w produkcji. W 1941 r., jeszcze przed włączeniem się Stanów Zjednoczonych do wojny, departamenty wojsk USA odpowiedzialne za rozwój uzbrojenia zauważyły potrzebę posiadania we własnych szeregach pistoletu maszynowego podobnego do brytyjskiego Stena i niemieckiego MP 40. Najważniejszymi założeniami dla nowej broni miały być: łatwość produkcji, całkowicie metalowa konstrukcja, prosty demontaż oraz niska cena. Jednocześnie wymagana była odpowiednia celność i siła ognia.

Testom poddano wiele konstrukcji, produkcji zarówno własnej, jak i zagranicznej, jednak żadna nie usatysfakcjonowała w pełni przedstawicieli armii amerykańskiej. Jako że eskalacja konfliktu trwała i USA rozpoczęły aktywny w nim udział, intensyfikowano poszukiwania alternatywy dla Thompsona. Znaleziono tymczasowe rozwiązanie w postaci pistoletu maszynowego projektu Georga Hyde'a, niemieckiego imigranta przybyłego do Stanów Zjednoczonych w 1926 r. Hyde współpracował z firmą General Motors i już wcześniej jego konstrukcje były testowane przez US Army, i choć nie zostały przyjęte do uzbrojenia, to pozostawiły po sobie pozytywne wrażenie. Broń przyjęto do służby pod oznaczeniem M2 w kwietniu 1942 r., jeszcze przed zakończeniem pełnych testów.

Współpracę z Hyde'em kontynuowano, a on sam otrzymał dodatkowe wytyczne dotyczące nowego peemu, m.in. konieczność wyposażenia w uchwyt pistoletowy, długość z rozłożoną kolbą nieprzekraczająca 36 cali (ok. 91 cm), magazynek o pojemności 20–50 pocisków.

Hyde rozpoczął działania na pełną skalę w październiku 1942 r., kiedy zakończył swój udział w pracach nad pistoletem FP-45 Liberator. Już w następnym miesiącu przedstawił, wraz z Frederickiem Sampsonem z General Motors, odpowiedzialnym za planowanie produkcji projektowanej broni, prototyp nowego pistoletu maszynowego. Pod koniec listopada konstrukcja została poddana intensywnym testom na poligonie. Sprawdzian wypadł pomyślnie, armia oczekiwała tylko niewielkich poprawek. Już 24 grudnia 1942 r. pistolet maszynowy Hyde'a został przyjęty do uzbrojenia armii Stanów Zjednoczonych jako model M3. Nieoficjalnie żołnierze ochrzcili broń „smarownica" (ang. grease gun), ponieważ wyglądem przypominała smarownice używane w warsztatach samochodowych. Produkcję, choć pierwotnie powolną, uruchomiono w początkach 1943 r., co jednocześnie skutkowało wycofaniem peemu M2, którego masowego wytwarzania jeszcze nawet nie rozpoczęto (powstało ok. 400 egz.). Do jednostek liniowych nowy M3 zaczął trafiać w 1943 r., a chrzest bojowy przeszedł w czerwcu 1944 r. podczas walk w Normandii.

„Smarownica" była pistoletem maszynowym o metalowej konstrukcji, samoczynnym i działającym na zasadzie odrzutu zamka swobodnego. Broń wyposażono w pudełkowy magazynek o pojemności 30 naboi kalibru 11,43 mm (45 ACP) i składaną kolbę. Niezaładowany egzemplarz ważył 3,7 kg.

Broń okazała się niezawodna, odporna na zabrudzenia i bardzo poręczna. Żołnierze żartowali, że jeśli M3 się zepsuje, to należy go wyrzucić i pobrać nowy. „Smarownica" zapewniała dobrą siłę ognia i zadowalającą celność, miała jednak też swoje wady. Specyficzna konstrukcja wewnętrzna magazynka utrudniała jego ładowanie, a do napinania zamka używana była korbka. Tę drugą kwestię rozwiązano we wprowadzonym w grudniu 1944 r. modelu M3A1, w którym zastosowano też kilka innych poprawek. Łącznie, do końca wojny, wyprodukowano ok. 622 tys. szt. obu wersji. Montaż broni prowadzono jeszcze do początków lat 50.

W użyciu bojowym M3 na większą skalę pozostawał w armii USA do wojny w Wietnamie. Później używały go jeszcze oddziały specjalne i załogi pojazdów (te ostatnie nawet w latach 90. podczas operacji „Pustynna Burza"). Ponadto „Smarownice" zakupiło lub w inny sposób uzyskało od US Army wiele państw Ameryki Południowej, a także Grecja, Francja, a nawet Japonia.

eprasa.pl 78b78ef26b

O SOBIE MÓWIŁA: „JESTEM REWOLUCJONISTKĄ Z TEMPERAMENTU, A TRADYCJONALISTKĄ Z UPODOBANIA". PRZYZNAWAŁA SIĘ TEŻ, ŻE JEST „CHOROBLIWIE POLKĄ"

FENOMEN PANNY STEFANII

JOANNA PUCHALSKA

Tadeusz Miciński nazwał ją „Nike Burzy", Wojciech Gerson namalował w alegorycznym obrazie Polski i Litwy „Siostry". Adam Pragier pisał o niej: „Rosła jak Junona, niepospolicie piękna [...] wyglądała jak królowa z portretu flamandzkiego, z domieszką prerafaelickiego uroku Burne-Jonesa, romantyzmu Grottgera, a po trosze i secesji".

Chodziła w staroświeckich czarnych sukniach z trenem, po mieście poruszała się tylko dorożką.

Nauczycielka z powołania

Stefania Sempołowska, urodzona w 1869 r., wychowana w majątku babki w zaborze pruskim, ukończyła warszawską pensję Teresy Jadwigi Papi, po czym zdała państwowy egzamin nauczycielski uprawniający do wykonywania zawodu. Wykształcenie uzupełniała samodzielnie i na tajnym Uniwersytecie Latającym. Od początku wykazywała społeczne podejście, pomagając w organizowaniu odbywających się w prywatnych mieszkaniach kompletów Uniwersytetu, a także udzielając się w Warszawskim Kole Oświaty Ludowej. Zaprzyjaźniła się wtedy z zakochanym w niej Bolesławem Hirszfeldem, działaczem i mecenasem nauki, który swoje dochody przeznaczał na cele społeczne. Po jego samobójczej śmierci do końca życia nosiła swoje słynne czarne suknie.

W latach 90. XIX w. we własnym mieszkaniu przy ul. Świętokrzyskiej założyła tajną szkołę dla dziewcząt. Szkoła była bezwyznaniowa, ale na życzenie rodziców znajomy kapłan uczył religii. Panna Sempołowska, jak sama mówiła, nie miała zmysłu do wierzeń religijnych, lecz szanowała je u innych, jeśli tylko nie były powierzchowne. „Zależy mi zawsze na modlitwach ludzi wierzących. Sama się nie modlę, ale wy wierzący powinniście się za mnie modlić".

Dotychczasowe podręczniki uważała za przestarzałe, więc pisała książki pomocne w nauczaniu. Wychowankom starała się zaszczepić samodzielność myślenia i wyrabiać w nich społeczne postawy.

Władzom się nie spodobało

Dobrze się czuła w odpowiadającym jej niepokornej osobowości środowisku inteligencji o radykalnych poglądach. W 1899 r. aresztowano ją za udział w demonstracji na pogrzebie działacza Jana Tańskiego i trafiła na tzw. Serbię, czyli kobiecy oddział w więzieniu na Pawiaku. Zwolniona za kaucją, objęta została nadzorem policyjnym. Nie przeszkadzało jej to w kontynuowaniu dotychczasowych zajęć, a także w dokształcaniu nauczycieli ludowych i wiejskich działaczy oświatowych. I jeszcze w tajnych kółkach gimnazjalnych prowadziła wykłady z historii Polski. Za namową znanej działaczki Wandy Umińskiej wzięła się za opiekę nad więźniami politycznymi, czemu oddała się z pasją.

Aresztowana ponownie, w akcji wymierzonej w warszawski PPS „Proletariat", została jako poddana pruska wydalona z Cesarstwa Rosyjskiego. Tłumy przyszły ją żegnać na dworcu, gdy wyjeżdżała do Krakowa. Tu uczyła geografii w prywatnym gimnazjum żeńskim, wygłaszała odczyty, uczestniczyła w tajnych zebraniach radykalnej młodzieży. Na łamach prasy zarzucała szkolnictwu galicyjskiemu serwilizm wobec Austrii i fałszowanie historii w podręcznikach, ganiła system wychowania oparty na karności. Pisała: „Bez samodzielności myślowej uczeń nie tylko nie pójdzie naprzód, ale nie potrafi skorzystać z podanych mu wiadomości". Policja miała ją na oku, groziła jej deportacja. Wobec tego latem 1905 r. nielegalnie wróciła do Warszawy i wkrótce poparła trwający osiem miesięcy strajk szkolny.

W swoim żywiole

Jako publicystka domagała się uwspółcześnienia programu nauczania. W przemówieniu na wiecu nauczycielskim mówiła o zadaniu wychowywania „wolnych obywateli wolnego społeczeństwa". Uczyła

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA (3X)

eprasa.pl 78b78ef26b

na tajnych kompletach dla dzieci i na kursach dla dorosłych, głosiła prelekcje dla prowincjonalnych towarzystw oświatowych.

W 1908 r. na I Międzynarodowym Kongresie Wychowania Moralnego w Londynie opowiedziała o prześladowaniach polskich instytucji i działaczy oświatowych w zaborze rosyjskim, co wywołało protest przedstawiciela rosyjskiego Ministerstwa Oświaty. Licząc się z represjami, po powrocie pewien czas używała nazwiska Sierpińska.

Aresztowana w tym samym roku za Uniwersytet dla Wszystkich, po pobycie w więzieniu napisała cykl artykułów o straszliwych warunkach życia kobiet i dzieci, panujących w środowiskach skrajnej biedy.

Kontynuowała opiekę nad więźniami politycznymi, i to niezależnie od ich partyjnych barw. Prowadziła kancelarię znanego prawnika Stanisława Patka, który, zakochany w niej, założył Koło Obrońców Politycznych. Działali w nim młodzi adwokaci i aplikanci, zwani „odpadkami" (bo „od Patka").

W 1913 r. podjęła z Janiną Mortkowiczową wydawanie ilustrowanego dwutygodnika dla młodzieży „Z Bliska i z Daleka" z dodatkiem dla dzieci „W Słońcu". Do współpracy pozyskała m.in. Stefana Żeromskiego, Władysława Orkana, Marię Dąbrowską, Ludwika Krzywickiego, Aleksandra Janowskiego, Janusza Korczaka, Leopolda Staffa, Kazimierę Iłłakowiczównę.

Zaczyna się Polska

W 1914 r. po wybuchu wojny organizowała schronisko dla nauczycieli ściągających do Warszawy. Po wkroczeniu Niemców w Uniwersytecie Ludowym, którego była współzałożycielką, prowadziła wykłady, urządzała wystawy historyczne w rocznice powstań narodowych oraz organizowała wycieczki historyczne i geograficzne. Bardzo lubiła oprowadzać po Warszawie.

Interweniowała w obronie działaczy POW, aresztowanych najpierw przez Rosjan, a potem przez okupacyjne władze niemieckie. Natomiast po odzyskaniu niepodległości nie podobały się jej działania na Wschodzie, gdyż z entuzjazmem odnosiła się do zmian ustrojowych w Rosji sowieckiej. Ciekawe, że jednocześnie wielbiła Józefa Piłsudskiego – ale trwało to tylko do przewrotu majowego.

Radykalnie rogata dusza

W 1920 r. przyjęła stanowisko pełnomocnika Towarzystwa Rosyjskiego Czerwonego Krzyża do spraw opieki nad jeńcami i więźniami sowieckimi w Polsce. Jej raporty o sytuacji więzionych Rosjan stały się podstawą sowieckich zarzutów kierowanych do władz polskich.

Interweniowała w sprawie aresztowanych i internowanych w obozach działaczy lewicowych, głównie komunistów, przy czym jej Biuro Pomocy dla Więźniów korzystało z funduszy Komunistycznej Partii Polski i Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom.

Współpracowała z kierownictwem KPP również przy zestawianiu list osób przeznaczonych do wymiany z ZSRR. Broniła więzionych komunistów, a także Ukraińców i Białorusinów, podejrzanych lub oskarżonych o działalność antypaństwową. Choć nie wahała się mówić władzom w oczy, że w carskich więzieniach były lepsze warunki niż teraz w polskich, jakoś jej nie przeszkadzały realia życia w Kraju Rad, a przecież wielokrotnie tam wyjeżdżała i musiała widzieć na własne oczy skutki sowieckiego terroru.

„Nie potrafiłam nigdy stanąć w żadnych szeregach partyjnych"

Nie należała do żadnej partii, ale i tak kojarzono ją ze skrajną lewicą. Jednak z jej głosem się liczono. W 1925 r. rząd wycofał się ze skrytykowanego przez nią na łamach prasy projektu ustawy o szkolnictwie. A ona atakowała władze za niewystarczające nakłady na oświatę i zbyt elitarną formułę szkolnictwa średniego, zarzucała bezradność wobec wzrostu liczby dzieci nieobjętych nauczaniem.

W 1925 r. zorganizowała protest przeciwko skazaniu na śmierć komunistycznych zamachowców: Władysława Hibnera, Władysława Kniewskiego i Henryka Rutkowskiego. Nie uznawała bowiem za zbrodnię czynu popełnionego dla idei i to do tego stopnia, że jako jedyna wniosła do Prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego prośbę o ułaskawienie Eligiusza Niewiadomskiego, zabójcy prezydenta Gabriela Narutowicza.

Ze względu na dawne zasługi oraz budzące szacunek bezkompromisowość, odwagę i poświęcenie, władze tolerowały jej radykalizm, toteż gdy w marcu 1937 r. jednak wszczęto przeciwko niej śledztwo, sporo osób się za nią ujęło, i to nie tylko z lewej strony. August Zaleski, minister spraw zagranicznych w latach 1926–1932, zaświadczył, że współpraca panny Sempołowskiej z MSZ była „jak najbliższa i najzupełniej lojalna".

Ostatnia wojna Panny Stefanii

We wrześniu 1939 r. w oblężonej przez Niemców stolicy pomagała żołnierzom broniącym pobliskiego mostu Poniatowskiego. Podobno utraciła dawne złudzenia dotyczące ZSRR, i choć to do jej mieszkania na Smolnej zgłaszali się zwalniani teraz z więzień komuniści, w listopadzie 1939 r. wysłała do Stalina protest przeciw aresztowaniom polskich intelektualistów we Lwowie.

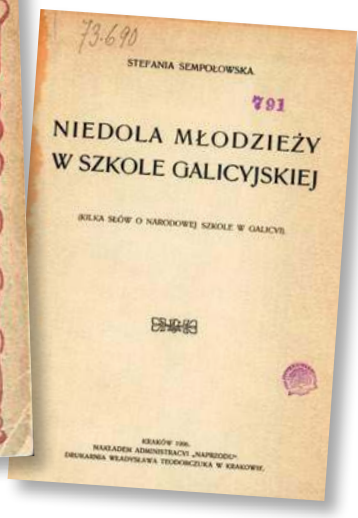

Po utworzeniu getta włączyła się w akcję pomocy Żydom. Po jego likwidacji współpracowała z Żydowskim Komitetem Narodowym w wyszukiwaniu mieszkań, w załatwianiu „aryjskich" papierów. Jednocześnie pracowała nad książką o Tadeuszu Kościuszce, którego uważała za wielkiego męża stanu. Nie dokończyła jej. Zmarła 31 stycznia 1944 r. i pochowana została w grobie rodzinnym na Powązkach.

Trzeba przyznać, że Panna Stefania, piękna warszawska rewolucjonistka-tradycjonalistka w czarnej powłóczystej sukni, naprawdę intensywnie przeżyła swoje życie.

eprasa.pl 78b78ef26b

Sprzedaż hot dogów na ulicach Nowego Jorku, koniec lat 20. XX w.

ANTYCZNY RODOWÓD FAST FOODÓW

PLAGĄ NASZYCH CZASÓW STAŁY SIĘ OTYŁOŚĆ ORAZ CHOROBY ZWIĄZANE ZE SPOŻYWANĄ ŻYWNOŚCIĄ. NAJPOPULARNIEJSZĄ DOLEGLIWOŚCIĄ ŁĄCZONĄ Z NADMIERNYM APETYTEM JEST CUKRZYCA. JEDNAK TO TYLKO WIERZCHOŁEK GÓRY LODOWEJ, KTÓRA NAWARSTWIAŁA SIĘ JUŻ OD STAROŻYTNOŚCI

KRZYSZTOF ŻARYN

Z przesytem jedzeniowym związane są również takie schorzenia, jak nadciśnienie tętnicze, miażdżyca, stany zapalne, próchnica i wiele innych. Klucz do powstawania otyłości stanowi nadmierna podaż energii z żywności. Trudno jednoznacznie powiedzieć, jaki rodzaj żywności ma najgorszy wpływ na nasze zdrowie. Jedni twierdzą, że to cukier jest największym szkodnikiem, inni będą obwiniać tłuszcz. Jedno jest pewne. Istnieje cała grupa pokarmów, która bez wątpienia odpowiada za odkładanie zbędnych kilogramów i każdy dietetyk, lekarz czy pielęgniarka to potwierdzą. Tą grupą są, dobrze nam znane i widziane na każdym kroku, fast foody. Teoretycznie jest to wymysł ostatnich stuleci, jednak zalążki tego pomysłu możemy znaleźć dużo, dużo wcześniej.

Szybko w starożytności

Jak sama nazwa wskazuje, fast food to „szybka żywność". Zapewnia ona komfort szybkiego otrzymania posiłku i szybkiej konsumpcji. Z założenia jest to również żywność wysoko kaloryczna, ale o znikomej ilości substancji odżywczych. Dzisiaj kojarzona przede wszystkim z tanim i niezdrowym pokarmem. Co ciekawe, pomysł na szybkie jedzenie powstał już w czasach starożytnych – wraz ze zwiększaniem aglomeracji miejskich. Dla zaspokojenia rosnących potrzeb zaczęły powstawać różne miejsca, gdzie serwowano szybki posiłek. Grecy zadowalali się suszonymi rybami. W starożytnym Rzymie na ulicach dostać można było zupę z ciecierzycy z makaronem, kiełbaski wieprzowe oraz wiele innych potraw. Szybkie dania stały się tak popularne na terenie Cesarstwa Rzymskiego, że jedna „restauracja" wyrastała obok drugiej. W Pompejach,

FOT. SHUTTERSTOCK (3X)

eprasa.pl 78b78ef26b

przed katastrofą wybuchu wulkanu, istniało ponad 150 barów szybkiej obsługi zwanych thermopolia. Były to miejsca przeznaczone dla ludzi, którzy z jednej strony spieszyli się i nie mieli czasu na posiłek, ale przede wszystkim dla tych, których nie było stać na posiadanie własnej kuchni. Czyli, podobnie jak w dzisiejszych czasach, w barze szybkiej obsługi stołowała się głównie biedota. Ciekawostka: w 2010 r. na terenie Włoch otwarto restaurację, która imituje te działające w I w. po narodzeniu Chrystusa.

Antyczny rodowód pizzy

Następne epoki również hołdowały podobnej zasadzie. Tam, gdzie zwiększały się skupiska ludzi, potrzebne były różne rozwiązania dotyczące żywienia. W każdym zakątku świata szybkie jedzenie stawało się popularną formą usług. Różnica polegała tylko na tym, jaką żywność serwowano, ponieważ zalety starożytnych fast foodów były równie wątpliwe jak w dzisiejszych czasach. Już wtedy krążyły legendy o palcach w posiłku czy stosowaniu ludzkiego mięsa.

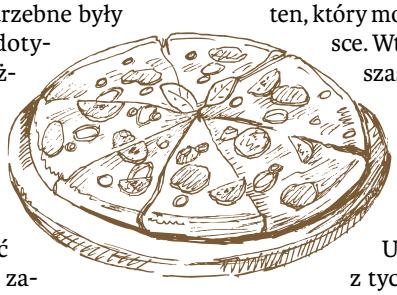

Za najstarszy ze znanych dziś przysmaków uznać możemy pizzę. Pierwsze określenie „piza" datuje się na samą końcówkę I w., jednak placki stanowiące jej podstawę zjadali już starożytni Egipcjanie. Miały one głównie formę płatniczą, ale była to szybka forma zaspokojenia głodu. W Italii, swojej ojczyźnie, karierę rozpoczęła jako foccacia – chlebek, który w zależności od regionu bogaty jest w przyprawy, oliwki i inne dodatki. Pierwszą pizzą w naszym rozumieniu określono wypiek okraszony serem i bazylią powstały w XVII w. Przełomem w historii odkrywania smaków tego włoskiego specjału okazało się odkrycie Ameryki i dostarczenie pomidora na Stary Kontynent. Wiek po tym wydarzeniu na terenie Półwyspu Apenińskiego jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać pizzerie.

Kebabu długie trwanie

Przysmakiem rodem z Dalekiego Wschodu, a dziś znajdowanym w bardzo bliskim sąsiedztwie, wręcz na każdym kroku, jest kebab. Kebab w języku arabskim oznacza opiekane mięso. Istnieje wiele przesłanek i teorii na temat tego, gdzie i kiedy powstał ten produkt. Prekursorami stosowania tego rodzaju żywności, chociaż w różnych odmianach, byli Turcy oraz Persowie. Jeżeli chodzi o czas, to zdania już są podzielone. Istnieją dowody na prowadzenie handlu ulicznego, którego przedmiotem było opisywane danie, już w IV w. po narodzinach Chrystusa. Jednak inna teoria głosi, że potrawę tę wymyślono w średniowieczu, a uczynili to tureccy żołnierze, opiekając w ognisku mięso nadziane na miecze. Pierwszego określenia „kebab" użyto w jednym z najstarszych tureckich manuskryptów „Kissa-i Yusuf, czyli historia Józefa". Jednak opisywany tam kebab nie wyglądał oczywiście tak jak ten, który możemy dostać dziś w Polsce. Wtedy przybierał on formę szaszłyka. W obecnym wydaniu, tzw. doner kebab, jest wymysłem XIX w. i zawdzięczamy go Efendiemu z miasta Bursa lub/i Hamdiemu Usta z Kastamu. To któryś z tych panów był pomysłodawcą pionowego rożna. A z kolei ów wynalazek dał możliwość otwarcia w 1945 r. w Istambule pierwszej budki z kebabem w bułce.

Z Hamburga i Frankfurtu

Bez wątpienia produktami, które najbardziej kojarzą się z fast foodem, są hamburger i hot dog. Z kolei pierwszym geograficznym skojarzeniem dla potraw są Stany Zjednoczone i to tam chciałoby się szukać ich początku. Jak się jednak okazuje, nie jest to takie pewne. Oba te przysmaki swoją karierę rozpoczęły u naszego zachodniego sąsiada. Hamburger, jak można się domyślić, swoją drogę do sławy rozpoczął w niemieckim mieście – Hamburgu. To tu w XV w. zaczęto serwować kotlety z siekanej wołowiny i w związku z tym określono je mianem steków hamburskich. I tak funkcjonowały sobie one w tej postaci aż do momentu, gdy wyemigrowały wraz z Europejczykami do Ameryki. To tam ok. 1895 r. kotlet zamknięto w kanapce, co wywołało zachwyt wśród populacji amerykańskiej i wielką erę panowania hamburgerów na stołach. Drugi z wymienionych przysmaków – hot dog – również związany jest swoją historią z niemieckim miastem. Tym razem chodzi o Frankfurt n. Menem, od którego wzięły się frankfurterki wymyślone w okolicach XVI w. To w Niemczech rozwijała się produkcja tych kiełbasek oraz wyrafinowanych odmian parówek. By połączyć je z bułką, potrzebny był znowu wyjazd za Wielką Wodę. W 1871 r. pewien Niemiec Charles Feltman otworzył pierwszą budkę z hot dogami. Zaraz za nim pojawiali się kolejni gospodarni kupcy, którzy wykorzystali zachwyt ludzi nad produktem przybyłym z Europy. Modę na ten nowy rodzaj żywienia wykorzystało dwóch przedsiębiorców – Walter Anderson i Billi Ingram – założyciele White Castle (1921), pierwszej sieci restauracji, które oferowały hamburgery z frytkami i colą za 5 dol. Gdy się okazało, że inwestycja przynosi dochody, rozpoczęli oni sprzedaż swojego pomysłu: prowadzenie restauracji pod tym samym logo, nazwą oraz z tym samym menu. Powstała sieć restauracji franczyzowych, która zapoczątkowała wielki rozwój dużych koncernów fastfoodowych, tak jak McDonald's, KFC czy Burger King, cieszących się popularnością na całym świecie.

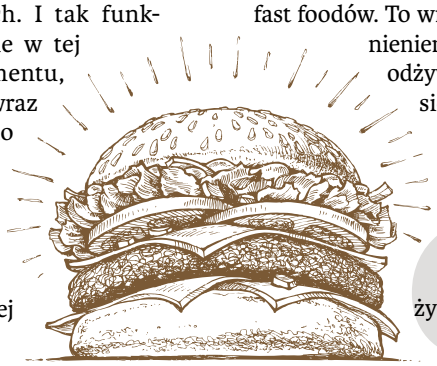

Mimo upływu setek, a nawet tysięcy lat od początków działania barów szybkiej obsługi ich rola oraz cel nie zmieniły się. Tak samo jak w starożytnej Grecji czy Rzymie, tak dzisiaj w Nowym Jorku mają one za zadanie zaspokoić głód bez zbędnego oczekiwania na jedzenie. Nawet klienci tych przybytków nie różnią się zbytnio od siebie. Zarówno w tamtych czasach, jak i nam obecnych kieruje się tam głównie warstwa biedniejsza, by otrzymać żywność nie tylko szybko, ale i stosunkowo tanio. Wiąże się to z niewiele zmieniającą się na przestrzeni wieków opinią na temat tej oferty. Po długotrwałych dyskusjach dziś już nie mamy wątpliwości co do ułomności zdrowotnych fast foodów. To wraz z ich upowszechnieniem wzrosła fala chorób odżywieniowych, pojawiła się epidemia otyłości. Aby zmniejszyć ryzyko zachorowania, należy ograniczyć ich spożycie do minimum, mimo że ich rodowód sięga starożytności.

eprasa.pl 78b78ef26b

W STULECIE ISTNIENIA ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE

Archiwum Akt Nowych

ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE OBCHODZI STULECIE SWOJEGO ISTNIENIA. NIE ZAWSZE JEDNAK NOSIŁO TĘ NAZWĘ

LESZEK S. ZAKRZEWSKI

AAN zostało powołane przez Sławomira Czerwińskiego, ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (WRiOP), zarządzeniem z dnia 3 czerwca 1930 r. Stanowisko kierownika tej instytucji powierzył on dr. Józefowi Stojanowskiemu. Potwierdza to załączony dokument z 11 czerwca 1930 r. Wydawałoby się, że zgodnie z wyznaczoną w piśmie datą Archiwum Akt Nowych rozpoczęło swoją działalność dopiero 1 lipca 1930 r. Nic bardziej mylnego. W rzeczywistości Archiwum Akt Nowych stanowiło nowe wcielenie istniejącego już Archiwum Wojskowego, którym kierował od 1924 r. dr Stojanowski. Kadra pracownicza pozostała bez zmian. Dotychczasowe Archiwum Wojskowe powołane było dekretem Józefa Piłsudskiego z 7 lutego 1919 r. o nazwie „O organizacji archiwów państwowych i opiece nad archiwaliami". Dekret Piłsudskiego bazował z kolei na Reskrypcie Rady Regencyjnej o archiwach państwowych i opiece nad archiwaliami z 31 lipca 1918 r.

Wspomniane przekształcenie wynikało z istnienia jeszcze jednego Archiwum Wojskowego, tyle że podległego władzom wojskowym. Funkcjonowanie w tym samym czasie dwóch archiwów o tej samej nazwie komplikowało gromadzenie i przechowywanie akt. W związku z tym, że do Archiwum Wojskowego kierowanego przez Stojanowskiego zaczęły napływać akta likwidowanych władz i urzędów odrodzonej Rzeczypospolitej, wystąpił on o zmianę jego nazwy.

Józef Stojanowski (1884–1964) to postać wyjątkowa. Ukończył studia historyczne na Uniwersytecie Lwowskim, otrzymując stopień doktora filozofii. W latach 1919-1924 odbył staż w Archiwum Głównym Akt Dawnych, pogłębiając swoją wiedzę na temat funkcjonowania archiwów.

Od 1924 r. kierował Archiwum Wojskowym, które – jak już wiemy – przekształciło się w Archiwum Akt Nowych. Zarządzał tą instytucją blisko 22 lata, obejmujące czasy Polski odrodzonej, koszmar niemieckiej okupacji i lata 1949–1950 w nowej już rzeczywistości społecznej Polski Ludowej.

Nie wyczerpuje to jednak jego dokonań. Należy zwrócić uwagę na dwa najważniejsze kierunki jego działań: prace rewindykacyjne i prace w zakresie akt nowych.

W pierwszej dziedzinie miał osiągnięcia w odzyskiwaniu archiwaliów polskich ze Związku Sowieckiego po pokoju ryskim 1921 r. Dzięki temu przeniesiono go do Wydziału Archiwów Państwowych, gdzie objął referat rewindykacji. Tutaj zaś dał się poznać w trakcie trudnych rokowań z Niemcami, Austrią i Czechosłowacją. Jako radca ministerialny był członkiem Komisji Odbiorczo-Zdawczych powołanych w ministerstwie WRiOP. Dzięki ich działaniom Polska przejęła od strony niemieckiej blisko 140 tys. jednostek archiwalnych, od strony austriackiej sześć wagonów kolejowych akt.

Z aktami nowymi zetknął się z kolei jako kierownik wspomnianego już Archiwum Wojskowego. Jego energiczna działalność poszła z jednej strony w kierunku zabezpieczenia administracyjnych akt wojskowych niemieckich i austriackich, z drugiej zaś gromadzenia dokumentów wytworzonych przez urzędy centralne odrodzonej ojczyzny.

W czasie okupacji niemieckiej działał na rzecz zachowania całości AAN. Niestety, Niemcy spalili archiwum w listopadzie 1944 r. Ocalało jedynie 3 proc. jego zawartości.

Po zakończeniu wojny pracował ponownie przy rewindykacji w Wydziale Archiwów. W 1949 r. reaktywowano AAN, a Stojanowski został jego dyrektorem. Choroba serca nie pozwoliła mu wypełniać obowiązków. W 1950 r. przeszedł na emeryturę. Mimo to do końca życia oddawał się pracy naukowej. W opinii prof. Józefa Paczkowskiego, zawartej w aktach personalnych Józefa Stojanowskiego przechowywanych w AAN, czytamy: „b. dobra znajomość przepisów, zdolny, pojętny, inicjatywa sprężysta i skuteczna, b. pilny i wytrwały, wybitnie dokładny, sumienny, na zaufanie zasługuje, do obcowania z interesantami i do służby zewnętrznej uzdatniony, zachowanie się poprawne, do stanowiska kierowniczego i do służby przy władzach naczelnych nadaje się".

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 78b78ef26b

PRZYMUSOWE STERYLIZACJE W AUSCHWITZ

Jednym z wielu zbrodniczych, pseudomedycznych eksperymentów, prowadzonych w III Rzeszy, były prace nad masowymi sterylizacjami osób uznanych za „niepożądane rasowo". Miało to na celu możliwość wykorzystania ich jako darmowej siły roboczej przy jednoczesnym uniemożliwieniu prokreacji. Poszukiwano metod tanich i wydajnych, mogących zastąpić tradycyjne zabiegi operacyjne, stosowane przed wojną na mocy nazistowskiej „Ustawy o zapobieganiu obciążonego chorobą dziedziczną potomstwa" z 1933 r.

Eksperymenty te były prowadzone w obozach koncentracyjnych Auschwitz I i Auschwitz-Birkenau przez dwóch lekarzy – Carla Clauberga i Horsta Schumanna. O całości badań powiadomiony był Reichsführer SS Heinrich Himmler, którego stale informowano o wynikach prac. Stosowano dwie metody – naświetlania narządów rozrodczych za pomocą promieniowania rentgenowskiego oraz wstrzykiwania substancji chemicznych powodujących zablokowanie jajowodów.

Naświetlania stosował Horst Schumann. Używał w tym celu dwóch aparatów do radioterapii nowotworów produkcji firmy Siemens. Osoby wyselekcjonowane spośród więźniów naświetlano z obu stron przy użyciu dużych dawek promieniowania, dobieranych arbitralnie przez Schumanna. Sam zabieg był odczuwany przez ofiarę jako lekkie ciepło, będące skutkiem pochłonięcia przez ciało energii promieniowania. Wkrótce po naświetlaniu pojawiały się objawy choroby popromiennej – wymioty i osłabienie. Napromieniowana skóra pokrywała się rozległymi oparzeniami, które nie chciały się goić. Nie był to koniec cierpień. Po naświetlaniu usuwano jeden z jajników i zakonserwowany wysyłano do badań histologicznych w Instytucie Medycyny Sądowej Uniwersytetu Wrocławskiego. Starano się zidentyfikować zmiany wywołane przez promieniowanie, czasem też stosowano powtórne naświetlania. Większość ofiar zmarła na chorobę popromienną lub infekcje, głównie tyfus, łatwo atakujące organizm osłabiony przez promieniowanie. Sam Schumann uznał wyniki swojej metody za niesatysfakcjonujące i w 1944 r. meldował Himmlerowi, że skuteczniejsze są zabiegi chirurgiczne.

Z kolei Carl Clauberg opracował metodę wstrzykiwania substancji drażniących, wywołujących ostry stan zapalny, a następnie zarośnięcie jajowodów. Wyselekcjonowane więźniarki badano w bloku 10 obozu Auschwitz I, sprawdzając drożność jajowodów za pomocą prześwietlenia z kontrastem. Gdy wynik był pozytywny, wstrzykiwano płyn na bazie formaliny, kontrolując jego przepływ na ekranie aparatu rentgenowskiego. „Pięknie to płynie" – miał powiedzieć Clauberg, obserwując eksperyment. Zabieg ten był bardzo bolesny i wywoływał silną gorączkę, krwawienia, a nawet zapalenie otrzewnej i posocznicę. W warunkach obozowego szpitala często oznaczało to powolną śmierć w męczarniach. Zbrodniarz chwalił się Himmlerowi, że jego metoda może pozwolić na sterylizację do tysiąca osób dziennie przez zaledwie jednego lekarza z dziesięcioma osobami personelu pomocniczego. W 1944 r. w obliczu nadciągającej Armii Czerwonej przeniósł się do Ravensbrück, gdzie kontynuował swoje „badania".

Sprawcy tych zbrodniczych eksperymentów nigdy nie ponieśli kary. Carl Clauberg wprawdzie został skazany w ZSRR na 25 lat więzienia, lecz dzięki amnestii wyszedł na wolność po 10 latach i powrócił do Niemiec. Wznowił praktykę lekarską, jednocześnie przechwalając się swoimi „dokonaniami" z Auschwitz. Na skutek protestów byłych więźniów został wkrótce aresztowany, lecz zmarł w szpitalu w Kilonii przed rozpoczęciem procesu. Horst Schumann praktykował pod własnym nazwiskiem w Halle, a gdy go rozpoznano, uciekł do Japonii. Następnie przeniósł się do Egiptu, a później do Sudanu, gdzie cały czas prowadził praktykę lekarską. Został nawet dyrektorem szpitala w Chartumie. Gdy rozpoznał go były więzień Auschwitz, zbiegł do Ghany. Dopiero w 1966 r. dokonano jego ekstradycji do RFN. Proces rozpoczął się w 1970 r., lecz po dwóch latach zbrodniarz został zwolniony z więzienia z uwagi na stan zdrowia. Pozostawał pod nadzorem policji i, uniknąwszy kary, zmarł we Frankfurcie dopiero w 1983 r.

Ofiary tych eksperymentów, które dożyły końca wojny, miały problemy z uzyskaniem należnych odszkodowań. Szczególne dotyczyło to osób poddawanych naświetlaniom, gdyż w tym przypadku prawnicy kwestionowali związek przyczynowy napromieniowania i bezpłodności (!) jako trudniejszy do udowodnienia niż w przypadku wstrzyknięć Clauberga. ■

ŁUKASZ KOROLEWSKI

NAC

Eksperymenty masowych metod sterylizacji były prowadzone w obozach koncentracyjnych Auschwitz I i Auschwitz-Birkenau

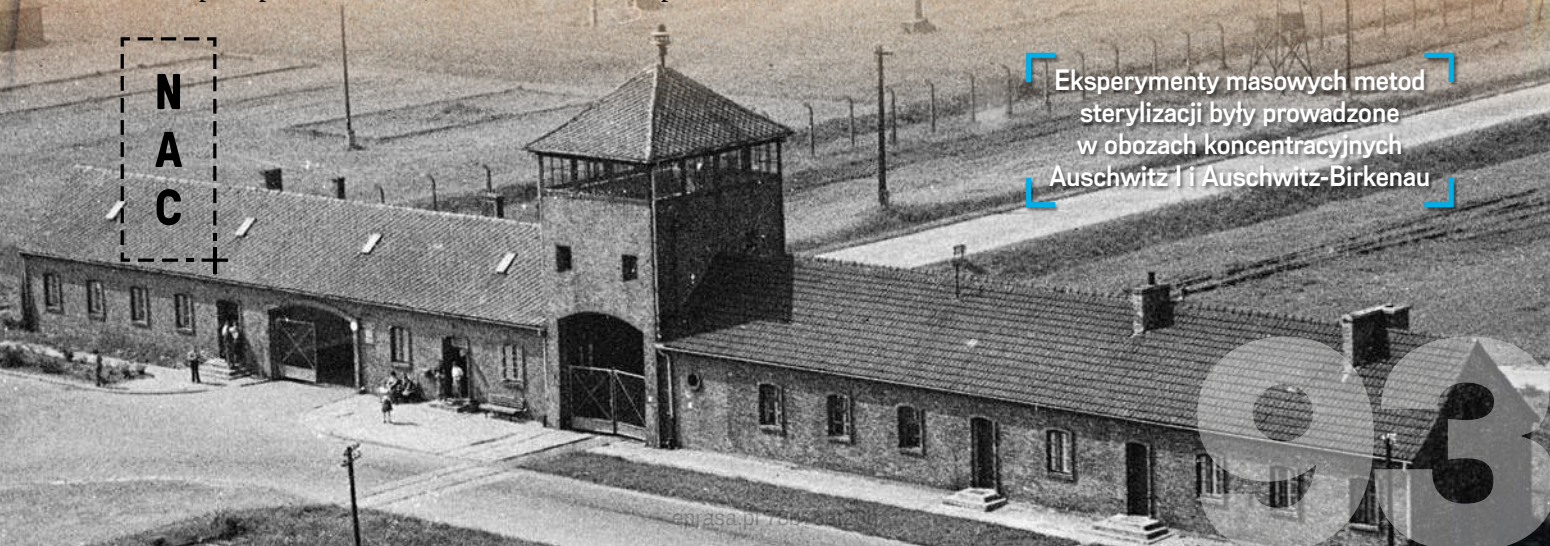

ZNAK SPADOCHRONOWY

RAFAŁ BRODACKI

BOJOWY ZNAK SPADOCHRONOWY TO JEDNO Z NAJPIĘKNIEJSZYCH POLSKICH ODZNACZEŃ. W ZBIORACH MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO ZNAJDUJE SIĘ JEDEN EGZEMPLARZ TAKIEGO ODZNACZENIA. PRZEKAZAŁA GO RODZINA CICHOCIEMNEGO KPT. STANISŁAWA JANKOWSKIEGO „AGATONA"

Począwszy od listopada 1939 r., kapitanowie Maciej Kalenkiewicz i Jan Górski opracowali koncepcję przerzutu spadochroniarzy do okupowanej Polski. Również płk Stanisław Sosabowski czynił wysiłki na rzecz sformowania polskiego oddziału spadochronowego. Ich starania dały efekt. W nocy z 15 na 16 lutego 1941 r. do Polski skoczyli pierwsi cichociemni. Byli to wszechstronnie wyszkoleni w Wielkiej Brytanii żołnierze, zdolni do wykonywania najtrudniejszych zadań w okupowanej Polsce. Byli oni prekursorami sił specjalnych. Trwały przygotowania do kolejnych operacji przerzutowych. Trening spadochronowy przechodzili również żołnierze z 4. Brygady Kadrowej Strzelców pod dowództwem płk. Sosabowskiego.

Wtedy też pojawił się pomysł nadawania odznaczenia jedynie dla skoczków. Miało ono nie tylko zaświadczać o ukończeniu całości programu szkolenia spadochronowego, ale i pokazywać, że noszący je żołnierz służy w elitarnej formacji.

Projekt odznaczenia opracował Marian Walentynowicz, który przed wojną zilustrował opowieści Kornela Makuszyńskiego o przygodach Koziołka Matołka. Opracował on odznakę przedstawiającą pikującego do ataku orła. Projekt ten zyskał aprobatę Naczelnego Wodza i 20 czerwca 1941 r. ustanowił on Znak Spadochronowy.

Każdy Znak był noszony na lewej piersi powyżej odznaczeń i miał na rewersie grawerowany numer oraz hasło „Tobie Ojczyzno". Dzielił się na dwa rodzaje. Zwykły Znak Spadochronowy otrzymywali wszyscy Polacy i cudzoziemcy, którzy przeszli pełny program polskiego kursu spadochronowego. Pierwsze Zwykłe Znaki Spadochronowe zostały wręczone 23 września 1941 r. w Kincraig podczas manewrów 4. Brygady Kadrowej Strzelców, czyli późniejszej 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej.

Drugim rodzajem był Bojowy Znak Spadochronowy. Od zwykłego różnił się tym, że dziób i pazury orła były złote. Przysługiwał on wyłącznie tym żołnierzom, którzy oddali skok w warunkach bojowych. Nadano go więc wszystkim cichociemnym przerzuconym do okupowanej Europy oraz żołnierzom 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, którzy wzięli udział w walkach w Holandii, podczas operacji Market-Garden (17–26 września 1944 r.)

Mjr Eugeniusz Kaszyński ps. Nurt ze Znakiem Spadochronowym na lewej piersi

Bojowy Znak Spadochronowy nadano m.in. wszystkim cichociemnym przerzuconym do okupowanej Europy, w tym kpt. Stanisławowi Jankowskiemu ps. Agaton

W listopadzie 1944 r. wygląd Bojowego Znaku Spadochronowego się zmienił. Zrezygnowano ze złoceń na dziobie i pazurach, zastępując je złotym wieńcem laurowym, który miał symbolizować chwałę żołnierza polskiego. Ogółem podczas wojny przyznano 6536 Znaków Spadochronowych obu klas.

W 1954 r. rząd emigracyjny ustanowił Znak Cichociemnych. Jest to Bojowy Znak Spadochronowy wzbogacony o srebrną kotwicę Polski Walczącej wpisaną w wieniec laurowy. Otrzymał go każdy z 316 cichociemnych spadochroniarzy Armii Krajowej.

W powojennej Polsce, od 1967 r., nadaje się opartą na Bojowym Znaku Spadochronowym Odznakę Skoczka Wojsk Powietrznodesantowych. Jest ona jednak w całości oksydowana. W większym stopniu pierwowzór przypomina odznakę instruktorską, mającą złoty wieniec. W obu wypadkach w wieniec wpina się wkładkę z liczbą oddanych skoków lub symbol klasy instruktora. Nie graweruje się już numeru ani hasła „Tobie Ojczyzno".

Tradycję cichociemnych kontynuuje Jednostka Wojskowa GROM. Jej symbolem jest orzeł, taki sam jak w Zwykłym Znaku Spadochronowym, który trzyma w szponach grom. Swój Znak Spadochronowy mają też harcerze. W ich wypadku orzeł trzyma w szponach lilijkę. Z kolei Związek Strzelecki „Strzelec" używa Zwykłego Znaku Spadochronowego wzbogaconego o tarczę z literą „S".

FOT. ZE ZBIORÓW MPW

Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego

Muzeum Powstania Warszawskiego

WIĄZANIE HISTORII

Tomos

PAWEŁ KOWAL

Kiedy prezydent Putin uzasadniał zajęcie Krymu przez Rosję, odwołał się, po pierwsze, do argumentu historyczno-religijnego. Otóż przypomniał, że św. Włodzimierz ochrzcił się w 988 r. w Chersonezie na Krymie, a jego chrzest pochodził od bizantyjskich duchownych, książę zaś poślubił Annę, która była siostrą Bazylego II – cesarza Bizancjum.

Niejeden wzruszy ramionami i zapyta: „A co to wszystko ma do rzeczy? Dlaczego Putin o tym mówi?". Właśnie, że ma, bo opowieść prezydenta Rosji, która ma uzasadniać jego zaborczą politykę, to wielki mit. Chersonez Taurydzki był wtedy, w X w., grecką kolonią i nie miał z Rosją żadnych związków, bo na Krymie nie było Rosjan, za to zaczynała się historia Rusi, która także z dzisiejszą Rosją nie ma wiele wspólnego, a na pewno mniej niż z dzisiejszą Ukrainą. Po swoim własnym chrzcie św. Włodzimierz przybył do Kijowa i wprowadził tam chrześcijańskie porządki, wyrzekł się rozpusty i hulanki, słowem: ochrzcił także Ruś. Dla Rosji ta tradycja ma kluczowe znaczenie: Bizancjum – Włodzimierz – Ruś – Rosja. Ten wymyślony łańcuch ma łączyć dzisiejszą Rosję z tradycją chrześcijaństwa i czynić z niej niemal spadkobiercę owej wielkiej tradycji. Ta tradycja ma uzasadniać pozycję polityczną imperialnej Rosji, jej ambicje i prawo do dyktowania warunków innym narodom oraz państwom. To także dlatego można sobie było wyobrazić niezależność dla wszystkich niemalże Cerkwi byłego ZSRS, ale nie dla Ukrainy. Zasadniczy spór toczy się bowiem o to, że jeśli na Ukrainie powstanie niezależna prawosławna organizacja cerkiewna, to wyimaginowany łańcuch łączący Rosję z tradycją Bizancjum przestanie istnieć. Tomos, czyli przyznanie ukraińskiemu prawosławiu niezależności, jest dlatego najpoważniejszym ciosem w rosyjską ideę imperialną od czasu rozpadu ZSRS. Były też i praktyczne powody, dla których tomos nie jest na rękę Moskwie: na Ukrainie jest najwięcej wiernych prawosławnych na byłym obszarze sowieckim, najlepiej zorganizowana jest tam sieć parafialna, najwięcej jest składek itd. W całkiem praktycznym sensie Rosyjska Cerkiew Prawosławna traci zatem pozycję najważniejszego Kościoła prawosławnego na świecie. Widzimy symbole i ustalamy symboliczne daty, żeby zrozumieć, co się dzieje, tłumaczymy sobie, że od 6 grudnia 2019 r. Kościół prawosławny na Ukrainie znowu jak za I Rzeczypospolitej nie podlega Moskwie. Ale oczywiście prawdziwa historia dzieje się jako proces. Prawosławie na Ukrainie jeszcze przez lata będzie się sklejać z kilku dotąd podzielonych organizacji cerkiewnych, wierni przez dekady będą się uczyć, że przełożonych mają nie w Moskwie, tylko w Kijowie, duchowo zaś najbliżej im do Konstantynopola. ■

GÓRNA PÓŁKA

Niemcy

ANTONI DUDEK

W 9 r. n.e. w Lesie Teutoburskim kilka plemion germańskich, zjednoczonych przez Arminiusza, rozgromiło trzy legiony, kładąc kres ekspansji Rzymu na kierunku północno-wschodnim. Wydarzenie to w mitologii historycznej kreowanej w XIX w. zostało uznane za moment założycielski narodu niemieckiego.

Wkrótce po zjednoczeniu Niemiec przez Bismarcka w pobliżu miejsca bitwy odsłonięto gigantyczny pomnik Arminiusza. Gdy jednak w 2009 r. przypadła okrągła (dwutysięczna!) rocznica tej słynnej bitwy, pod pomnikiem nie zorganizowano żadnych uroczystości. Odbyły się one za to w mieście Hermann w stanie Missouri, założonym przez niemieckich osadników w latach 30. XIX w., gdzie nawet przy jednej z głównych handlowych ulic odsłonięto kolejny pomnik Arminiusza.

Te dwa wydarzenia opisuje historyk sztuki Neil MacGregor, w książce poświęconej – jak głosi podtytuł – zbiorowej pamięci narodu niemieckiego. Książka imponuje swą warstwą ilustracyjną, ale z racji rozbudowanego tekstu nie jest albumem. Tekstu, w którym MacGregor zmaga się z wieloma pytaniami, które jednak pozostają w istocie rzeczy pochodną jednego: jak ekspansywny militaryzm oraz imperialne skłonności wpisały się w pamięć narodu niemieckiego? Nie udzielając na nie jednoznacznej odpowiedzi, MacGregor prowadzi czytelnika przez stulecia niemieckiej architektury, kultury i sztuki, błyskotliwie pokazując trwałość pewnych motywów. Takich jak liść dębu rosnącego w Lesie Teutoburskim, który odnajdziemy zarówno jako dodatek do orderu żelaznego krzyża, jak i motyw ozdobny na monecie o wartości 1 feniga wyemitowanej już w RFN.

Pośród ogromnej liczby artefaktów z różnych epok największe wrażenie zrobiła na mnie rzeźba Bismarcka przedstawiająca kanclerza jako kowala wykuwającego niemiecki los. Zdaniem MacGregora „w Niemczech historia nie zajmuje się jedynie przeszłością, lecz, inaczej niż w innych europejskich krajach, spogląda także w przyszłość". Aby wzmocnić ten wniosek, stronie tytułowej jego książki towarzyszy zagadkowe zdjęcie Gerharda Richtera zatytułowane „Betty". Przedstawia ono dziewczynę z długim warkoczem i twarzą odwróconą od obiektywu. „Już niebawem ta młoda kobieta odwróci ku nam swe oblicze, aby spojrzeć w oczy nam wszystkim i własnej przyszłości" – pisze w ostatnim zdaniu swej błyskotliwej książki MacGregor. Pozostaje nadzieja, że nie będzie to twarz Germanii wielbiącej Arminiusza oraz jego admiratorów, do których zaliczał się również Hitler. ■

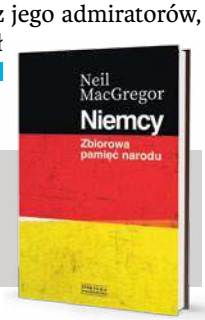

Neil MacGregor, „Niemcy. Zbiorowa pamięć narodu", wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2018

eprasa.pl 78b78ef26b

Aktorka Maria Kuśmierska i charakteryzatorka Joanna Wasilewska

Szkic projektu

Historia Polski jest jak wiadro pełne krwi. Ta najbardziej bolesna jej część dotyczy okresu, gdy nasz kraj rzekomo w 1945 r. odzyskał niepodległość. Rzekomo, krew polskich patriotów była bowiem dalej przelewana podczas brutalnych przesłuchań i tortur w więzieniach na terenie całego kraju. Ale tym razem cierpienie rodakom zadawali rodacy, metodami, których nie powstydziłoby się gestapo czy NKWD. Zaskakuje młody wiek tych „niedouczonych typów z awansu społecznego" i wręcz studencka aparycja np. Stanisława Łyszkowskiego, jednego z oprawców rotmistrza Witolda Pileckiego, którego karierze w komunistycznej bezpiece poświęcony jest okładkowy tekst w tym numerze.

Dlatego do głównej roli nie szukałem mężczyzny o twarzy z kartoteki więziennej, ale zaprosiłem filmowego aktora Huberta Matysiaka, który czuje się swobodnie w rolach amantów, ale również czarnych charakterów. Przyznam, że na planie zdjęciowym czuliśmy dreszcz niepokoju, gdy Hubert w dobrze skrojonym mundurze funkcjonariusza MBP, mimo dramatycznych okoliczności, z uśmiechem zapalał papierosa. W znalezieniu dwóch osób do pozostałej obsady pomogła nam niezawodna Agencja Aktorów i Statystów „Merito" Pawła Szczepaniuka. W wymagającą rolę katowanej dziewczyny wcieliła się Maria Kuśmierska, która m.in. dzięki charakteryzacji Joanny Wasilewskiej bardzo sugestywnie oddała cierpienia. Notabene już w marcu zobaczymy aktorkę w serialu TVP „Młody Piłsudski", gdzie zagra pasierbicę Marszałka.

Pastwiący się nad nią oficer Urzędu Bezpieczeństwa to z kolei Wojciech Żuchowski. Mimo że „był stroną bijącą", nie miał łatwiejszego zadania. Całość uchwycił w kadrze Cezary Pomykało, fotograf znany ze zdjęć wojskowych i rekonstrukcyjno-historycznych.

Trzygodzinne krzyki i groźby aktorów ściągnęły na plan zaintrygowanych pracowników Muzeum Żołnierzy Wyklętych, w tym samego dyrektora Jacka Pawłowicza. To właśnie dzięki jego gościnności mogliśmy w murach byłego więzienia niemieckiego, a potem komunistycznego przy ulicy Rakowieckiej 37 odtwarzać sceny w jednym z „pokojów przesłuchań". Skoro już mowa o Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, to warto wspomnieć o wyjątkowym wydarzeniu, które będzie organizowane 2 marca br. Na terenie byłego Aresztu Śledczego odbędzie się gra miejska „Tajemnice Rakowieckiej", organizowana wspólnie z warszawskim oddziałem IPN, będąca jednocześnie wyjątkową formą zwiedzania muzeum. Wszyscy uczestnicy gry będą mieli okazję nie tylko zwiedzić pomieszczenia i miejsca zamknięte dla szerszej publiczności, lecz również dzięki udziałowi rekonstruktorów poczuć atmosferę więzienia na przestrzeni dekad – od okupacji niemieckiej, przez czasy stalinowskie, na komunistycznych podczas aresztowań działaczy Solidarności kończąc. Następnie będziemy wspólnie śpiewać patriotyczne piosenki, posilając się grochówką z partyzanckiej kuchni.

MICHAŁ KORSUN

Dyrektor Jacek Pawłowicz sprawdza oryginalność Odznaki Grunwaldzkiej

Jedyna fotografia Witolda Pileckiego w mundurze ze stopniem rotmistrza

Dyrektor artystyczny Michał Korsun z aktorami

Od lewej: Wojciech Żuchowski i Hubert Matysiak w rolach komunistycznych katów

Przygotowania do sesji

Paweł Szczepaniuk – właściciel Agencji Aktorów i Statystów „Merito"

Stylistka Małgorzata Retkowska w wypożyczalni kostiumów...

...i rekwizytów „Retro-Pasje"

eprasa.pl 78

Przed przesunięciem każdego budynku należało zbudować specjalistyczne tory. Na zdj. pałac Lubomirskich

FOT. NAC

Kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny zbudowano w 1731 r.

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

JEŻDŻĄCE BUDYNKI

Na początku grudnia media obiegła sensacyjna wiadomość – na terenie dawnej warszawskiej fabryki Norblina przesunięto o 15 m ważący 900 ton zabytkowy budynek! Operację przeprowadzono jako jeden z etapów budowy nowoczesnego, ale również uwzględniającego industrialny charakter tego miejsca, kompleksu biurowo-usługowego.

W byłej hali produkcyjnej do niedawna mieścił się Teatr Scena Prezentacje. Obecnie na tym miejscu budowane są podziemne piętra nowo powstającej inwestycji. Drgania i ewentualne zapadnięcia gruntu byłyby zbyt groźne dla nadwątlonej upływem czasu konstrukcji budynku. Dla bezpieczeństwa musiał zostać przesunięty. Po przykryciu nowych piwnic betonowym stropem powróci na swoje miejsce, a w jego wnętrzu zostaną urządzone lokale gastronomiczne.

Operacja iście karkołomna i wymagająca od osób ją przeprowadzających wielu przygotowań oraz precyzji. Z całą pewnością można by ją nazwać sytuacją niecodzienną, gdyby nie to, że w Warszawie podobne przedsięwzięcia miały już miejsce niejednokrotnie. W 1961 r. przesunięta o 10,5 m została północna rogatka grochowska, a w 2001 r. południowa – o 8,7 m. Budynki te, przy których znajduje się wytwórnia czekolady Wedla, do 1889 r. wyznaczały wschodnią granicę Warszawy.

Z kolei zbudowany na początku XVIII w. pałac Lubomirskich nie odjechał od swoich fundamentów, ale został względem nich obrócony o 78 stopni. Operacja trwała od 30 marca do 18 maja 1970 r. Dzięki niej budynek został ustawiony tak, by zamykać tzw. oś saską biegnącą od Grobu Nieznanego Żołnierza. Dotąd pałac stał względem niej pod kątem i burzył całą kompozycję w przeszłości. W czasach saskich z tego względu rozważano nawet jego rozbiórkę, na co jednak nie znaleziono funduszy.

Najciekawszą „wędrówką" budynku była ta z 1962 r., kiedy w czasie jednej andrzejkowej nocy z prędkością 9,3 m/min przesunięto o 21 m w kierunku północnym kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Warszawie. Operacja wiązała się jednak z wyburzeniem pozostałości spalonego podczas II wojny światowej budynku klasztoru karmelickiego. W czasach rozbiorów był on przejęty przez władze carskie i zmieniony w więzienie, przez które przeszli m.in. Walerian Łukasiński i Piotr Wysocki.

Jesienią 1940 r. kościół znalazł się w obrębie utworzonego przez niemieckie władze okupacyjne getta żydowskiego. Księża nie zaprzestali działalności – pełnili posługę dla chrześcijan żydowskiego pochodzenia oraz nieśli pomoc ludności wyznania mojżeszowego. Niemcy w odwecie w 1944 r. ograbili świątynię. Po powstaniu warszawskim i akcji wyburzania miasta po kościele pozostały jedynie zgliszcza. Jego odbudowa rozpoczęła się już w 1945 r. i całkowicie zakończyła się 11 lat później. Po sześciu latach funkcjonowania odbudowanej świątyni, w związku z koniecznością poszerzenia ówczesnej ulicy gen. Karola Świerczewskiego (obecnie al. „Solidarności") wchodzącej w skład Trasy W-Z, bryła kościoła została przesunięta w miejsce, w którym stoi po dziś dzień. Była to pierwsza w Europie, a trzecia na świecie tego typu operacja wykonana na obiekcie sakralnym i zakończyła się pełnym powodzeniem. Budynek odcięty od fundamentów i zabezpieczony metalowymi klamrami został przeciągnięty z użyciem wyciągarek na rolkach jezdnych umieszczonych na specjalnie wybudowanym torowisku. Granitowe płyty umieszczone na jezdni przed kościołem wskazują dziś jego pierwotne położenie.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

FOT. MATERIAŁY INWESTORA

Wzmocniony metalowym szkieletem budynek na terenie dawnej fabryki Norblina w trakcie przesuwania

WYBUCH W ROTUNDZIE PKO

ARCHIWUM IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA DOKUMENTACJI AUDIOWIZUALNEJ

PAWEŁ ZIELONY

W czwartkowe popołudnie 15 lutego 1979 r. w centrum stolicy wybucha Rotunda PKO. Szkło i metalowe elementy elewacji padają na ulicę i trafiają w sąsiednie wieżowce. Podziemie pawilonu zostaje zawalone. W chwili tragedii w banku znajduje się ok. 170 pracowników i 300 klientów.

Według oficjalnych danych zginęło 49 osób, a ok. 135 zostało rannych, z czego 77 trafiło do warszawskich szpitali z poważnymi urazami. Prawdopodobnie ucierpiałoby więcej przechodniów, gdyby nie ich grube ubrania noszone podczas panującej wówczas zimy stulecia. Pierwsi spontanicznej pomocy ofiarom udzielali przypadkowi ludzie. Z czasem do akcji ratunkowej włączyły się służby medyczne i straż pożarna. Milicja zabezpieczyła i otoczyła kordonem teren tragedii. Wokół leżało potłuczone szkło, kawałki ludzkich ciał, pieniądze i książeczki oszczędnościowe. Chociaż prace poszukiwawcze trwały cały tydzień, to ostatnią ranną osobę wydobyto już w trzeciej godzinie akcji. Szacuje się, że siedziba Banku PKO została zniszczona w 70 proc.

Podejrzewano zamach terrorystyczny. Na początku Służba Bezpieczeństwa przypuszczała, że za jego organizacją stoją środowiska opozycyjne. Śledztwo specjalnej komisji eksperckiej wykazało jednak, że przyczyną tragedii był nieszczęśliwy zbieg wydarzeń. Połączone w jeden ciąg przyczynowo-skutkowy były dowodem nieodpowiedzialności, niechlujstwa i zaniedbań. Ustalono, że pod chodnikiem nieopodal budynku Universalu (rozebrany latem 2016 r.) znajdował się zawór gazociągu. Z pękniętego korpusu żeliwnego zaworu ulatniał się gaz. Gruba warstwa śniegu na chodnikach uniemożliwiała jego wydostawanie się na powierzchnię. Bardzo niska temperatura spowodowała, że dodawany do metanu zapach ostrzegawczy uległ wykropleniu. Gaz przeniknął przez grunt do równolegle ułożonego kanału telekomunikacyjnego prowadzącego do Rotundy. Przy suficie podziemnego archiwum banku skumulowany metan czekał tylko na iskrę. Zapłon nastąpił 15 lutego 1979 r. o godzinie 12:37.

Raport komisji był niekorzystny dla ówczesnej władzy. Podważał obowiązującą w epoce Gierka propagandę sukcesu. Bez dostępu do wiarygodnych mediów, w świecie podejrzeń, braku zaufania do rządzących, zwykli ludzie byli podatni na teorie spiskowe, spekulacje i plotki. Po wyjątkowo krótkim śledztwie sprawa została umorzona. Nikt nie poniósł konsekwencji sądowych. Jedyną ukaraną osobą był dyrektor III oddziału Banku PKO, któremu zalecono przejście na emeryturę.

W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej oprócz akt Służby Bezpieczeństwa o kryptonimie „Rotunda" znajduje się film nakręcony przez funkcjonariuszy SB dokumentujący zabezpieczanie obiektu i akcję ratunkową, z którego pochodzi prezentowana klatka filmowa.

Pierwszy budynek Rotundy powstał w 1966 r. według projektu Jerzego Jakubowicza. Od razu stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych obiektów Warszawy. Po tragicznym wybuchu z 1979 r. odbudowano go w ciągu ośmiu miesięcy. Przed nim od strony Domów Towarowych „Centrum" odsłonięto tablicę upamiętniającą ofiary tragedii. Obecnie w tym samym miejscu powstaje nowa, budowana od podstaw Rotunda, bliźniaczo podobna do swojej poprzedniczki, do której sylwetki przyzwyczaiły się pokolenia warszawiaków.

Uszkodzony po wybuchu budynek Rotundy PKO. Kadr z filmu operacyjnego SB

FOT. IPN

Autoromada

eprasa.pl/78b78ef26b

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i miesięcznik wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę „Serce w serce" otrzymasz gratis!

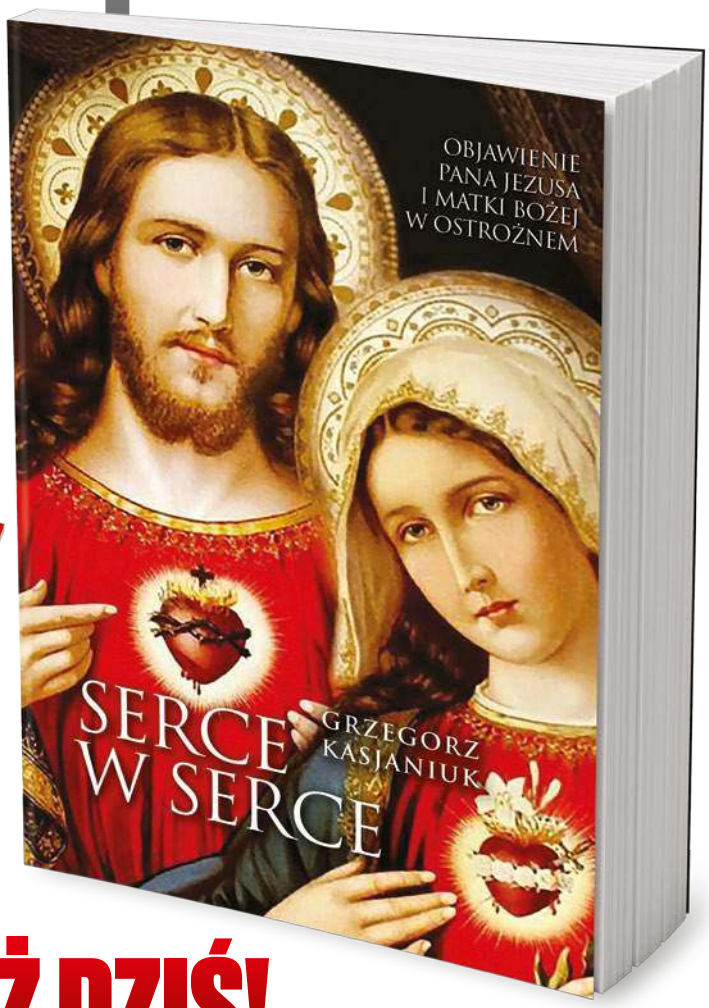

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 78b78ef26b